cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.[illegible] 02/2021

Jakub Augustyn Maciejewski
„SZLACHETNY DZIKUS” Z DUCHEM POSTĘPU

Stefan Czerniecki
MALEŃKA OSADA Z WIELKĄ SZCZELINĄ

NIEZALEŻNA MIESIĘCZNIKA POLSKA

NOWE [illegible]STWO



Jadwiga Zamoyska

PIONIERKA W CZERNI I NIEMIECCY KOMEDIANCI

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI

FOT. PLATFORMA CYFROWA [illegible]

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 6b6c684efd

TEMAT NUMERU ▼ 4–11



Pionierka w czerni i niemieccy komedianci / 4

KRAJ ▼ 12–19



Cyberbezpieczeństwo to niepodległość państwa... / 12

IDEE ▼ 20–33



„Szlachetny dzikus" z duchem postępu / 20

HISTORIA ▼ 36–55



Żył w PRL-u, tak jakby nie było komunizmu / 36

KULTURA ▼ 60–68



Gotyckie opóźnienie / 60

ŚWIAT ▼ 70–97



Strategia Putina i putinizacja Europy / 70

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Pionierka w czerni i niemieccy komedianci / 4

KRAJ

Andrzej Kowalski
Cyberbezpieczeństwo to niepodległość państwa. Żeby Rosja nie mogła zmieniać władzy / 12

Z prof. Waldemarem Paruchem rozmawia Grzegorz Wszołek
Nikt nie położył na stole programu KO / 16

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
„Szlachetny dzikus" z duchem postępu / 20

Józef Polak-Pałkiewicz
Afrykańscy wikingowie na Grenlandii, czyli do czego prowadzi dekonstrukcja / 26

Małgorzata Matuszak
Pomiędzy sztuką a nauką / 31

HISTORIA

Dariusz Jarosiński
Żył w PRL-u, tak jakby nie było komunizmu / 36

Ewa Polak-Pałkiewicz
Służba nie gorsza niż inne / 42

Agnieszka Kowalczyk
O tragizmie Marii i zdobywcy Mont Blanc / 48

Karol Zbyszewski
Europa pod parą / 54

Deklaracja ideowa: zupa na stole! / 55

KULTURA

Olga Doleśniak-Harczuk
Gotyckie opóźnienie / 60

Krzysztof Karnkowski
Kult bez złotej myśli / 66

ŚWIAT

Piotr Grochmalski
Strategia Putina i putinizacja Europy / 70

Hanna Shen
„Nie" dla edukacji pod okiem chińskich komunistów / 78

Antoni Rybczyński
Urodzeni mordercy. W putinowskiej Rosji / 82

Stefan Czerniecki
Maleńka osada z wielką szczeliną / 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 92

oprac. Antoni Rybczyński
Mandżurski prezydent / 94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Historia i interesy
NA POCZĄTEK 3



Olga Doleśniak-Harczuk
Trójkąt Praski – tygiel jest przecież wszędzie
Z GLOBALNEGO TYGLA 34



Krzysztof Wołodźko
Rzecz o perle
DZIENNIK LEKTUR 56



Marek Kalinowski
Wodecki, Kraków i jazz
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 65



Małgorzata Matuszak
Czym jest... sport
KATECHIZM INTELIGENTA 69



Ryszard Czarnecki
List do Unii Europejskiej
CZARNECKO TO WIDZĘ 81



Marcin Wolski
Podręczna bolszewia
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Niezauważona siła
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 6b6c684efd



Katarzyna Gójska

Historia i interesy

Musimy mieć świadomość, iż uporanie się z zaniedbaniami w budowaniu opowieści o naszej przeszłości, prostowanie utrwalonych kłamstw na jej temat wymagają zdecydowania, pomysłu, a przede wszystkim koordynacji pomiędzy wszystkimi ośrodkami władzy i najważniejszymi instytucjami.

W czasie rządów komunistów w Polsce historia była elementem ich polityki dominacji. Zmanipulowane, w niektórych aspektach wręcz całkowicie nieprawdziwe dzieje naszego narodu służyły Moskwie dwojako: po pierwsze, jako element wychowujący pokolenia posłusznych, skomunizowanych Polaków, po drugie, by wypaczać wizerunek naszej ojczyzny na arenie międzynarodowej. Upadek PRL nie oznaczał odkłamania historii najnowszej RP, ale także nie uruchomił polityki historycznej, mającej na celu obronę interesów naszego kraju. Bo polityka historyczna to dziś nie sentymenty czy opowieść o przeszłości, lecz narzędzie do realizacji celów państwa, które są kluczowe dla jego przyszłości, bezpieczeństwa i zamożności. Najważniejsi gracze na arenie międzynarodowej właśnie w taki sposób prowadzą swą politykę historyczną. My niestety nadal mamy z tym problem. Z jednej strony na polskiej scenie politycznej są mocno obecne siły, które z jakiegoś powodu są zainteresowane blokowaniem odkłamywania naszych najnowszych dziejów, by przy ich pomocy realizować strategiczne cele Rzeczypospolitej. Trudno wytłumaczyć to osobliwe stanowisko jedynie niewiedzą i brakiem rozeznania. Część sił postkomunistycznych zapewne wrogo podchodzi do prawdy o czasach komunistycznych, bo stawia je ona w bardzo niekorzystnym świetle, a niektórych przedstawicieli tego środowiska po prostu osobiście kompromituje. Z kolei część elit politycznych wywodzących się z Solidarności poświęca politykę historyczną na ołtarzu zależności od współpracy z niemieckimi instytucjami. Polityka historyczna w wykonaniu rządu na przestrzeni ostatnich lat – mówiąc delikatnie – nie zwalała z nóg. A Instytut Pamięci Narodowej, potężna polska instytucja mająca szereg narzędzi do jej wspierania i współtworzenia, kompletnie się nie sprawdził. Najskuteczniej radził sobie ośrodek prezydencki, bowiem głowa państwa potrafiła bardzo sprawnie połączyć swą aktywność międzynarodową z budowaniem wizerunku Polski w kontekście naszych dziejów. Musimy mieć jednak świadomość, iż uporanie się z zaniedbaniami w budowaniu opowieści o naszej przeszłości, prostowanie utrwalonych kłamstw na jej temat wymagają zdecydowania, pomysłu, a przede wszystkim koordynacji pomiędzy wszystkimi ośrodkami władzy i najważniejszymi instytucjami. Musi zagrać orkiestra, a nie kilku rozproszonych po różnych salach muzyków, prezentujących na dodatek kompletnie odmienny repertuar. Czas zatem najwyższy zmobilizować wszystkie siły, by polityka historyczna zaczęła działać na korzyść dzisiejszej i przyszłej Rzeczypospolitej. Nadzieją na nową jakość jest także wybór (gdy zamykamy ten numer naszego miesięcznika, dotyczy to tylko Sejmu) nowego prezesa IPN. Doktor Karol Nawrocki doskonale rozumie potrzebny państwa i toczącą się wokół przeszłości geopolityczną grę, a podczas pracy w Muzeum II Wojny Światowej udowodnił także, że potrafi skutecznie zmieniać to, co szkodzi wizerunkowi Polski. Instytut pod jego rządami ma szansę odbudować dawne znaczenie i zacząć w pełni wykorzystywać swój potencjał. Ale na rywalizację między państwami na polu opowieści o przeszłości należy również patrzeć jak na grę, w której poza wiedzą i techniką liczą się również mocne nerwy i umiejętność rozpoznania pułapek, w jakie chcą nas wprowadzić rywale. Relacje polsko-ukraińskie poddawane są stałej presji ze strony Federacji Rosyjskiej, która wykorzystuje wszystkie ciemne strony naszej wspólnej historii. Rzecz jasna czyni tak nie po to, by wesprzeć w tym sporze którąkolwiek ze stron – o zgrozo, są w Polsce środowiska dające wiarę takim opowieściom – ale by jątrzyć i niszczyć sojusze postrzegane przez Kreml jako zagrożenie. Warto o tym pamiętać, wspominając Ofiary ludobójstwa na Wołyniu, i nie dać się wyprowadzić w pole różnej maści prowokatorom. ■

eprasa.pl 6b6c684efd

Piotr Lisiewicz



Pionierka w czerni i niemieccy komedianci

„Władysław Zamoyski po wesołym świecie chodzi jakby mara Polski" – pisał poeta Zygmunt Krasiński o mężu Generałowej. Jak mara, czyli zmora, jawi się dziś sama Jadwiga Zamoyska uczniom szkół, którym patronuje. A to za sprawą jej zdjęcia w czarnej sukni, bez uśmiechu oraz ze wzrokiem mówiącym: przyłapałam cię na ściąganiu. I jak tu wytłumaczyć nastolatkom, że w dostojnej patronce ze szkolnej ściany, w Turcji kochali się żołnierze jej męża-generała, że to bywalczyni paryskich salonów, że światowe gazety uznawały ją za pionierkę, gdy chodzi o prawo kobiet do nauki, że pisali do niej papieże, a „Daily News" nazywał ją „jedną z najznamienitszych kobiet w Europie"? Ale skądinąd intuicja młodzieży, iż w zdjęciu Zamoyskiej tkwi jakaś tajemnica, jest prawdziwa. Czas ją rozszyfrować.



FOT. MUZEUM ZAMOYSKICH W KOZŁÓWCE

eprasa.pl 6b6c684efd



Jadwiga z Działyńskich i Władysław Zamoyski z córką Marią

eprasa.pl 606c084ef

W nocy 8 czerwca 1886 roku zamek w podpoznańskim Kórniku otoczyli pruscy żandarmi. Dowodzący akcją niemiecki „landrat" zażądał, by przebywająca „nielegalnie" w swoim zamku Generałowa opuściła go. W drzwiach stanęła sama Jadwiga Zamoyska, która oświadczyła urzędnikowi, że tego progu nigdy żaden Niemiec nie przeszedł i może to zrobić jedynie po jej trupie!

▶ Wielmożną hrabinę do ciupy wsadzili!

Mimo tak bezczelnej deklaracji „landrat" nie odważył się jej aresztować, a wybrał się do co znaczniejszych Polaków w okolicy, by ci upartą Zamoyską przekonali. Negocjacje trwały trzy dni. Maria z Kwileckich Żółtowska tak wspominała wydarzenia wokół zamku: „Zaczęły się szykany z obu stron – ale nierówne były siły". W końcu wobec niepowodzenia mediacji Zamoyską aresztowano i osadzono na 24 godziny w areszcie w Śremie, w celi numer 33. Następnie odstawiono do granicy.

Sensacyjna wieść o tym wydarzeniu obiegła cały świat. O „występku policji niemieckiej" z oburzeniem pisały gazety francuskie – „Le Monde", „Le Temps" „Le Matin" czy „Revue". Zaś tygodnik „Kraj" z września 1886 roku przytaczał przemowę „obywatela Gruczki", socjalisty, wygłoszoną podczas posiedzenia Koła Stowarzyszenia Robotników w Londynie. Ów wróg bogaczy, do głębi przejęty aresztowaniem polskiej hrabiny, taką oto wykładnię socjalistycznych poglądów w odmianie polskiej przedstawił: „Póki biedny Polak jest w Londynie, na Wajtczapku (Whitechapel) i żydom szlipry szyje (slippers – pantofle), to niech tam sobie będzie socjalista, ale jak tu przyjedzie, to niech pamięta, że my w narodzie wszyscy równi – panowie, łyki i chłopy, różnicy między nami nie robią bizmarki! (Bismarcki). Dawniej to się panowie kłócili między sobą, a chłopu czupryna trzeszczała... a teraz nas wszystkich jedna bieda dusi i panu też tak źle, kieby chłopu – jakeśmy to widzieli, kiedy jaśnie wielmożną hrabinę Zamoyską niby jaką tam niczego, do ciupy wsadzili!".

Sama Zamoyska w liście do siostry Elżbiety dowcipnie komentowała te wydarzenia: „Mówi Pismo Św., że jak Bóg chce kogoś ukarać to mu rozum odejmuje, to chyba jedyne tłumaczenie takiej komedii. Taką śmieszność i taką ohydę na siebie ściągnąć, a przy tym rozbudzić u naszych, choćby najbardziej ospałych i obojętnych oburzenie, które wcale nie służy germanizacyjnym wpływom".

O tym, jakie w Kórniku było podejście do Niemców, wiele mówi anegdota, którą Zamoyska przytacza w swoich „Wspomnieniach". Oto kiedy ktoś dowodził, że Prusacy są o wiele wyżsi od Moskali i że los Wielkopolski o wiele szczęśliwszy niż zabranych prowincji, Pan Kielisiński, bibliotekarz kórnicki, odpowiadał: „Nie wiem co lepsze, czy w błocie się kąpać, czy w wódce kolońskiej się utopić".

▶ Bądź samodzielna, silna i zahartowana!

Powodów, dla których Zamoyska nie była mile widziana w Poznańskiem, było wiele, a najważniejszy nazywał się Szkoła Domowej Pracy Kobiet. Pisarz Kornel Makuszyński tak opisywał ją już w czasach wygnania z Kórnika do Zakopanego: „Zjawiała się w tym domu dziewczyna ze Śląska czy z Warmii, aby się nauczyć gotować, szyć i prać. Owszem, nauczono ją tego wybornie, lecz jeszcze lepiej nauczono ją mowy polskiej, polskiego czucia i związano ją już na zawsze z ojczyzną".

Nie trudno więc domyślić się, co przeszkadzało Niemcom najbardziej. Jak podkreślał Makuszyński, program szkoły był nowatorski, „zmieniany według europejskich postępów", ale „jeden program nigdy natomiast zmianie nie uległ: wychowania narodowego. Dusza tego domu była zawsze nieskazitelnie polska, a taka promienista, że ratowała serce chore, słabo bijące lub obojętne". „Służyć Bogu – służąc Ojczyźnie. Służyć Ojczyźnie – służąc Bogu" – to hasło zna dziś każdy uczeń szkół imienia Generałowej Zamoyskiej.

Dodajmy, że dostęp kobiet do nauki był wówczas ograniczony, a już wyrabianie w nich samodzielności miało niemal feministyczny wydźwięk. Bo jak pisał Makuszyński, „nauczano tu poza tym: »bądź dzielna i samodzielna, silna i zahartowana, wielką w sobie noś godność, charakter miej nieugięty!«". To było wówczas coś niezwykłego na skalę europejską i nie dziwi, że belgijski minister de Vuyst tak zachwycał się założycielką szkoły: „Jadwiga Zamoyska jest pionierką wykształcenia gospodarczego kobiet nie tylko w Polsce, ale i w Europie".

▶ Wśród narodowych klęsk jeszcze jedna: moje narodziny

Czy Zamoyska zadowolona byłaby z tego, jak odbierane są dziś w szkołach jej portrety? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w jej „Myślach wybranych" ze świetnym wstępem Marii Łuczak. Otóż Generałowa pisała: „Człowiek posępny nie może ani Boga chwalić, ani Bogu chwałę przynieść. Nic nie może. Smutny, posępny sługa najwymowniej świadczy, że ma złego pana".

Jej dwutomowe „Wspomnienia" pełne są autoironii i to już od opisu własnych narodzin w roku

FOT. PLATFORMA CYFROWA BIBLIOTEKI KÓRNICKIEJ

eprasa.pl 6b6c684efd



Jadwiga
z Działyńskich
Zamoyska

1831, tuż przed klęską powstania listopadowego: „Wśród tylu narodowych klęsk, wśród tylu obaw najrozmaitszych i najdroższe jej osoby, o ich życie i dobrą sławę, wśród tak rozmaitych i przeciwnych sobie zapatrywań, wśród cholery, szubienic, pożarów, armatnich strzałów, biedna moja Matka przygotowywała się do mego przyjścia na świat".

Ładna i urocza, czyli „szkaradne dziecko"

Była córką Tytusa Działyńskiego i Gryzeldy Celestyny z Zamoyskich. O ślubie swych rodziców napisze we „Wspomnieniach": „Znałam jeszcze fornali, którzy mi opowiadali, że im na tę okazję całe nowe ubrania, od sukmany do butów posprawiano. I jak mój Ojciec wymagał, żeby wszystkie szczegóły ich włościańskiego wielkopolskiego stroju były uszanowane".

Ale jej dzieciństwo miało być zupełnie inne od tej sielskiej wizji. Ojciec wziął bowiem udział w powstaniu listopadowym, zaciągając się do pułków poznańskich. W wyniku tego bogaci dotąd rodzice, mimo iż żyli pod panowaniem niemieckim, a nie rosyjskim, znaleźli się bez środków do życia. Pisała o tym Jadwiga: „Wskutek tajnego przymierza między Moskwą a Prusami, zaczepnego i odpornego, mój Ojciec, za udział wzięty w powstaniu, oskarżony był o zdradę stanu i majątek jego Kórnicki zasekwestrowany. Był zatem mój Ojciec bez grosza dochodu. Majątek zaś mojej Matki, Ręczaje w Królestwie, po powstaniu stał się dla moich rodziców nieprzystępnym; dość że moja Matka tak była pozbawiona dochodu jak mój Ojciec".

W efekcie znaleźli się w Galicji, w Oleszycach, a warunki, w których przyszło jej dorastać, najcelniej opisuje jadłospis: „Chleb razowy, kawa, i herbata rzadko kiedy, ale zawsze bez cukru. Mięso tylko kiedy niekiedy. Wskutek tego nędznego życia, z którego moja Matka nie chciała się nikomu zwierzać, ażeby na nikim nie ciążyć, wiedząc, jak ciężkie były dla wszystkich czasy, wpadła w ciężki tyfus".

Ale skromne życie nie było tylko skutkiem represji, bo rodzice dbali o to, by dzieci nie popadały w zbędne zadufanie. Trudno nie roześmiać się, czytając o takiej oto ich reakcji na liczne pochwały urody dziewczynki: „Moja Matka, chcąc mnie od próżności zabezpieczyć, powiedziała mi kiedyś, że to rzecz zwykła, że kiedy ktoś chce rodziców ucieszyć, to ich dzieci wychwala, i że mogę się sama o tym przekonać, i że bylebym weszła do salonu z lalką, chociaż ona byłaby szkaradną i bez głowy, to mi wszyscy powiedzą, jaka ładna lalka, żeby mnie ucieszyć. Utwierdziło mnie w tym przekonaniu i to, że kilka razy na ulicy i w sklepach słyszałam słowa: jolie, charmante [z francuskiego: ładna urocza – przyp. PL] itp., a gdy pytałam Emilki, co znaczą, mówiła mi, że się to znaczy: »szkaradne dziecko«".

Kłuliśmy się igłami, okładali pokrzywami, szczypali aż do krwi

Mocno przesadzone opinie o łagodnym podejściu do Polaków w zaborze austriackim Zamoyska prostuje, opisując, jak rząd austriacki skutecznie starał się lud ze szlachtą poróżnić. W efekcie gdy w Galicji panował głód, „ludzie słomę z dachów zdzierali, ażeby ją gotować i jeść. Pamiętam o dziecku jednym, które umarło, najadłszy się ziemi! Moi rodzice chleb po wsi rozdawali, ale nikt go z ręki ich przyjmować nie chciał... jakby się bali, że jakowąś jadowitą żmiję zawiera. Sami nam później opowiadali, że nie śmieli go do ust brać, tak byli przekonani, że jest zatruty".

Do Kórnika Działyńscy powrócić mogli teoretycznie od roku 1839, ale w praktyce stało się to w 1842 roku. Jak pisze Maria Łuczak, Jadwiga żyła w biedzie, ale też w rodzinie uosabiającej najlepsze tradycje patriotyczne i najszlachetniejsze cechy obywatelskie, dziedzicząc najwięcej talentów swego wybitnego ojca. Zamoyska tak opisuje ówczesne dziecięce zabawy z bratem: „Mój brat zaczynał podrastać; Mickiewicza Dziadów całymi stronami na pamięć się uczył i nam powtarzał. Warszawska cytadela, knut, kibitki, Syberia były to przedmioty rozmów na porządku dziennym, nigdy się nie kończące. Dla Kraju żyć, dla Kraju cierpieć, dla Kraju pracować, dla Kraju umrzeć – o tym nam się marzyło bez zdradzania cierpienia i drgnięcia twarzy. Zapalone zapałki kładliśmy sobie na nogach, póki się same nie dopalą. Kłuliśmy się igłami, okładali pokrzywami, szczypali aż do krwi... Prawdziwie polskie dla dzieci zabawy!".

Oto i klucz do wyjaśnienia tajemnicy czarnej sukni, która wówczas była w najlepszych polskich domach aż za dobrze zrozumiała. Zamoyska pisała: „Moja Matka, jak ją kto pytał, czemu nie daje wieczorów tańcujących, mając mieszkanie po temu i dorastające córki, mawiała: »Jak Polska będzie wolną, wówczas będziemy tańcowali i balowali, ale nie przed tym«".

Uwolnić kraj od żydowsko-pruskich wpływów

Od ojca uczyła się szacunku dla biedniejszych i rozumienia ich życia. Pisała: „Opowiedziałam mu razu jednego z wielkim oburzeniem, że przyszła jakaś kobieta, która płacze i rozpacza nad

eprasa.pl 6b6c684efd

tym, jak padła jej krowa, więcej, jakżeby jej dziecko by umarło. Mój ojciec mnie połajał, pytając, czy nie rozumiem, że strata krowy jest groźbą dla wszystkich innych dzieci, które z tej krowy żyją?".

Wpływ Tytusa Działyńskiego na córkę był ogromny. Pisała o nim: „Mówiono zawsze, że mój Ojciec jest wielkim oryginałem; w istocie miał on charakter wcale niezwykły a pełen sprzeczności... wesół, dowcipny, cięty. Jego rozmowę można by porównać do jakiegoś ogniotrysku. Nigdy nic banalnego, rozmowa jego była dla nas niezwykle kształcąca, a rozmawiał tak chętnie o rzeczach najprostszych, jak o najgórniejszych".

O Ojcu-dyplomacie pisała gdzie indziej: „Mój Ojciec uważał, że mężczyźni w Polsce powinni starać się o władanie z łatwością i dokładnością językami zaborczych rządów, tak dla załatwiania rozmaitych interesów, jak dla bronienia praw swoich, o ile to dla nas możebne; ale nie mógł znieść, ażeby kobiety uczyły się po moskiewsku lub niemiecku; mawiał, że tak długo jak kobiety z tymi językami nie mówią, to te języki się do salonów nie wcisną".

W opisach Zamoyskiej odnajdujemy najwybitniejszych wśród ówczesnych Wielkopolan i opisy pracy organicznej, mającej budować gospodarcze podstawy pod niepodległość: „Mieszkał w Poznaniu ukochany i niezmiennie przez moich Rodziców szanowany, doktor Karol Marcinkowski... Dniem i nocą najbiedniejszym pomoc nosił z narażeniem własnego życia, a przy tym jaki Polak! Chciał kraj dźwigać, uwalniając go, ile możebne, od żydowsko-pruskich wpływów i wyzyskiwań; w tym celu starał się podźwignąć narodowy przemysł i kupiectwo. Wszystkie zajezdne domy i wszelki handel były w rękach Żydów i Niemców". Jak wspomina, Marcinkowski mówił jej bratu: „No ty, Działyński, daj mi słowo, że nie będziesz u Żydów i Niemców kupował bez koniecznej i gwałtownej potrzeby".

Proboszcz nie udzieli im ślubu, bo... już go dał

Ślub Jadwigi ze starszym o 28 lat Władysławem Zamoyskim, konserwatywnym politykiem, ważną postacią Hotelu Lambert, w 1852 roku był wydarzeniem kontrowersyjnym, gdyż był on jej wujem. Kościół dopuszczał wówczas udzielanie dyspensy w podobnych sytuacjach. Jadwiga bardzo kochała swojego wuja, jednak wcześniej nie myślała o tym w małżeńskich kategoriach...

We „Wspomnieniach" odnajdujemy autoironiczne opisy jej wahań. Rozmowę z ojcem na ten temat opisuje następująco: „Pokazałam mu stos potarganych listów. »To ja napiszę, że nie chcesz i na tym koniec« – powiedział mój Ojciec. »Nie, proszę nie pisać; niepodobna«. »No to napiszę, że chcesz«. »Nie chcę, nie mogę, proszę nie pisać!«. »No to napisz sama, co ci się święcie podoba; daję ci na to dziesięć minut, a jak nie skończysz, to mówić z tobą nie chcę«".

Gdy ostatecznie się zdecydowała, na przeszkodzie zaczęli stawać Niemcy, o których Jadwiga pisze sarkastycznie, że w kwestii małżeństwa „rząd pruski nie lepiej był usposobiony ode mnie". Kłody rzucane pod nogi przez ów rząd wyglądały następująco: „wysłał proboszczowi kórnickiemu surowy zakaz dawania nam ślubu, gdziekolwiek bądź byśmy go brać mieli... ledwo proboszcz kórnicki posłał to upoważnienie do proboszcza jakiej innej miejscowości, ten drugi i trzeci proboszcz podobny zakaz otrzymywali... Nareszcie proboszcz katolicki w Lipsku powiedział moim rodzicom, że Sobór Trydencki nie był publikowany w Hale, więc tam proboszcz może ślub dać bez zwykłych formalności, to jest bez upoważnienia proboszcza kórnickiego... Ledwośmy po ślubie wyszli z kościoła, przyszedł do niego urzędnik z policji z zakazem dania nam ślubu. Proboszcz odpowiedział, że z pewnością go nie da, bo już dał".

Chyba już tylko poeci...

W efekcie wraz z mężem przeniosła się do Paryża, a potem towarzyszyła mu w podróżach politycznych, m.in. do Turcji i Wielkiej Brytanii. Bardzo wnikliwe opisuje skład ówczesnej polskiej emigracji: „Wychodźstwo polskie liczyło w swoim łonie nie tylko tych, co w wypadkach 31 roku najbardziej się byli wobec Moskwy skompromitowali, a zatem wszystkich członków Rządu Narodowego i wszystkich generałów i wyższych oficerów wojska polskiego, ale i tych wszystkich, co mieli jakąś myśl do wypowiedzenia czy modlitwę, czy pieśń, czy choćby tylko powieść osnutą około dziejów narodowych, związaną z jej przeszłością".

Nazywana była szefową gabinetu męża. Talenty polityczne Zamoyskiej oddaje wiele spośród jej „Myśli wybranych", jak na przykład ta: „Czy obecny stan naszego kraju nie stąd właśnie pochodzi, że nasi sąsiedzi o wiele lepiej znali nas, niż my ich; że oni wiedzieli z czym, do kogo się u nas udawać, jakie struny poruszać, o czym z kim mówić, żeby swego dopiąć – a myśmy sobie mało zadawali pracy, ażeby ich przenikać. Oni z daleka dla nas sidła zastawiali, a myśmy zawsze ślepo w nie wpadali".

eprasa.pl 6b6c684efd

We „Wspomnieniach" Zamoyska ubolewa nad rosnącymi „wpływami wolterianizmu" wśród polskich emigrantów i zauważa: „Chyba już tylko poeci dla poezji mieli jeszcze słowa wiary na ustach, ale i im ta wiara nie była bynajmniej przewodniczką życia i kierowniczką umysłu".

▶ Nie oddawajmy dzieci do szkół bezwyznaniowych!

W 1868 roku zmarł jej mąż, którego sześciotomowe wspomnienia przygotowywała pieczołowicie do druku. W 1881 roku powróciła do Kórnika i rok później założyła tam „Szkołę Domowej Pracy Kobiet". Jej tezy pojawiające się m.in. w książce „O wychowaniu" należą do najważniejszych w jej dorobku i w roku 2021 czytelnik jest zaskoczony ich aktualnością. Kto czytał „Wspomnienia" zauważy, że to po ojcu odziedziczyła zarówno głęboką wiarę, jak i gotową do poświęceń miłość ojczyzny.

Pisała: „Dawnych naszych wojaków hufce nazywano wiarą, bo w imię wiary szli do boju i zwycięstwa. Jeżeli się chcemy na nowo ze zwycięstwem zapoznać, powróćmy do wiary ojców, zdobywając tę starodawną wiarę nauką i modlitwą". Wyznawała tę wiarę w słowach: „Dzień, w którym nic nie robimy, żeby w sobie rozwinąć życie Chrystusowe, oddala nas od niego", „Wartość i owoc modlitwy nie pochodzą z mnóstwa powtarzanych pacierzy, ale ze skupienia, jakie towarzyszy choćby najkrótszemu westchnieniu ku Bogu".

Co z relacją pomiędzy wiarą i rozumem? Miała to jasno w głowie ułożone: „Wszelka nauka bez wiary służy raczej do paczenia umysłu, niż do kształcenia go; ale jeżeli nauka bez wiary wykoleja umysł, a tym samym sąd i życie całe, to nauka oparta na wierze i jej towarzysząca stokroć pomnaża dobrodziejstwa z wiary płynące". „Na co nauka i wykształcenie, jeżeli im nie towarzyszy wychowanie, to jest wyrobienie zdrowego sądu, czujnego sumienia, mężnej woli i hartu duszy?" – pytała.

Jako niemal feministka, usamodzielniająca kobiety, była zwolenniczką tego, by Polacy kształcili dzieci wyłącznie w szkołach katolickich: „Kiedy dzieci dobrowolnie oddajemy do szkół bezwyznaniowych lub obcych wyznań, kiedy całe łany ziemi, kiedy karczmy, sady sprzedajemy, wydzierżawiamy lub w zarząd oddajemy wrogom naszej wiary, naszego narodu, kiedy wśród takich ludzi wybieramy sobie pracowników wszelkiego rodzaju i stopnia, pomijając własnych rodaków, czy możemy sumiennie powiedzieć, że własnego narodu nie zabijamy równocześnie na duchu i ciele?".



Jadwiga z Działyńskich Zamoyska

Ten patriotyzm Zamoyskiej był niemniej bezkompromisowy, co wiara w Pana Boga. Jej twarde stanowisko wobec obcej propagandy oddawały słowa: „Nie trzeba chłostać własnego narodu rózgami zbieranymi w obcych krajach: to kaleczy i obraża, a nie naprawia". Mówiła też to, co często sprawdza się pod naszą szerokością geograficzną: „Ten, kogo nie stać na bohaterstwo, często na nikczemności skończyć musi".

▶ Generał w spódnicy i „Cepculki"

Kto chciałby jej myśl postrzegać jako sztampowo konserwatywną, mocno się jednak myli. Poddana niemieckim represjom w 1885 roku, objęta tzw. ustawami bismarckowskimi, Zamoyska została wydalona z Prus jako obywatelka Francji. Jej szkoła tułała się wówczas m.in. po Lubowli na Spiszu i Kalwarii Zebrzydowskiej. W 1891 roku trafiła do zakopiańskich Kuźnic, które jej syn nabył w 1889 roku na licytacji.

Zakopiańska bohema artystyczna, w osobie Magdaleny Samozwaniec w książce „Maria i Magdalena", postrzegała jej szkołę tak: „Gene-

FOT. PLATFORMA CYFROWA BIBLIOTEKI KÓRNICKIEJ

eprasa.pl 6b6c684efd



rałowa Zamoyska, jedna z właścicielek Tatr, posiadała w Kuźnicach słynną szkołę gospodarczą dla młodych dziewcząt. Szkoła ta dzieliła się na dwa chóry. Chór pierwszy – płatny – przeznaczony był dla panien z obywatelskich domów, które miały się wyuczyć gospodarstwa domowego i wiejskiego, i drugi chór – bezpłatny, dla wiejskich dziewcząt, które miały się tam wykształcić na wzorowe gosposie. Generałowa była istnym generałem w spódnicy i jej wychowanice, tak zwane Cepculki (od białych czepców, które nosiły na głowach), trzęsły się przed nią ze strachu". Samozwaniec zabawnie opisywała chronienie owych dziewcząt przed kontaktami z chłopakami: „Młodzi Kossakowie znani byli z wybitnej urody. Ilekroć po drodze do Kuźnic napotykali panią Zamoyską na czele hufca Cepculek, czujna pani generałowa rzucała głośno komendę dziewczynkom: »patrz w lewo«, gdy Kossakowie szli prawą stroną szosy, lub »patrz w prawo!«, gdy szli po lewej".

Ale spojrzenie artystki to niecała prawda. Myśl Zamoyskiej szła w poprzek schematycznych podziałów. Owszem, wyznawała ona ideologię posłuszeństwa. Pisała, że „szkoła ma odegrać w życiu dziewczyny tę samą rolę, co służba wojskowa w życiu chłopca". Uwzględniając realia narodu bez Ojczyzny podkreślała wagę dyscypliny: „Czyż najlepszym wodzem nie jest ten, kto sam najlepiej wodzów swoich rozkazy wykonywał?".

Przy czym jej tezy zawierają ostrzeżenia przed nadmierną surowością: „Dzieci surowo za kłamstwo karane, zwykle uczą się tylko umiejętniej kłamać". Pada nawet: „Trzeba mieć miłosierdzie dla tych, co popadają w rzeczy wstrętne. Czemuż święci całowali zarazy i trądy? Jeśli trąd fizyczny zasługuje na miłosierdzie, to stokroć więcej trąd moralny. Pan Jezus dla grzeszników. Sprawiedliwi nie potrzebują miłosierdzia".

„Bij się o zasady"

Jej patriotyzm jest pełen oryginalnych myśli, obalających stereotypy. Pisała do syna Władysława, że ludzie „kłócą się na zabój o rzeczy drobne i obojętne, a o fundamentalnych zdaje się, że nic nie mają do powiedzenia [...]. Nie ucieraj się o drobiazgi, a bij się, jeżeli trzeba, o zasady". Apelowała do niego o siłę woli: „Nie o to chodzi, aby zrobić, ale o to, aby robić. Rób, to główne, a czy zrobisz, to już zostaw Panu Bogu". Z ogromną przenikliwością pisała, że narody są uleczalne, jeżeli „wykształcą w sobie te właśnie cnoty, których brak zgubił poprzednie pokolenia".

Pan Bóg dał jej dożyć efektów dzieła, do którego przyczyniła się w niemałym stopniu, czyli niepodległej Polski, która zaczęła się w 1918 roku. Szkoły Jadwigi Zamoyskiej doceniali wcześniej także papieże. „Doskonałej pobożności rozpoczęłaś dzieło, którego zadaniem wychowywać i młode dziewczęta stosownie do ich społecznego stanowiska" – pisał do niej Leon XIII. Pius X nazywał jej działalność „praktyczną szkołą życia chrześcijańskiego".

Ostatnie lata życia spędziła znów w swoim Kórniku. Przed śmiercią zdążył podziękować jej za wszystko Marszałek Piłsudski, który odwiedził jej rodzinę. Od Naczelnika Państwa dostała Order Odrodzenia Polski. Zmarła 4 listopada 1923 roku w Kórniku, mając lat 92.

W dwudziestoleciu międzywojennym rozprowadzano obrazki z wizerunkiem Jadwigi Zamoyskiej oraz modlitwą za jej wstawiennictwem wydane za zgodą kurii arcybiskupiej w Poznaniu. Sprawę starań o jej beatyfikację propagowało Stowarzyszenie Matki Bożej Dobrej Rady w Kuźnicach. 27 listopada 2012 roku Kuria Metropolitalna w Poznaniu oficjalnie wszczęła proces beatyfikacyjny Jadwigi Zamoyskiej. Odtąd przysługuje jej tytuł Służebnicy Bożej. ■

eprasa.pl 6b6c684efd



Andrzej Kowalski

Cyberbezpieczeństwo to niepodległość państwa. Żeby Rosja nie mogła zmieniać władzy



W czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku w raportach Oddziału II można było przeczytać bardzo interesujące uwagi na temat rosyjskiej pracy propagandowej sprzężonej z wysiłkiem wojennym. Polscy oficerowie pisali wprost, że Sowieci wyprzedzili nas w propagandzie na Zachodzie i dlatego uzyskali tam znaczną przewagę. Dzisiaj zmieniła się skala oddziaływania, teraz jednym kliknięciem, umieszczeniem jednego wirusa, przejęciem kont na mediach społecznościowych, wyciekami z prywatnych skrzynek mailowych można zatruwać dziesiątki tysięcy odbiorców. Komuniści tylko marzyli o takich narzędziach w swojej wytrwałej pracy subwersyjnej, która miała całkowicie zdestabilizować Zachód.

FOT. ADOBE STOCK

W ostatnich tygodniach cyberbezpieczeństwo nie schodzi z pierwszych stron. Pandemia odsłoniła, jak bardzo nasze życie stało się cyber. Ci, którzy do tej pory korzystali z komputerów spontanicznie, stali się pełnoprawnymi beneficjentami rewolucji technologicznej XXI wieku. Smartphone, laptop, tablet są praktycznie we wszystkich domach, czasem jedna osoba dysponuje kilkoma urządzeniami. Coraz więcej dziedzin naszego życia obsługiwanych jest przy pomocy internetu (chyba tylko sądy ciągle nie nadążają, tam wszystko musi być na papierze). Przyniosło to jednak ze sobą nową podatność na zranienie. Wszelkie informacje o wyciekach danych, włamaniach na skrzynki pocztowe, wykradaniu danych przestały być tylko sensacyjne. Każdy taki fakt budzi w nas złe emocje, zupełnie jakby ktoś nas okradł lub na nas napadł.

Ratunku spodziewamy się od rządu. Tymczasem słyszymy, że ofiarą padają politycy, posłowie, ministrowie, więc pytamy, co zostało zrobione przez wszystkie lata szumnie lansowanych programów cyfryzacji? W jaki sposób zostały wydane dziesiątki miliardów złotych? Od ilu lat istnieją urzędy zajmujące się cyfryzacją? Odpowiedź, że cyfryzacja to nie jest cyberbezpieczeństwo, z perspektywy statystycznego Kowalskiego jest świadectwem lekceważenia obywatela. Tymczasem po każdym incydencie administratorzy kierują w naszą stronę proste zalecenia: „nie otwieraj nieznanych linków", „nie klikaj załączników z nieznanych adresów", „nie mieszaj służbowego z prywatnym". I to ma nam wystarczyć? Gdyby to wszystko dotyczyło jakichś domorosłych hakerów, to może. Sprawa jest poważna. Bardzo poważna. Nie ma wątpliwości, że za agresją w sieci stoją państwa: Rosja, Chiny, Iran, Korea Płn. – ograniczając się do najgłośniejszych przypadków, a przecież lista sięga już ponad dwudziestu pozycji.

▶ Cel: osłabienie państwa

Rozważania generała Walerija Gierasimowa (szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej) o nowoczesnym prowadzeniu wojny powinny budzić poważną refleksję. W swoich wypowiedziach mówi o „wojnie nowej generacji", co w pierwszym skojarzeniu odnosimy do nowoczesnych systemów uderzeniowych, stworzonych dzięki lawinowemu rozwojowi technologii. A może powinniśmy zauważyć, że w podobnym stopniu chodzi o nowe (cyfrowe) pokolenie Rosjan. Siergiej Szojgu (minister obrony Federacji Rosyjskiej) już w 2017 roku ogłosił, że Rosja posiada jednostki wojskowe przygotowane do prowadzenia wojny informacyjnej (zgodnie z doktryną FR z 2010 roku). Nie ulega wątpliwości, że Rosjanie do swojej doktryny w pełnej skali wprowadzili wszelkie narzędzia masowego oddziaływania na świadomość przeciwnika. Nie jest to nic nowego. Warto przypomnieć, że w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku w raportach Oddziału II Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego można było przeczytać bardzo interesujące uwagi na temat rosyjskiej pracy propagandowej sprzężonej z wysiłkiem wojennym. Polscy oficerowie pisali wprost, że Sowieci wyprzedzili nas w propagandzie na Zachodzie i dlatego uzyskali tam znaczną przewagę. Dzisiaj zmieniła się skala oddziaływania, teraz jednym kliknięciem, umieszczeniem jednego wirusa, przejęciem kont na mediach społecznościowych, wyciekami z prywatnych skrzynek mailowych można zatruwać dziesiątki tysięcy odbiorców. Komuniści tylko marzyli o takich narzędziach w swojej wytrwałej pracy subwersyjnej, która miała całkowicie zdestabilizować Zachód.

Cel Rosji, konsekwentnie realizowany, przypomniał prezydent Federacji Rosyjskiej 22 czerwca 2021 roku: „Jesteśmy otwarci na uczciwe i kreatywne współdziałanie. To akcentuje też nasza inicjatywa stworzenia wspólnej przestrzeni współpracy i bezpieczeństwa od Atlantyku po Pacyfik, która mogłaby zawierać różne formy integracji, m.in. Unię Europejską i Euroazjatycką Unię Gospodarczą". Łatwo złapać się na taki miraż, ale jakie wartości miałyby scalać tę putinowską „wspólnotę"? Na pewno nie prawa człowieka. A słowa: „Chcę jeszcze raz podkreślić: Rosja opowiada się za odbudową całościowego partnerstwa z Europą. Jest wiele tematów wspólnego zainteresowania: bezpieczeństwo i strategiczna stabilność, zdrowie i edukacja, cyfryzacja, gospodarka energetyczna, kultura, nauka, technologia rozwiązania problemów klimatycznych i środowiska" w zestawieniu z hakerskimi atakami brzmią jak szyderstwo z naiwności zachodnich polityków (w Polsce też nie brakuje głosów o porozumieniu z Putinem).

Nie miejmy złudzeń. W tajnych jednostkach prowadzących wojnę informacyjną szykowane są kolejne ataki. Mają one wielowymiarowy charakter. Z jednej strony będą to ataki na wybrane cele (skrzynka pocztowa ważnego polityka), elementy infrastruktury krytycznej, bazę danych zdarzeń komunikacyjnych, elektroniczną pocztę wojskową. Na przeciwległym biegunie będzie zmasowana propaganda z wykorzystaniem farmy trolli. Cele szczegółowe są różnorodne: sianie niepewności, destabilizacja, budowanie wrogiego nastawienia. Służy to przyspieszeniu zniszczenia tkanki społecznej. W innym wymiarze jest to przygotowanie do wyprzedzających uderzeń informacyjnych, które będą miały miejsce przed akcjami o charakterze sabotażowym, zazwyczaj prowadzonych przez wojska specjalne. Cel główny to osłabienie państwa, zastraszenie jego obywateli, zmiana władzy, czyli podbój społeczeństwa z wykorzystaniem nowoczesnych narzędzi. Komuniści doskonale rozumieli, że nie zdołają tego dokonać, jeżeli najpierw nie

eprasa.pl 6b6c684efd

rozchwieją systemu wartości scalającego masę ludzką w naród, który w sercach ma Ojczyznę (ze wszystkimi możliwymi różnicami co do pomysłów, jak ułożyć jej suwerenny byt). W związku z tym, że nie chodzi o jakąś skrzynkę mailową, trzeba na takie działania odpowiadać bardzo silnie, zarówno na poziomie politycznym, jak i infrastrukturalnym. To jest wojna, w której celem jest uzyskanie wpływu na masową świadomość obywateli. Tu naprawdę chodzi o niepodległość państwa!

Środki obrony przed cyberagresją

W otaczającym nas informacyjnym szumie udało się sprowadzić całe zagadnienie do „wycieku maili". Perspektywa jest szersza i dobrze znana od czasu rosyjskiego ataku na rządowe serwery w Estonii w 2007 roku. Deklaracja końcowa podpisana po szczycie NATO w Warszawie w lipcu 2016 roku w punkcie 71. stwierdza: „Każdy sojusznik deklaruje wywiązywanie się z obowiązku doskonalenia swojej odporności i zdolności do szybkiego i skutecznego reagowania na ataki cybernetyczne". Jednoznacznie uznano bowiem, że cyberprzestrzeń jest obszarem, w którym muszą istnieć silne środki obrony przed agresją. Polska ustawa o cyberbezpieczeństwie powstała 5 lipca 2018 roku, a zatwierdzona przez prezesa Rady Ministrów Strategia Cyberbezpieczeństwa RP na lata 2019–2024 w pierwszym celu szczegółowym zakłada przegląd obowiązującego prawa i jego konieczne modyfikacje. MON powołał też tzw. wojska cybernetyczne. Ministerstwo Cyfryzacji przestało istnieć 7 października 2020 roku, a to właśnie minister cyfryzacji odpowiedzialny był za wdrażanie Strategii Cyberbezpieczeństwa RP. Przeskok w nową erę w pełni cyfrowego państwa nastąpi, nie zatrzymamy tego, chyba że przyjdzie jakiś kataklizm dziejowy. Powinniśmy do tego odpowiednio się przygotowywać.

Jeżeli NATO uznało, że cyberprzestrzeń jest obszarem agresji, to podstawową zasadą obrony jest naznaczenie jednego podmiotu, który jest za to odpowiedzialny. Czy możliwa byłaby obrona Polski w powietrzu, na lądzie lub na morzu, gdyby w każdej z tych domen nie istniało jednolite dowodzenie? Tymczasem ustawa o cyberbezpieczeństwie jest kolejnym przykładem na Polskę resortową, gdyż nie powołano Krajowej Władzy Bezpieczeństwa, tj. podmiotu z jednej strony odpowiedzialnego za kształtowanie rozwiązań chroniących Polskę, a z drugiej wyposażonego w jurysdykcję, której wszyscy muszą się podporządkować. W związku z tym, że sprawa jest naprawdę poważna i jednocześnie działania obronne powinny być prowadzone także w czasie pokoju, powinniśmy powołać oddzielną służbę specjalną o kompetencjach m.in. w zakresie cyberbezpieczeństwa. Nie oznacza to likwidacji wszystkich wykształconych do tej pory podmiotów, lecz z pewnością przydałby się sensowny audyt, scalanie tego, co pracuje w podobnym obszarze, aby osiągnąć pełną centralizację władzy, odpowiedzialności i zdolności obronnych.

Rozwiać wątpliwości

Afera z mailami szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów doczekała się ciekawych komentarzy w mediach. Spekulowano, że polscy urzędnicy, politycy boją się korzystać z poczty rządowej. Wprost padało oskarżenie, że w ten sposób służby specjalne zbierają dane dotyczące korespondencji opozycji politycznej i innych osób, które są dla władzy niewygodne. Ile w tym prawdy? Faktem jest, że wielu polityków i urzędników korzysta z prywatnych skrzynek pocztowych, gdyż wiedzą, że administrator ma wgląd w ich korespondencję. Gdy administratorem jest wielka firma zachodnia, to liczą na jakąś anonimowość. Gdy za administratorem stoi ABW, pojawia się niepewność. Czy są podstawy do tego rodzaju przemyśleń i zachowań? Czy istnieje znany wąskiej grupie urzędników wyższego szczebla jakiś zbiór faktów, który uzasadnia takie postępowanie? Czy ktoś to zbada? A może na tym polega najbardziej wyrafinowany poziom gry, że udało się zaszczepić nieufność do własnego państwa? Jeżeli są podstawy do tego typu przemyśleń, powinny one zostać natychmiast zbadane i wyjaśnione, gdyż to jest pożywka dla kolejnych infekcji. Być może na wirus nieufności do państwa potrzebujemy szczepionki najpilniej.

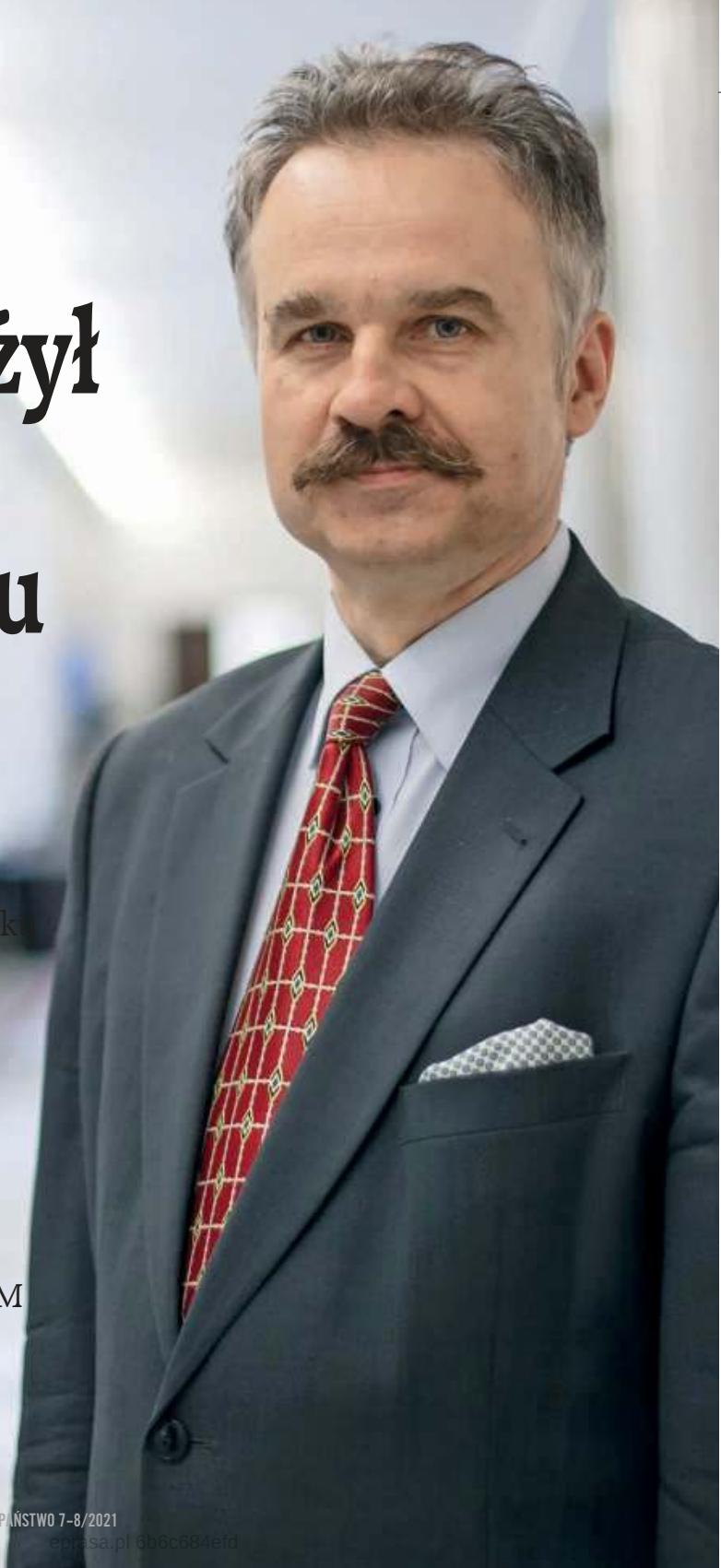
Na koniec dwie konkretne propozycje. Po pierwsze, nie powinniśmy się dziwić, że w cyberdomenie spotykamy się z agresją. To niestety jest normalny stan. Należy wdrożyć powszechny program edukacyjny (świetnym wzorem jest Estonia), który wyposaży Polaków w wiedzę o bezpiecznym używaniu internetu (na ten cel można przeznaczyć jakąś część pieniędzy skierowanych do budżetu TVP – to powinien być podmiot odpowiedzialny za propagowanie bezpieczeństwa w sieci). Po drugie, politycy i wyższej rangi urzędnicy powinni porzucić zaklęty krąg naiwności. Oczywiste jest, że środowiska polityczne, które mają przeciwstawne nam interesy, zrobią wszystko, żeby Polska nie rozwijała się zbyt szybko, żebyśmy w żadnej dziedzinie nie wyprzedzali innych, żebyśmy byli tylko konsumentami cudzych technologii. Zadaniem polskiej klasy politycznej jest podjęcie tego wyzwania z najwyższą skutecznością. Do tego potrzeba narzędzi. Jest to kolejny silny argument za reformą służb specjalnych w Polsce. ■

Gen. bryg. Andrzej Kowalski – szef Służby Wywiadu Wojskowego w latach 2015–2020. W latach 2006–2011 w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego m.in. na stanowisku zastępcy szefa oraz p.o. szefa.

eprasa.pl 6b6c684efd

Nikt nie położył na stole programu KO

Już raz opozycja wierzyła, że po głosowaniu samorządowym w 2018 roku przyszłość stoi dla niej otworem, tymczasem PiS wygrało zarówno wybory do europarlamentu, jak i parlamentarne – z politologiem, profesorem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie WALDEMAREM PARUCHEM rozmawia GRZEGORZ WSZOŁEK.



eprasa.pl 6b6c684efd

▶ Kiedyś okres wakacyjny nazywany był sezonem „ogórkowym" w polityce. Od kilku lat to zupełnie nieaktualna diagnoza. W dniu, w którym rozmawiamy, PiS opuściło trzech posłów: Zbigniew Girzyński, Małgorzata Janowska i Arkadiusz Czartoryski. Założyli koło Wybór Polska, twierdzą, że zawiedli się na postawie swojej partii w ostatnich miesiącach. Przynajmniej na jakiś czas rząd Mateusza Morawieckiego będzie gabinetem mniejszościowym.

Pytanie, czy wspomniana trójka parlamentarzystów przejdzie do opozycji antyrządowej, czy też nie. Jeśli nie złożą takich deklaracji, to secesja z klubu PiS jest nieracjonalna, a przy tym niekorzystna dla Zjednoczonej Prawicy – szczególnie gdy „Polski Ład" ma stać się lewarem politycznym i uporządkować sytuację po pandemii. Takie zachowania szkodzą prawicy – będą zdecydowanie służyć dyskredytowaniu obozu rządzącego i programu rozwojowego w oparciu o środki unijne i krajowe.

▶ Jednocześnie PiS ruszyło z promocją „Polskiego Ładu". Pana zdaniem będzie to program na miarę socjalnych obietnic partii rządzącej sprzed 2015 roku, które m.in. zapewniły jej hegemonię na scenie politycznej?

Myślę, że takiego efektu nie możemy oczekiwać od programu, bowiem „Polski Ład" bardziej stawia akcenty na elementy gospodarcze niż socjalne. Główne założenia mają na celu pobudzić gospodarkę przy wychodzeniu z kryzysu pandemicznego, dać nowe impulsy rozwojowe pozwalające poszczególnym branżom i przede wszystkim rodzinom skorzystać z lepszej koniunktury. Stąd narracja, że w ciągu dekady Polacy mają zarabiać na poziomie średniej unijnej, dlatego najistotniejsze są instrumenty finansowe zawarte w projekcie, związane także z konsumpcją środków europejskich. Polska gospodarka wymaga nowej dynamiki. Podniesienie kwoty wolnej od podatku, drugiego progu podatkowego, inwestycja w program mieszkaniowy, wsparcie zarówno dla lokalnych przedsięwzięć, jak i centralnych – na to warto spojrzeć w kontekście porównań. W dodatku sytuacja polityczna jest inna od tej sprzed sześciu lat, gdyż wówczas PiS znajdowało się w opozycji. Obecnie „Polski Ład" przedkłada obóz rządzący, co zawsze jest trudniejsze, gdy dodatkowo mowa o zarządzaniu w poważnym kryzysie zdrowotnym i ekonomicznym państwa. Nie jest to łatwe zadanie pobudzić wyborców, którzy kilka miesięcy temu porzucili opcję głosowania na PiS – chodzi o grupę wyborców w skali od 8 do nawet 10 proc.

▶ Na horyzoncie pojawiły się też inne problemy rządzących. Pierwszym była dość bolesna porażka Zjednoczonej Prawicy w Rzeszowie. W przypadku Marcina Warchoła można mówić nawet o lekkiej kompromitacji, zważywszy na poparcie ze strony wieloletniego prezydenta miasta, Tadeusza Ferenca. Tam „Polski Ład" się nie przebił albo nie zyskał oczekiwanego poparcia?

Nie postrzegałbym wyniku wyborczego w Rzeszowie na tle „Polskiego Ładu". Po pierwsze, zwyciężyła tam lokalność. Marcin Warchoł nie miał dużych szans nawet na niezły wynik, ponieważ postrzegano go jako polityka z Warszawy. Poparcie ze strony Tadeusza Ferenca, podobnie jak w przypadku innych osób angażujących się na rzecz kandydatów w wyborach, nie musi mieć spektakularnego wpływu na poparcie ze strony głosujących. Nazajutrz po wygranych wyborach Konrad Fijołek zaczął się lekko dystansować od politycznych patronów swojej kandydatury w Rzeszowie. Trudno być prezydentem miasta, gdy samorząd województwa jest trwale i skutecznie rządzony przez samorządowców PiS, marszałka Władysława Ortyla i jego poprzedników z partii Jarosława Kaczyńskiego. W większości powiatów rządzą koalicje złożone z działaczy Prawa i Sprawiedliwości. Znam Rzeszów, wiele lat tam pracowałem, to wspaniałe miasto – szansą na jego rozwój jest lokowanie inwestycji samorządowych, lecz sama metropolia nie jest w stanie wytworzyć niezbędnych impulsów rozwojowych, żeby zaspokoić oczekiwania mieszkańców. Zresztą żyje się tam generalnie dobrze. Nie patrzmy na Rzeszów z perspektywy Warszawy: tam nie stoi się ciągle w korkach, nie wybuchają tam studzienki kanalizacyjne, nie doskwiera aż tak smog. Nie analizowałbym zatem wyborów w kontekście porażki prawicy, która tam nigdy nie rządziła. Nie przeceniałbym również znaczenia tych wyborów. Już raz opozycja wierzyła, że po głosowaniu samorządowym w 2018 roku przyszłość stoi dla niej otworem, tymczasem PiS wygrało zarówno wybory do europarlamentu, jak i parlamentarne.

▶ Następnym punktem zapalnym są koalicjanci. Solidarna Polska gra wyraźnie na siebie, Porozumienie Jarosława Gowina – kiedy wydawało się, że zaakceptowało swoją

FOT. Tomasz Hamrat/Gazeta Polska

eprasa.pl 6b6c684efd

rolę – zmaga się z potężnym rozłamem i tak naprawdę nie wiadomo, czy wicepremier dotrwa w rządzie Mateusza Morawieckiego. W lipcu dojdzie też prawdopodobnie do mocnej rekonstrukcji gabinetu.

Nie oczekiwałbym wyjścia z rządu Jarosława Gowina, ponieważ byłoby to z jego strony zachowanie zupełnie nieracjonalne. Przede wszystkim Porozumienie, choć w mniejszym stopniu, i Solidarna Polska, nie dysponuje stałym elektoratem. Jeśli ktoś na podstawie rezultatu Warchoła w Rzeszowie buduje takie oto przekonanie, że przekroczy próg wyborczy w potyczce międzypartyjnej, to jest w błędzie. Natomiast wyborców Porozumienia po prostu nie ma w wymiarze istotnym – wystarczy podsumować wyniki aktualnych parlamentarzystów tego ugrupowania w wyborach parlamentarnych. Odjąwszy wynik osiągnięty w Poznaniu przez tamtejszą „jedynkę", czyli Jadwigę Emilewicz, ten urobek w skali Polski był mizerny. Porozumienie przechodząc do opozycji nie otrzyma takiego udziału w rządzeniu, które gwarantuje mu Zjednoczona Prawica. Za ostrzeżenie może też służyć los Pawła Kukiza, który zaufał niegdyś PSL, wchodząc do Koalicji Polskiej. Warto posłuchać, co teraz mówi o tym stronnictwie.

▶ **Republikanie pod wodzą Adama Bielana będą odgrywać jakąś większą rolę w polityce? Na kongresie inaugurującym nie zabrakło prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. To wygląda na liczenie i przeciąganie szabel w Sejmie, by nie zostać zaskoczonym na wypadek wolty ze strony albo Ziobry, albo Gowina.**

Należałoby to tak postrzegać: posłowie Porozumienia niegodzący się na wyjście ze Zjednoczonej Prawicy, uzyskują miejsce do „przycumowania". Choć według mnie Partia Republikańska to tylko taktyczne rozwiązanie, bez predyspozycji do politycznej przyszłości politycznej. Kiedy PiS rządzi, choćby minimalna większość w Sejmie nie stwarza wielkich szans politycznych nawet w krótkim czasie dla takich formacji jak Partia Republikańska.

▶ **PiS zawiązało też *de facto* egzotyczną koalicję z Pawłem Kukizem.**

Programową – tak, zdecydowanie. Nie jest to koalicja bynajmniej egzotyczna. Dotyczy ona politycznych propozycji Jarosława Kaczyńskiego i Pawła Kukiza, wśród których jest m.in. projekt powołania sędziów pokoju. Taka reforma jest w stanie zadowolić rzesze Polaków, zważywszy na to, jak działa polski wymiar sprawiedliwości od wielu lat i jak słabe zbiera recenzje od obywateli. Pomysły zaprezentowane w czerwcu mogą być świeżym impulsem politycznym.

▶ **Czy jednak nie zachodzi taka oto groźba, że zaledwie kilku posłów Kukiz'15 zmusi partię rządzącą do przeforsowania reform ocierających się o zmianę konstytucji – jak w wypadku ordynacji wyborczej i jednomandatowych okręgów wyborczych?**

Warto pamiętać o bardzo wstrzemięźliwych wypowiedziach na konferencji Kaczyńskiego i Kukiza, kiedy padła deklaracja o przyszłościowej zmianie ordynacji. Byłbym zaskoczony, gdyby projekt nowej ordynacji wyborczej zyskał akceptację większości w Senacie. Poza tym jest jeszcze ewentualny podpis prezydenta i spór o konstytucyjność nowych rozwiązań, włącznie z rolą Trybunału Konstytucyjnego przy wniosku o zbadanie zgodności tych ewentualnych nowych przepisów z ustawą zasadniczą. Bardzo istotna jest warstwa polityczna tego przedsięwzięcia: jednomandatowe okręgi wyborcze w wersji przedstawionej przez Kukiza zasadniczo nie zmienią sytuacji. Oczekiwanie, że JOW staną się panaceum na dolegliwości systemu, są z gatunku bajkowych. W wielu państwach taka ordynacja generuje również patologie, jak na przykład we Francji i w Wielkiej Brytanii – parlamenty nie są reprezentatywne dla układu poparcia społecznego w wyborach. Ordynacja niemiecka jest pod tym względem lepsza, ale Niemcy są państwem federalnym: odrębność landów musi zostać uszanowana. Reasumując, rzeczywistość z JOW wcale nie należy do tak oczywistych, jak wydaje się Kukizowi.

▶ **Od kilku tygodni obserwujemy cyberatak – według polskich służb specjalnych zainicjowany z terytorium Federacji Rosyjskiej. Pewne jednak jest to, że – nawet jeśli e-maile zmanipulowano – najważniejsi ministrowie posłowie korzystają ze zwykłych skrzynek pocztowych, niezabezpieczonych profesjonalnie. Kryzys będzie się pogłębiał?**

Na poziomie publicznym raczej już nie, lecz w warstwie utajonej – czego się nie dowiemy – służby specjalne zapewne podejmą szereg działań w skali NATO, a nie tylko państwa polskiego. Nie wierzę w pomoc Unii Europejskiej, bo ona wielokrotnie wykazywała się indolencją

eprasa.pl 6b6c684efd

w momentach kryzysowych. Nie jesteśmy zresztą pierwszym państwem atakowanym przez hakerów w ostatnich latach z Rosji. Na naszym przypadku nie skończy się ta historia. Zwrócę uwagę, że silniejsze i bogatsze podmioty ulegały już cyberatakom i poddawały się szantażom. Styl działania Rosjan wynika z kultury strategicznej, jeszcze znanej z imperium carskiego i bolszewickiego. Nic się w tej materii nie zmieniło od tamtych czasów.

▶ Na zjeździe krajowym władzę w PO miał objąć Donald Tusk, lecz przełom kolejny raz przesunięto. Były premier wróci do politycznej gry na pełen etat?

Wydarzenia wokół Tuska przypominają historię o króliczku, którego stara się gonić, lecz celem nie wydaje się złapanie go. Cała opowieść o powrocie byłego premiera snuta jest rzeczywiście po raz kolejny, choć podczas eurowyborów w 2019 roku wystąpił na Uniwersytecie Warszawskim jako patron zjednoczonej opozycji, co skończyło się istotną porażką. Z badań społecznych wynika, że nie ma wielkiego zapotrzebowania na powrót do Polski Tuska, poza oczekującymi wyborcami PO, którzy uważają go za lek na całe zło w kontekście niskich notowań partii. Aspiracje tegoż polityka mogą stać się problemem głównie dla Polski 2050, czyli głównego przeciwnika Koalicji Obywatelskiej i PSL, zepchniętego w omawianym wariancie do narożnika. Mało prawdopodobne, aby Tusk zaakceptował centrową strategię „ludowców". Nie mam jednak przekonania, że wróci do naszej polityki. Dodatkowo wymowne jest milczenie byłego lidera PO w temacie powrotu.

▶ Tusk byłby punktem zwrotnym dla frontu antypisowskiego? Koalicja Obywatelska ma mnóstwo problemów i nie widać nikogo, kto poza nim byłby w stanie jeszcze je „udźwignąć".

KO przede wszystkim nie potrafi przewartościować oceny własnych rządów z lat 2007–2015. Uparcie się powtarza, że należy wrócić do okresu rzekomej prosperity i odwrócić wszystko to, co nadeszło wraz z epoką Zjednoczonej Prawicy. Tego nie akceptują jednak w większości wyborcy. Po drugie, KO notuje kłopoty z elitą partyjną, która w ławach opozycji nie wyciągnęła wniosków i niczego się nie nauczyła. I po trzecie, środowisko Platformy celowo nie dostrzega pozytywnych zmian w ostatnich latach, choćby w wymiarze zamożności społecznej, dystrybucji dochodów, zrównoważonego rozwoju. Nikt nie położył na stole programu KO, liberalizm nie cieszy się też w Polsce szerokim poparciem.

▶ Opozycja zanotowała jednak jeden sukces w Rzeszowie. Celebrowała go przez kilka dni tak, jakby Konrad Fijołek wygrał wybory prezydenckie z Andrzejem Dudą.

GŁÓWNE ZAŁOŻENIA „POLSKIEGO ŁADU" MAJĄ NA CELU POBUDZIĆ GOSPODARKĘ PRZY WYCHODZENIU Z KRYZYSU PANDEMICZNEGO, DAĆ NOWE IMPULSY ROZWOJOWE POZWALAJĄCE POSZCZEGÓLNYM BRANŻOM I PRZEDE WSZYSTKIM RODZINOM SKORZYSTAĆ Z LEPSZEJ KONIUNKTURY.

Jakoś nie pamiętam jednak, aby kandydat opozycji w Rzeszowie twierdził, że oto stanowi odnowę dla opozycji. Niektóre media opisywały wygraną Fijołka w kategoriach wygranej, jeśli nie ogólnopolskiej, to co najmniej niczym w Warszawie. Przypisuje się wyborom w Rzeszowie nadmierne znaczenie polityczne.

▶ Jeśli mielibyśmy prognozować: kiedy Pana zdaniem odbędą się wybory parlamentarne?

Załóżmy, że polityka opiera się na racjonalności. Skoro tak, to wybory parlamentarne powinny odbyć się w konstytucyjnym terminie w 2023 roku. Jak dobrze wiemy, często w polityce występują czynniki zaskakujące lub błędne założenia. Dlatego nie możemy wykluczyć żadnego scenariusza, tym bardziej, że PiS funkcjonuje w przekazie społecznym jako partia zmieniająca los obywateli i istotnie wpływająca na państwo. Partii Kaczyńskiego nie interesuje samo administrowanie, więc z tego punktu widzenia wszystko jest możliwe. ■

eprasa.pl 6b6c684efd



Jakub Augustyn Maciejewski

„SZLACHETNY DZIKUS” Z DUCHEM POSTĘPU

Nie jest tak, jak chcieliby niektórzy konserwatyści, że cały dorobek oświecenia jest złem wcielonym. Jak w każdym stuleciu stworzono wtedy wiele koncepcji, mądrych i głupich. Fenomenem jest jednak to, że ta zwyczajna epoka stała się synonimem mądrości, a największą karierę zrobiły właśnie te karkołomne pomysły.



eprasa.pl.6b5c684efd



Alexandre Jacob, litografia przedstawiająca Jean-Jacquesa Rousseau

FOT. WIKIPEDIA

enrasa.pl 666c684efd

XVIII stuleciu nie wolno odmówić osiągnięć. Sformułowanie przez Monteskiusza założenia o konieczności trójpodziału władzy stało się kanwą nowoczesnego ustroju, zabezpieczającego prawa obywateli. Mimo ofiar rewolucji francuskiej przecież powszechność wyborów to osiągnięcie, które dzisiaj trudno zakwestionować i odebrać wolnym społeczeństwom. Refleksja nad postępem przyniosła także konserwatywną odpowiedź Josepha de Maistre'a czy Edmunda Burke'a, a wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych pozwoliła powstać państwu, które stało się światową ojczyzną wolności, obywatelskiej odwagi i ekonomicznej aktywności. Filozofia i namysł nad światem nie zatrzymały się przecież – Giambattista Vico potrafił połączyć platońską ideę cykliczności epok z linearnym (chrześcijańskim) rozwojem ludzkości, encyklopedyści – mimo wielu błędów, a nawet świadomych przekłamań – słusznie próbowali podsumować wiedzę całej ludzkości.

Problem polega na bezprecedensowej mitologizacji tej epoki, idealizowaniu jej i podnoszeniu do rangi objawienia – to właśnie takie spojrzenie na XVIII wiek sprawia, że trudno poważnie dyskutować nad jej słabymi i mocnymi stronami. Przecież oświeceniowcy sami nazwali się oświeceniowcami. Immanuel Kant (1724–1804) zanotował słynne zdanie, potępiające w czambuł wcześniejszą epokę: „Oświecenie to wyjście człowieka z niepełnoletniości, w którą popadł z własnej winy". Podobnie Giorgio Vasari nazwał XVI wiek „Odrodzeniem", choć tu miał na myśli odrodzenie idei antycznych, a nie ludzkiej myśli i estetyki, więc nie było w tym aż takiej pychy jak u ludzi oświecenia. Ta pogarda dla wcześniejszej epoki i do każdej krytyki własnej percepcji zrodziła patologie myślenia, widoczne dziś we wszystkich społeczeństwach. Problem polega na tym, że niektóre tezy ówczesnych myślicieli mamy nadal wyznawać, choć one same sobie zaprzeczają!

▶ Od „szlachetnego dzikusa" do aborcji

I tak oto na przykład w oświeceniu starły się ze sobą dwie odmienne wizje historii. Jedna mówiła, że ludzkość już była w sielskim świecie Edenu, a następnie odeszła od doskonałych wzorców – czy to przez grzech pierworodny (Biblia), czy trzęsienie ziemi (Atlantyda) – po czym zarzuciła swoje zasady i nauki. To przekonanie, że cywilizacja w którymś momencie historii zboczyła z drogi pomyślności, ugruntowało się na bazie doświadczeń i relacji z nowo odkrywanych lądów. Marynarze całego świata przywozili zza oceanu opowieści o beztroskim życiu dzikich plemion, żywiących się owocami natury, nieznających własności, nieznających różnic społecznych ponad nie tak wyraźną relację wódz–członek plemienia. Zasiane w wyobraźni uczonych ziarno utopii wykiełkowało w narodzinach mitu „szlachetnego dzikusa". Filozofowie rzadko kiedy wyprawiali się na te dziewicze lądy, więc śmiało mogli zawierzyć relacjom, ubarwionym własnymi marzeniami – o ludach, które nie znały własności (faktycznie plemię Guarani w Ameryce Południowej nie rozumiało, jak można coś posiadać), o nieskrępowanym współżyciu seksualnym, nagości, braku biedy. Gdyby zestawić plemienną rzeczywistość z wyobrażeniami z utopijnych traktatów, można dostrzec ogromną przepaść – kultur Indian czy Murzynów z Afryki nikt z innych kontynentów nie chciał i nadal nie chce naśladować, a „dzikie" cywilizacje z wielkimi osiągnięciami, takie jak Majowie, Inkowie czy Aztekowie – opierały swój ustrój na tym wszystkim, co postępowcy potępiali: wojnach, krwi, wyzysku. Cywilizacja jako osiągnięcie zbiorowości, nauki, władzy zaczęła być drażniąca – czyż nie można żyć w zgodzie z naturą bez hierarchii, pracy, skomplikowanych zasad i kodeksów prawnych? Tak zakiełkowała nienawiść do osiągnięć Zachodu – wiary już nie tylko katolickiej, ale religii w ogóle. Na razie tylko w rozmowach i pismach buntowano się przeciw monarchii nie tylko jako systemu hierarchicznemu, lecz także jako państwu, wspólnocie politycznej, przeciwko organizacji społeczeństwa.

Pogląd, że kiedyś było idealnie, a potem przyszło zepsucie, ewoluował i do dziś zbiera żniwo głupoty. Jednym z najbardziej poczytnych na świecie pisarzy jest izraelski historyk Yuval Noah Harari, którego książki przetłumaczono już na kilkadziesiąt języków. Harari pochodzi ze świeckiej rodziny żydowskiej, obecnie żyje ze swoim partnerem w małej wspólnocie w Izraelu, a popularny cykl jego książek o człowieku (na przykład „Homo Deus. Krótka historia jutra"; „21 lekcji na XXI wiek") jest prostym przedłużeniem oświeceniowego mitu o „szlachetnym dzikusie". Harari twierdzi na przykład, że największym błędem ludzkości było wbicie pługu w ziemię – czyli rolnictwo. Taka teza pisarza wpisuje się w przekonanie, że zmienianie świata przez człowieka jest grzechem pierworodnym, że ideą życia jest

eprasa.pl 6b6c684efd

wspólnota pierwotna, a my wszyscy bezprawnie zawłaszczyliśmy sobie prawo do ziemi.

Ale przekonania o niewinności Ziemi, dla której ludzkość jest niejako rakiem, chorobą, nie trzeba daleko szukać, nie trzeba nawet zaglądać do książek. Dzisiejsze argumenty ekologiczne, w który *homo sapiens* jest ciałem obcym w przyrodzie i należałoby owe ciało obce ograniczyć jak pasożyta, widać we wszystkich ruchach tzw. zielonych. Redukcja dzietności czy robienie z wegetarianizmu ideologii ochrony zwierząt to właśnie takie podsumowanie dziejów: wszystko, co robiliśmy przez 10 tys. lat, było bez sensu! I tak oto postulat aborcji czy też rzekomo szlachetne zobowiązanie do nieposiadania dzieci ma pomóc nam wrócić do pierwotnego stanu natury – i to jest pogląd, przedstawiany jako logiczny.

▶ Rozwój prosty jak drut

Ale mit szlachetnego dzikusa i odejścia od prastarych zasad harmonii z naturą kwitł obok innej koncepcji na dzieje ludzkości – w doktrynie postępu. Ludzkość już nie tyle oddalała się od prahistorycznego ideału, grzęznąc w okowach kultury, religii i władzy, ile zmierzała jednak ku lepszym czasom. Wzięło się to z obserwacji rozwoju technologicznego Europy. W XVIII wieku wiara w potęgę rozumu eksplodowała, lecz kreatywności w tworzeniu wynalazków technicznych zaczęły towarzyszyć projekty społeczne. Zbudowanie maszyny parowej z wielu skomplikowanych, ale jednak policzalnych części jest – mimo doniosłości wynalazku – łatwiejsze niż zaprojektowanie idealnego społeczeństwa, ba! – nawet idealnego miasta czy choćby rodziny. Człowiek jest o wiele bardziej złożony niż choćby najbardziej skomplikowana maszyna, a co dopiero tłok parowy znany w XVIII stuleciu.

Wreszcie problemem – kompletnie przez oświecenie niezauważalnym – było połączenie wiary w postęp z wiarą w „mit szlachetnego dzikusa". To jak z tą ludzkością? Odchodzi od ideału z natury czy pędzi do ideału, od natury się oddalając?

Z założeń oświecenia i racjonalizmu wynikały coraz bardziej jednoznaczne pytania. Skoro ludzkość popychana jest do przodu przez postęp, może da się go przyśpieszyć? Może da się naprawić błędy przeszłości, które przestawiły cywilizacje na drogę niezgodną z geniuszem ideologów?

Wierzył w to Gabriel Bonnot de Mably (1709–1785), francuski myśliciel, który obserwował życie społeczne we Francji szczytów absolutyzmu. Faktycznie dwór Burbonów opływał w bogactwa i zbytek, kłujący w oczy – dość wspomnieć wysadzane srebrem i złotem scenografie dworskiego teatru, organizowane przez kochankę Ludwika XV, Madame de Pompadour. Mably jednak uważał, że rozwiązaniem dysproporcji bogactw jest zniesienie własności do tego stopnia, by nawet ojciec nie mógł obdarowywać swoich dzieci inaczej niż zechcą urzędnicy. Handel też źle kojarzył się Francuzowi, bo rodzi u ludzi zachcianki i żądzę posiadania takich przedmiotów, które przecież – zdaniem Mablego – nie są potrzebne. Utrzymanie nowego porządku powinna zapewnić edukacja, masowa, powszechna i identyczna dla wszystkich – w ten sposób dzieci nauczą się nie tylko kochać równość, lecz także rząd! Nie jest to nic nadzwyczajnego – wcześniejsi utopiści mieli podobne postulaty, lecz Mably wprowadza do tych rozważań nowy wątek – rewolucję. To właśnie krwawy bunt ludu, skierowany przeciw arystokracji, ma przynieść szczęśliwość. „Lud nigdy nie bywa silniejszy ani bardziej poważny niż po wstrząsach wojny domowej" – przekonywał filozof. Ale rewolucja nie przyjdzie sama, nie zdarza się także – wbrew pozorom – nagle, bo „jeśli lud zmienia nagle obyczaje, charakter, prawo, bądźcie pewni [...] że ta rewolucja była przygotowywana przez dłuższy czas". W to samo stwierdzenie będzie później wierzył Lenin, śląc usilne noty do swoich współpracowników, którzy mieli pracować nad wybuchem gniewu ludu, mającego zmieść stary porządek z powierzchni

> POGLĄD, ŻE KIEDYŚ BYŁO IDEALNIE, A POTEM PRZYSZŁO ZEPSUCIE, EWOLUOWAŁ I DO DZIŚ ZBIERA ŻNIWO GŁUPOTY.

eprasa.pl 6b6c684efd

ziemi. Mably może zasłużyć na naszą sympatię, bo w nowym porządku ludzkości widzi jeszcze poszanowanie dla religii. W 1770 roku konfederaci barscy zaprosili filozofa do Polski, aby pomógł im opracować nowy ustrój dla kraju. Mably faktycznie przybył do Rzeczypospolitej i 11 lat później wydał projekt polityczny opisujący stosunki nad Wisłą i postulujący konkretne zmiany, m.in. dawanie wolności tym chłopom, którzy odbędą dwudziestoletnią służbę wojskową. W stosunku do Polski Mably jest wyjątkowo łagodny, konkretny, choć jego propozycje dalekie są od realnych możliwości, dość wspomnieć o perspektywie zawiązania antyrosyjskiego sojuszu militarnego z... Finlandią.

Rzecz nie tylko w tym, że Mably stał się jednym z prekursorów socjalizmu i wykazał się ignorancją w dziedzinie wiedzy o Europie Wschodniej. Jego postać warto przytoczyć, by zobrazować dysonans między tym, jacy ci intelektualiści naprawdę byli, a jak o nich się pisze po latach, że w ogóle przejęto ich samonazwanie – „oświecenie".

CI SAMI LUDZIE, KTÓRZY UWAŻAJĄ, ŻE ZABICIE ŚWINI NA KOTLET JEST BARBARZYŃSTWEM (IDŹMY Z POSTĘPEM), OPOWIADAJĄ SIĘ ZA PRZERYWANIEM CIĄŻY (JAK SPĘDZANIE DZIECI U DZIKUSÓW). SPRZECZNOŚĆ GONI SPRZECZNOŚĆ, A NAUKI SPOŁECZNE ZACZYNAJĄ JE OBLEKAĆ W NIMB WARSZTATÓW BADAWCZYCH.

▶ Teoretyk edukacji porzuca dzieci w sierocińcu

Nieprzypadkowo na listę myślicieli – hochsztaplerów – słynnej książki Paula Johnosna „Intelektualiści" trafił Jean-Jacques Rousseau. Warto tu zwrócić uwagę, że Johnson nazwał swoją książkę ironicznie, bo przecież kiedyś „intelektualiści" kojarzyli się z rozkwitem umysłu, a nie jego degradacją. Brytyjski historyk zwrócił jednak uwagę, że od „oświecenia" rodzi się właśnie przekonanie o wyższości – także moralnej – intelektualistów. I tak oto później ci moralnie lepsi intelektualiści stworzyli totalitaryzmy XXI wieku...

Ale do Rousseau należy wrócić także dlatego, że dziś jednym tchem jest wymieniany jako czołowy filozof XVIII wieku, choć sam otwarcie przyznawał się do tego, że „uderza w to wszystko", co „jest przedmiotem podziwu ludzkiego", a więc w cywilizację, dorobek pokoleń. Był więc to ten filozof, który nawiązywał do mitu „szlachetnego dzikusa". Jego pisma przepełnione są kwestionowaniem tradycyjnych wartości – istnienia Boga, uznania różnic między ludźmi i wypływających z nich nierówności społecznych, własności, prawa do życia. Rousseau uważał, że w przeszłości istniał ład wolny od tych „naleciałości", który gwarantował ludziom szczęście: „pewien słynny pisarz, obliczając dobre i złe strony życia ludzkiego i porównując obie sumy, doszedł do wniosku, że druga o wiele przewyższa pierwszą i że, wszystko zważywszy, życie jest dla człowieka darem dość nędznym. Nie dziwię się bynajmniej jego wnioskowi" – przekonywał. „Inaczej by było, gdyby się cofnął aż do człowieka natury, otrzymałby przypuszczalnie wyniki całkiem odmienne" – dodawał zaraz potem. Przebijał w jego myśleniu mit szlachetnego dzikusa i nienawiść do późniejszych dokonań człowieka, ale też idealizowanie przeszłości jako nieustającej sielanki. W owej złotej przeszłości własność prywatna miała nie istnieć, a przez to świat miał być wolny od zależności międzyludzkich, także rodzinnych, aż nadszedł: „pierwszy przewrót, ten, który stworzył i wyodrębnił rodziny oraz wprowadził coś niby własność, dając może przez to początek niejednym już zatargom i walkom". Zdaniem filozofa instytucja małżeństwa także była wynalazkiem „przeklętej" cywilizacji, gdy zaś „człowiek dziki rządzi się samym tylko otrzymanym od natury temperamentem, a nie upodobaniem, którego wyrobić w sobie nie mógł, tak że do gustu mu przypada każda kobieta". Czy Rousseau nie wiedział, że nawet zwierzęta – stworzenia, które o budowanie cywilizacji nie można posądzać – dobierają sobie partnerów wedle różnych kryteriów i nawet samcom ptaków czy ssaków nie przypada do gustu każda samica? Sam myśliciel faktycznie miał wiele kochanek, a seksualność traktował bardzo swobod-

eprasa.pl 6b6c684efd

nie, korzystając z usług prostytutek, zabawiając się w ekshibicjonizm i przechwalając się swoimi masochistycznymi skłonnościami. Choć w traktacie pedagogicznym „Emil", czyli o wychowaniu rozprawiał o kreatywnych zabawach dla dzieci, sam oddał pięcioro swojego potomstwa do przytułków, pozostawiając ich własnemu, nieznanemu nam dzisiaj losowi. Rousseau wierzył jednak, że człowieka można wychować i wpoić mu dowolne zasady, zmieniając w ten sposób całe społeczeństwa, a także zadania państwa. Totalitarni przywódcy późniejszych czasów doskonale odczytają intencje hedonisty, urabiając miliony ludzi według swoich intelektualnych wyobrażeń.

▶ Dzieci dzikusów i postępowców

Powtarzając tezę z początków niniejszego tekstu – o drastycznym przecenieniu autorów z XVIII wieku – trzeba wspomnieć, że przez następne 250 lat pojawił się cały korowód, na którym opierają się nawet codzienne nawyki społeczne. I tak oto Karol Marks był „postępowcem" – uważał, że ludzkość maszeruje naprzód i feudalizm, kapitalizm, a potem komunizm to naturalne i niepowstrzymane etapy. Engels dodał do tego nutę „szlachetnego dzikusa", bo uznał, że ludzie kiedyś nie znali instytucji rodziny i żyli w matriarchalnej wspólnocie niczym mrówki – z jedną królową-matką i podległymi jej współplemieńcami. Koncepcję postrzegania cywilizacji jako wroga natury ludzkiej wsparła Margaret Mead (1901–1978) w swoim dziele „Dojrzewanie na Samoa", opartym na własnych obserwacjach prymitywnych ludów Oceanii, z których wysnuła wnioski o potrzebie swobody seksualnej. Stwierdziła, że zapoznała się z plemieniem, które nie znało pojęcia rodziny, preferowało współżycie z przypadkowymi osobami, także tej samej płci. Rozwiązłość prowadzi zresztą do akceptacji homoseksualizmu: „Ponieważ ze stosunkami heteroseksualnymi nie wiąże się miłość czy jakieś ogromne przywiązanie do jednej osoby [...] lecz dzieci i miejsce małżeństwa w gospodarczej i społecznej strukturze wsi, łatwo zrozumieć dlaczego bardzo rozpowszechnione praktyki homoseksualne nie pociągają za sobą ważniejszych ani rażących skutków".

Zatem homoseksualizm także pochodzi ze „szczęśliwego" okresu sprzed cywilizacji. I tak oto wszystkie rewolucyjne, lewicowe i lewackie pomysły pochodzą z dwóch błędnych założeń – o istnieniu przedcywilizacyjnej szczęśliwości lub wymarzonego raju, do którego ludzkość jeszcze dąży.

Co ciekawe, obie koncepcje są skrajnie wrogie Kościołowi katolickiemu. Szlachetny dzikus miał być przecież zniszczony przez katolickich kolonizatorów albo w ogóle przez instytucje religijne, które rzekomo duszą ludzką „naturalność", zwłaszcza seksualną, czy niechęć do własności. Jednak także postęp rozumiany jako linearny rozwój ludzkości musi być wrogiem Kościoła, zakłada bowiem niszczenie starych tworów i nieustanne zastępowanie ich nowymi. Katolicka wspólnota, która istnieje 2000 lat, przeczy swoim istnieniem obu teoriom – wznosiła nas na cywilizacyjny poziom, jednocześnie obnażając prymitywizm dzikusów, lecz pokazywała też, że nie wszystkie oświecone idee prowadzą ludzkość do rozwoju.

▶ Dzicy postępowcy wokoło

I tak oto dochodzimy do współczesności, w której dokonał się osobliwy cud – dodano ogień do wody, szlachetnego dzikusa do postępu. Judith Butler jako teoretyk gender pisze z jednej strony o przedcywilizacyjnym ideale, a z drugiej – wymyśla nowe płcie w ramach postępu. Neomarksiści nienawidzą instytucji (edukacji, religii), ale jednocześnie chcą je przejąć. Działacze LGBT z jednej strony odwołują się do szczęśliwych homoseksualistów ze starożytności, lecz chcą postępu bez suwerennych państw i wojen, które były przecież osnową antyku. Ci sami ludzie, którzy uważają, że zabicie świni na kotlet jest barbarzyństwem (idźmy z postępem), opowiadają się za przerywaniem ciąży (jak spędzanie dzieci u dzikusów). Sprzeczność goni sprzeczność, a nauki społeczne zaczynają je oblekać w nimb warsztatów badawczych. Dawne totalitaryzmy wyrosłe na oświeceniu potrafiły stanąć mocniej na jednej z koncepcji dziejów – III Rzesza chciała „powrócić" do czystości rasy germańskiej, rzekomo obecnej w prawiekach, zaś Związek Sowiecki budował społeczeństwo przyszłości. Nowa ideologia próbuje skleić sprzeczności z tym większą determinacją, im bardziej absurdalne wydają się jej postulaty.

Nadchodzący totalitaryzm łączy więc wszystkie najgłupsze pomysły oświecenia. Przeciętni myśliciele odnajdują się nagle w jednym szeregu, choć jeden zaprzeczał drugiemu przed 300 laty. Gdy jedni chcieli stworzyć beztroskich ludzi na łonie natury, a drudzy rozwiniętego człowieka rozumu, to oto wyłania nam się nowy twór następnych dekad: szlachetny dzikus gotowy do niszczenia w imię postępu. ■

eprasa.pl 6b6c684efd



Jacques Derrida

eprasa.pl 6b6c684efd

AFRYKAŃSCY WIKINGOWIE NA GRENLANDII, CZYLI DO CZEGO PROWADZI DEKONSTRUKCJA

Józef Pałkiewicz

Jak uważają przejęte dekonstrukcją lewicowe kręgi, historia Europy i świata napisana została z krzywdzącej dla innych perspektywy tzw. dyskursu męskiego, białego i heteroseksualnego. Nadszedł więc czas, by wszystko to zdekonstruować! Stąd też French Theory zaowocowała takimi „dyscyplinami" i wizjami jak postkolonializm, krytyka feministyczna, gender studies, krytyka queer czy afrocentryczna historiografia, która „donosi" o „afrykańskich Wikingach" jako pierwszych na Grenlandii.

Kilka tygodni temu Emmanuel Macron wystąpił w programie amerykańskiej telewizji, w którym pytany o kolonialną przeszłość swojego kraju, uroczyście ogłosił, że trzeba dziś w pewien sposób zdekonstruować historię Francji. Wydaje się, że to wezwanie francuskiego prezydenta było jednak jedynie retorycznym chwytem, mającym na celu przypodobanie się widzom liberalno-lewicowego kanału CBS, w istocie bowiem program dekonstrukcji historii i wielu innych sfer życia i myślenia realizowany jest od lat.

Co takiego jednak miał na myśli prezydent Macron mówiąc o dekonstruowaniu historii? Czy jest to złowróżbna zapowiedź dla historii i czym tak naprawdę jest owa dekonstrukcja?

Termin ten „zawdzięczamy" poststrukturalizmowi. Należałoby przedstawić go jako pewien prąd intelektualny rozwijający się na francuskich uczelniach w latach 60. i 70., który zasłynął jednak szczególnie jako tzw. French Theory, gdyż spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem na kampusach w Stanach Zjednoczonych. I stamtąd właśnie emanując, wrócił na Stary Kontynent, gdzie zaczął przeżywać ponowny rozkwit i wciąż jest pod różnymi postaciami eksploatowany.

Aby zrozumieć, czym jest dekonstrukcja – a jednocześnie odkryć jedną z ważniejszych inspiracji nowych tzw. dyscyplin wiedzy, takich jak gender, postkolonializm czy krytyka feministyczna, które są pożywką dla otaczającej nas, coraz bardziej zuchwałej ideologicznej narracji – trzeba sięgnąć właśnie do poststrukturalizmu i jego poglądów na literaturę. Bo to w tej sferze właśnie – badania dzieł literackich – pojawił się z początku ten kierunek, lecz stosując i głosząc dekonstrukcję jako metodę badawczą, teorię czy raczej, jak się okazało, anty-teorię, szybko wyszedł poza ramy literaturoznawstwa. Niejako nieuchronnie stał się pewnego rodzaju sposobem patrzenia na świat, a więc i na historię, życie instytucjonalne i społeczne.

Poststrukturalny demontaż teorii

Jednym z pierwszych objawień poststrukturalizmu, choć sam termin został zaanonsowany dopiero pod koniec lat 70., była konferencja literaturoznawców zorganizowana w Baltimore, w USA w 1966 roku. Francuski filozof Jacques Derrida (1930–2004) wygłosił wtedy referat pod tytułem „Struktura, znak i gra w dyskursie nauk humanistycznych", w którym postanowił „obnażyć" myśl, na polu literatury i językoznawstwa, swoich „starszych kolegów" strukturalistów (m.in. Claude Lévi-Strauss). Z początku poststrukturalizm był zatem, jak sama nazwa wskazuje,

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 6c684efd

reakcją na strukturalizm – prąd literaturoznawczy i filozoficzny, który postulował, by celem nauki było – jedynie i aż – badanie obiektywnych faktów i uniwersalnych reguł nimi rządzących, stosując „czystą" obserwację, lecz w oparciu o głęboko ukryte tzw. struktury, tłumaczące funkcjonowanie dostrzeżonych rzeczy. W ten sposób strukturalizm chciał mówić o literaturze – obiektywnie i pewnie, na co miało pozwolić używanie, wzorowanego na naukach ścisłych, uniwersalnego modelu. Z jego pomocą miało być możliwie dokonywanie właściwej interpretacji tekstów – bezbłędne docieranie do ukrytego w nich sensu. I w tym właśnie swoim „metafizycznym" przekonaniu, a jednocześnie zupełnie – jak wydawać by się mogło – oczywistym, że za słowem kryje się jakiś sens, strukturalizm został przez poststrukturalizm zaatakowany.

Aby rozprawić się ze strukturalizmem i jego zapędami do porządkowania wiedzy, poststrukturaliści zabrali się za krytykę i demontaż samej teorii w jej klasycznym rozumieniu (jak właśnie w strukturalizmie). Przeciwstawili jej oni tzw. anty-teorię, która głosiła, że badacz nigdy nie dotrze do prawdy o danym zjawisku, że w miarę przybliżania się do niego, *de facto* coraz bardziej się od niego oddala: jego obraz jest jeszcze bardziej niejasny i zamglony. Doświadczamy tego szczególnie, jak pisał wspominany „ojciec" poststrukturalizmu Jacques Derrida w swoim dziele „O gramatologii": „Gdy podejmujemy grę z powierzchniami rzeczy, pod którymi nic się nie kryje, z fragmentami, które nie mają odniesienia do żadnej całości, z peryferiami, które nie mają centrów, ze znaczącymi, które nie mają swojego znaczonego, z tekstami, które nie mają innych przedmiotów odniesienia poza kolejnymi tekstami... Analiza dekonstrukcyjna ujawnia, że tak właśnie jest z tym wszystkim, co pojawia się nam jako zrozumiałe, bliskie i obecne – i czyni to na powrót nieokreślonym i tajemniczym".

Czytając te prawdziwie tajemnicze i zamglone słowa nasuwa się pytanie: jaka jest w ogóle sensowność takiej anty-teorii ? Czy jest ona zdolna do przekazania czegokolwiek? Dokąd ona prowadzi, jeśli nie na skrajne intelektualne manowce? Otóż jak pisał inny znany i wyjątkowo dziś hołubiony poststrukturalista Michel Foucault (1926–1984) w swojej „Archeologii wiedzy", chodzi o to, by ujawniać umowny charakter teorii w ogóle i pokazać, że wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z twierdzeniem, stanowieniem, orzekaniem, nazywaniem, chodzi tak naprawdę tylko o taki czy inny dyskurs. To na podstawie dyskursów, zdaniem Foucaulta, mówi się o „realności", „faktach", „istocie", „naturze" w kontekście danych rzeczy, bo dyskursy są po prostu ustalonymi, wymyślonymi regułami istnienia tych rzeczy. Gdy zatem coś określane jest jako „naturalne" albo „niezmienne", jest ono „naturalne" i „niezmienne" tylko dlatego, że ktoś stworzył odpowiednie reguły, czyli dyskurs, który pozwala na używanie tych określeń. W ten sposób wchodzimy do świata, który jest całkowicie względny i umowny – w którym każde pojęcie, ale też każdy byt może być zanegowany, jako wynikający, rzekomo, wyłącznie z danego dyskursu. I właśnie nieustannym wykazywaniem tej zasugerowanej umowności, dowodzeniem, że rzeczywistość i odpowiadające jej pojęcia są „dyskursywnie konstruowane", zajmuje się de-konstrukcja, która, jak zauważa w swoim szkicu Jan Hudzik „[...] rozprawia się z teorią w ujęciu klasycznym, Arystotelesowskim – pozbawia jej twierdzenia o statusie bytowym danych rzeczy i zdolności do ich (tych rzeczy) wyjaśniania i legitymizowania".

Podważyć u samych korzeni

Co w praktyce oznaczał poststrukturalizm i stosowana przezeń dekonstrukcja dla wiedzy o literaturze – dla jej czytania i zgłębiania? Można powiedzieć, że było to nieustanne zawieszanie głosu – unikanie interpretacji, która stawiałaby jakieś twierdzenia dotyczące sensu, tematu, intencji tekstu (bo nie można przecież do nich dotrzeć!), połączone z wątpieniem o tym, że przez dzieło literackie w sposób bezkolizyjny może przejść jakaś treść. Tej splątanej dywagacji na temat „czystego" tekstu towarzyszyło jednocześnie dowodzenie, że za wszelkimi wypowiadanymi orzeczeniami o sensie kryją się w istocie „utajone opcje światopoglądowe oraz bezwiednie przyjmowane filozoficzne założenia". W tym duchu zatem można by zarzucić tradycyjnej, patriotycznej interpretacji „Dziadów" Mickiewicza, że wynika ona wyłącznie z zakorzenionego w Polakach „nacjonalizmu" i przekonania o własnej wyjątkowości, podczas gdy nie wiadomo tak naprawdę, co sam Mickiewicz chciał napisać i przekazać w tym dziele. Sytuacja czysto teoretyczna, choć wcale nie niemożliwa, bowiem wiele książek, również tych najistotniejszych dla kulturowego dziedzictwa, rzeczywiście „odczytuje się" dziś całkiem na nowo, wyjmując je z wszelkiego kontekstu i abstrahując od ich faktycznej treści, narzucając przy tym własną (sic!) ideologicznie podbudowaną, absurdalną interpretację. Wydaje się, że w tym kierunku – radosnej dowolności i akceptacji wszystkiego – zmierza współczesna szkoła, w której to na lekcjach literatury każda interpretacja zaproponowana przez ucznia jest niezwykle hołubiona jako „jego własna", „intymna", „oryginalna", nie zwracając przy tym uwagi na to, czy jeszcze odnosi się ona w jakiś sposób do rzeczywistości tekstu.

eprasa.pl 6b6c684efd

Wracając jednak do samej dekonstrukcji – warto zaznaczyć, że stosowanie tej metody nieuchronnie wychodzi poza granice badań literaturoznawczych. „Dekonstrukcja pozostaje przede wszystkim sposobem filozofowania [...] chodzi [...] o sposób analizowania genealogii historii filozofii, jej konceptów, założeń, aksjomatów, pytania o jej instytucje, jej społeczne i polityczne praktyki, krótko mówiąc o kulturę polityczną Zachodu". Jest to fragment z biografii Derridy, w którym jej autor Benoît Peters cytuje i parafrazuje słowa samego swojego bohatera, a prof. Zofia Mitosek, która przywołuje tenże fragment w swoim opracowaniu, tak pisze dalej: „Ta swobodna definicja nie tylko nie przeszkadzała, ale wręcz pomagała Derridzie w otwarciu myślenia na nowe domeny oraz w podjęciu ryzykownych eksperymentów". Dekonstrukcja rozumiana zatem jako sposób filozofowania „wyzwala" od tego, co, jak pisze Richard Rorthy (jeden z czołowych współczesnych relatywistów) w swoim „Eseju o Derridzie", człowiekowi jawi się jako „coś wiecznie obecnego (struktura wszechświata, prawo moralne, natura języka)". Przyjęcie dekonstrukcyjnej wizji, według Richarda Rorthy'ego, pokazuje, „jak rzeczywistość mogłaby ewentualnie wyglądać, gdybyśmy nie mieli kantowskiej filozofii wbudowanej w strukturę naszego intelektualnego życia". To prawda, dekonstrukcja wprowadza stan totalnego relatywizmu, stan „wolności" od wszelkich trwałych, uniwersalnych instancji – nawet jeśli uznamy, że będą nimi znajdujące się w umysłach tzw. aprioryczne formy poznawcze, tak jak w filozofii Kanta. Według dekonstrukcjonistów, rzeczywistość zdaje się bowiem być, ni mniej ni więcej, tylko sumą rozmaitych myślowych (dyskursywnych) konstrukcji, które, zależnie od okoliczności, mogą ulegać przeobrażeniom bądź całkiem zanikać.

Praktykując taką koncepcją można podważyć, oczywiście w sposób teoretyczny, wszystko co jest „trwałe", „niezmienne", „obiektywne", „święte" albo wręcz „naturalne" oraz „dobre" i „złe". Dana rzecz nie jest bowiem dobra lub zła z samej siebie, tylko, jak wiadomo, z racji przypisania do niej takiego czy innego dyskursu. Gdy ktoś zatem stwierdzi, że nie należy tej rzeczy uważać już więcej za dobrą, powie właśnie, że była ona dobrą tylko z powodu konkretnego dyskursu, czyli dlatego, że ktoś inny kiedyś tak ją pojmował i tak o niej mówił.

I w tym to potencjale do podważenia u samych korzeni i wywracania do góry nogami tkwi rewolucyjny, *par excellence*, charakter dekonstrukcji.

Dyskurs biały, męski i heteroseksualny

Ten potencjał został zresztą jak najbardziej wykorzystywany przez to, co nadeszło po poststrukturalizmie „właściwym", jak się przyjęło określać etap tego prądu związany bezpośrednio z Derridą czy takimi osobistościami jak Foucault, Gilles Deleuze (1925–1995) czy Félix Guattari (1930–1992), trwający do połowy lat 80. Potem zaczęły rodzić się, jak pisze w swoim opracowaniu Anna Burzyńska, używając przy tym dosyć eufemistycznych określeń: „inspirowane dekonstrukcją orientacje etyko-polityczne i kulturalistyczne, które, zdominowane były potrzebą krytycyzmu, nastawionego na obnażenie słabości represjonującego inne dyskursy dyskursu dominującego". Można łatwo się domyślić, że chodziło tutaj oczywiście o krytykę czy raczej wywrócenie tzw. dyskursu męskiego, białego i heteroseksualnego. To bowiem z tej krzywdzącej dla innych perspektywy, jak uważają przejęte dekonstrukcją lewicowe kręgi, napisana została historia Europy i świata, a nawet więcej – była to, ich zdaniem, naczelna represjonująca zasada, według której budowane były społeczeństwa oraz instytucje. Nadszedł więc czas, by wszystko to zdekonstruować! Stąd też teoria francuska czy też French Theory, zaowocowała takimi „dyscyplinami" i wizjami jak postkolonializm, krytyka feministyczna, gender studies, krytyka queer czy też, novum ostatniego czasu – afrocentryczna historiografia, która „donosi" o „afrykańskich Wikingach" jako pierwszych na Grenlandii i generalnie chce napisać dzieje świata od nowa – z punktu widzenia Afryki, przypisując naczelną rolę w najważ-

WEDŁUG DEKONSTRUKCJONISTÓW, RZECZYWISTOŚĆ ZDAJE SIĘ BYĆ, NI MNIEJ NI WIĘCEJ, TYLKO SUMĄ ROZMAITYCH MYŚLOWYCH (DYSKURSYWNYCH) KONSTRUKCJI, KTÓRE, ZALEŻNIE OD OKOLICZNOŚCI, MOGĄ ULEGAĆ PRZEOBRAŻENIOM BĄDŹ CAŁKIEM ZANIKAĆ.

eprasa.pl 6b6c684efd

niejszych wydarzeniach właśnie Afrykanom bądź ich potomkom.

Piewcy tych pomysłów, na przykład Barbara Johnson (feminizm) czy Judith Butler (gender), zgodnie z duchem dekonstrukcji rzeczywistość ujmują w kategoriach dyskursu i za swój cel pojmują właśnie, jak się zdaje, rozbieranie „przestarzałych dyskursów" i zamienianie ich na te „represjonowane", które miały nie mieć dotąd głosu.

Jednym z najbardziej chyba emblematycznych przykładów tego zjawiska jest właśnie ideologia gender. Oznajmia nam ona, m.in. przez bardzo popularną dziś panią Butler, że płeć, w dotychczasowym tego słowo znaczeniu, jest wyłącznie konstruktem, czyli wymysłem społeczeństwa, w którym panował wiadomy dyskurs dominujący. Ktoś był mężczyzną, a ktoś kobietą tylko dlatego, że tak właśnie chciało owo społeczeństwo, o głęboko zapisanej klerykalnej, feudalnej i patriarchalnej mentalności. Sprawa płci jest więc całkowicie umowna, dlaczego więc podtrzymywać tę umowę, gdy ktoś źle się czuje ze swoją męskością czy kobiecością? Trudność nie do pominięcia stanowiła jednak już na samym początku, nieubłaganie konkretna rzeczywistość ciała. Stąd też, jak wiadomo, wprowadzono rozróżnienie na tzw. płeć biologiczną, tę, która wynika z ciała, i płeć społeczno-kulturową, czyli tę, którą się obiera albo która jest „narzucana" jednostce, jeśli ta sama się nie określi. Ta dystynkcja, w miarę rozwoju ideologii gender, zaczęła jednak zmierzać w stronę uznawania coraz większej względności biologii i predominacji tego, z czym dana osoba się identyfikuje, tym bardziej, że naturalny porządek próbuje dziś naginać oddana ideologii medycyna.

Na inne jeszcze urzeczywistnianie pomysłów French Theory zwraca uwagę francuski publicysta i pisarz, a także potencjalny, znaczący kandydat w wyborach prezydenckich w 2022 roku Éric Zemmour, który poruszył ten temat w swojej książce opatrzonej znamiennym tytułem: „Samobójstwo francuskie. 40 lat rozkładania Francji" (Le suicide français. Les 40 années qui ont défait la France). W tym eseju, wydanym parę lat temu, Zemmour pisze, że wizje Derridy, Foucaulta i ich spadkobierców zostały przekute w realizowany przez polityków i media program konkretnego niszczenia francuskiej gospodarki, państwowości oraz tożsamości. W ostatnią z tych sfer, jak wskazuje autor „Samobójstwa", uderza się tzw. pedagogiką wstydu, metodą dobrze znaną nam w Polsce, która polega na zniekształcaniu historii przez stosowanie różnych pokrętnych narracji (dyskursów) albo przemilczaniu jednych zdarzeń i nieuzasadnionym eksponowaniu innych. Za realizacją tego wieloletniego przedsięwzięcia stoją zdaniem autora „Samobójstwa" siły nie tylko nieprzychylne katolickiej Francji, lecz także Europie – jako wiernej swym korzeniom wspólnocie wolnych narodów. Zawstydzanie, rozmiękczanie, ogłupianie społeczeństwa, połączone z wpędzaniem go, jak pisze Zemmour, w tryby nieustannego konsumpcjonizmu ma też swój cel związany z generowaniem coraz większych przychodów. I tutaj pisarz wskazuje na zmasowany atak na rodzinę, a w szczególności na osobę ojca – jako na ściśle związany z tym wciąż niezaspokojonym, finansowym dążeniem. Ojciec bowiem jako obdarzony naturalną siłą wynikającą z autorytetu mówi „nie", gdy dziecko domaga się zbyt wiele, i w tym swoim oporze, stawianiu granic przyczynia się *de facto* do zmniejszenia zysków koncernów, oferujących całą gamę przyjemności i uciech dla najmłodszych. Stąd m.in. wynika ofensywa środowisk feministycznych i gender przeciwko tzw. patriarchatowi, by główny oskarżony, czyli mężczyzna, uległ pod naciskiem i zrezygnował ze swojej naturalnie mu przysługującej władzy. Zemmour zauważa, że w ten sposób detronizuje się prawowitego króla, a rządy obejmuje mały tyran, który od tej pory ma swoich rodziców na każde skinienie, a królestwo-rodzina pogrąża się w niszczącym dla wszystkich chaosie.

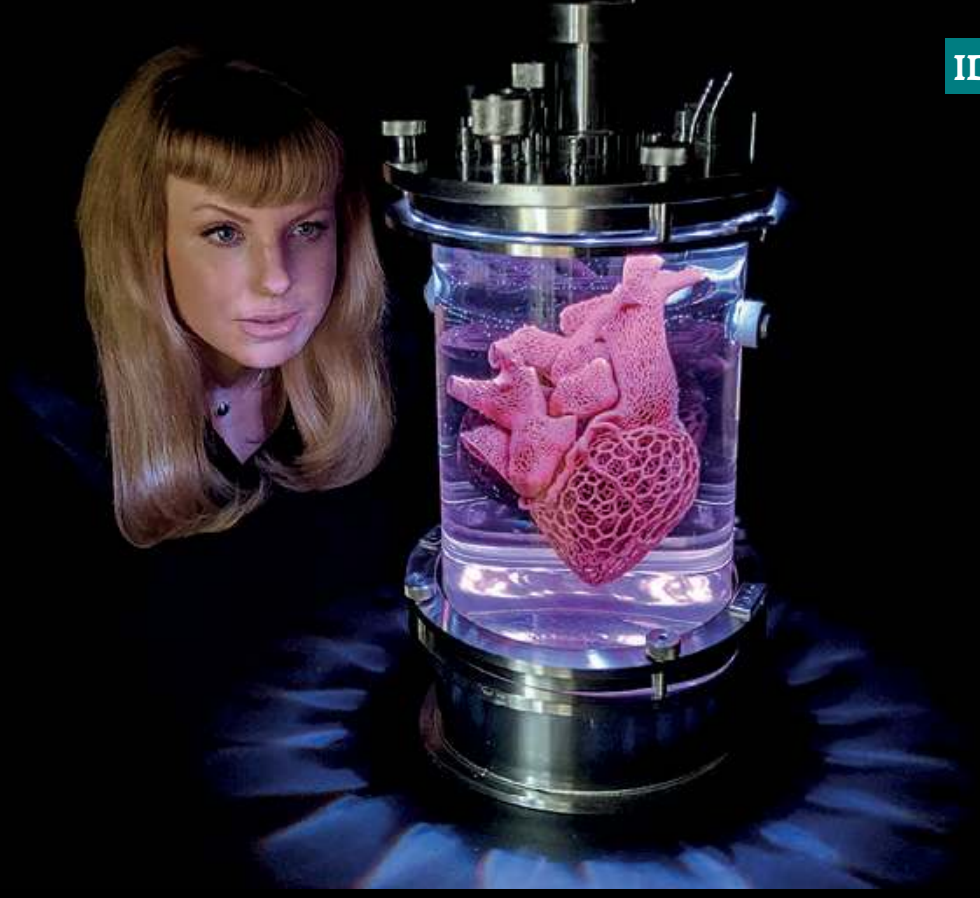
▶ Tylko prawda jest ciekawa

Na koniec warto jeszcze zauważyć, że poststrukturalizm i związane z nim tendencje występują (nie jako pierwsze oczywiście, ale robiąc przy tym dużo zamieszania) przeciwko temu, co Derrida określał „kulturą polityczną Zachodu". Oznacza ona faktycznie filozofię klasyczną, czyli realistyczą, która przez wieki definiowała ducha zachodniej cywilizacji. Wynikająca z niej postawa polegała na pokornej afirmacji tego, że istnieje rzeczywistość, którą można odkrywać i zgłębiać, podczas gdy poststrukturalizm razem z większością pozostałych nowożytnych poglądów tę rzeczywistość zanegował, sprowadzając ją do umysłowych kreacji czy właśnie konstruktów. Zamiast więc badać istniejący byt, post-filozofia *de facto* wymyśla jedynie nowe twory i zastanawia się, czym mogą być one uwarunkowane.

Gdy pada zatem postulat dekonstruowania, mamy do czynienia z chęcią zakwestionowania realnego stanu rzeczy i powołania do życia jakiejś nowej pseudorzeczywistości, w której wszystko jest względne i sztuczne.

Prawda, która nigdy nie była i nie będzie konstruktem, niezmiennie otoczona przez swój splendor, zdaje się dziś jednak, jak nigdy dotąd, potrzebować wiernych i oddanych jej obrońców. ■

eprasa.pl 6b6c684efd



FOT. WIKIMEDIA

Małgorzata Matuszak



Pomiędzy sztuką a nauką

Bioart, związany z posthumanizmem, jest przejawem zmiany zachodzącej we współczesnej kulturze w postrzeganiu miejsca człowieka w świecie. Prowokuje pytania o granice człowieczeństwa, ale też wzbudza kontrowersje co do swej istoty. O bioarcie nie można mówić jedynie w kategoriach estetycznych, jest on bowiem nierozerwalnie związany z etyką.

Co się stanie, jeśli spróbujemy połączyć sztukę i naukę? Powstanie bioart (bio-art, bio art, BioArt), sztuka biologiczna. Tak stało się na przełomie XX i XXI wieku. Bioart, znany również jako biotech art, transgenic art, genetic art, life art, to pojęcie dość pojemne. Obejmuje zarówno artystyczne eksperymenty na komórkach, tkankach czy zamianach kodu genetycznego (bioart w węższym znaczeniu), jak i wszelkie happeningi czy performance z wykorzystaniem zwierząt, roślin czy ludzkiego ciała (w znaczeniu szerszym).

Zielony królik

Jednym z prekursorów bioartu, a także twórcą samego terminu był Brazylijczyk mieszkający w Chicago Eduardo Kac. Jego pierwszą „pracą" była „Time Capsule", która polegała na wszczepieniu sobie pod skórę w okolicach kostki mikrochipa. Skanując go, mógł zdalnie zalogować się przez Internet. Już wtedy sprowokował wiele pytań o granice sztuki, jednak prawdziwą dyskusję wywołała jego trylogia GFP („green fluorescent protein", czyli „zielona fluorescencyjna proteina") – trzy projekty będące owocem 25-letnich poszukiwań, w wyniku których doszedł do wniosku, że rozróżnienie pomiędzy życiem a technologią nie ma sensu. Pierwsza praca to „Genesis" (z 1999 roku). Polegała na tym, że cytat z Księgi Rodzaju: „Niech człowiek panuje nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkim zwierzętami pełzającymi po ziemi" został przetłumaczony na alfabet Morse'a, a następnie przełożony przez Kaca na zapis DNA. Powstały w ten sposób kod DNA został wprowadzony w laboratorium do genomu bakterii, w wyniku czego powstał nowy, nieistniejący dotąd gatunek. Kac nazwał go „Genesis". Prezentował go w galerii, zarówno w probówce, jak i w projekcji wideo, a także w Internecie.

Drugą pracą z trylogii był „GFP Bunny" (z 2000 roku), czyli „Króliczek GFP", nazwany Alba, który urodził się z wszczepionym wcześniej genem wyizolowanym z meduzy sprawiającym, że zwierzę świeciło się na zielono. Jak stwierdził sam Kac: „Stworzyłem od początku zupełnie nową istotę. Hybrydy od wieków fascynowały ludzkość, znalazłem je we wszystkich mitologiach świata. Jednak dopiero dziś stworzenie istoty będącej połączeniem królika i meduzy jest możliwe. W tym wszystkim bardzo istotny jest dla mnie fakt, że GFP niczego nie zmienia w organizmie zwierzęcia, któremu jest wszczepiony, nie wywołuje żadnych komplikacji. Mój króliczek powstał po dokładnych przemyśleniach, nigdy nie stworzyłbym istoty, która miałaby cierpieć". Alba, po wystawie we Francji (w formie dokumentacji), miał pozostać w rodzinie artysty jako zwierzątko domowe, laboratorium jednak się na to nie zgodziło. Dla Kaca zielony królik nie był dziełem sztuki samym w sobie, lecz początkiem dyskusji na temat możliwości inżynierii genetycznej, komunikacji międzygatunkowej, transgeniczności, inności, modyfikacji genów i ingerencji nauki/człowieka w życie organizmów.

Trzeci z projektów trylogii to „Eighth Day", czyli „Ósmy dzień" (z 2001 roku), w którym pod kopułą z pleksiglasu stworzył cały ekosystem fluorescencyjnych organizmów – zmodyfikowanych genetycznie roślin, meduz, ryb i myszy, którym towarzyszyły biologiczne roboty, bioboty. Żywym elementem biobotów były kolonie ameb Dyctiostelium discodeum, zmiany w ich kolonii monitorowano zaś i przetwarzano na powolne ruchy. Internauci mogli obserwować ten ekosystem i poprzez bioboty uczestniczyć w jego interakcjach.

Kolejne przekraczanie granic

Trylogia Kaca wywołała medialną burzę i falę dyskusji. Pojawiły się protesty przeciwko manipulacjom genetycznym „dla rozrywki" i obawy, że następnym kroku obiektem sztuki transgenicznej stanie się człowiek. Sam Kac również dostrzegał zagrożenia, stwierdził jednak, że: „Nie wolno nam nie dostrzegać różnicy między eugeniką a eugeniką destrukcyjną, której symbolem były nazistowskie obozy koncentracyjne. Eugenice destrukcyjnej musimy się sprzeciwić, lecz jednocześnie należy unikać hipokryzji. W najbliższym stuleciu czeka nas wiele zmian, kiedy zrozumiemy, jak nieostre i płynne jest pojęcie gatunku i wynikających z tego pojęcia różnic. Musimy nauczyć się żyć w sposób, który nie będzie polegał na dyskryminowaniu z powodu różnic, lecz umożliwi pełną akceptację inności".

Kolejnym projektem Eduardo Kaca była „Edunia". W ramach tego przedsięwzięcia Kac włączył swoje geny w genotyp petunii i w ten sposób otrzymał transgeniczną Edunię, roślinę z wyraźnym rysunkiem czerwonych żyłek przypominających naczynia krwionośne. Projekt ten miał być kolejnym dowodem bliskości człowieka ze wszystkimi istotami żyjącymi, hybrydowa Edunia zaprzecza zaś powszechnej opinii, że hybrydy są potworami o przerażającym, nieprzyjemnym wyglądzie. Jak pisze Grażyna Gajewska, Edunia jest piękna i jest „żywym (w sensie dosłownym) manifestem przekraczania hierarchicznej struktury bytów".

Maja Smrekar, artystka z jednej strony uznana, z drugiej skandalizująca i kontrowersyjna, zajmuje się innym rodzajem hybrydyzacji. Przedmiotami jej zainteresowania są koewolucja genów, psychologia ewolucyjna, ekologia behawioralna, a zwłaszcza ewolucja kulturowa w trójkącie wilk–pies–człowiek. Smrekar jest autorką m.in. dwóch projektów z cyklu „K – 9_TOPOLOGY". W ramach jednego z nich stworzyła hybry-

eprasa.pl 6b6c684efd

dowy embrion, będący połączeniem jej własnej komórki jajowej z komórką somatyczną psa, którego wzrost został zatrzymany w fazie blatocyty. W drugim projekcie zatytułowanym „Hybrydowa Rodzina" za pomocą hormonów wywołała u siebie laktację, po czym karmiła piersią szczenię.

Marion Laval-Jeantet z kolei w ramach projektu „May The Horse Live In Me" starała się w jak najwyższym stopniu upodobnić do konia. W tym celu, by naśladować ruch konia, poruszała się na specjalnych szczudłach, do swej krwi zaś przez kilka miesięcy wprowadzała immunoglobuliny krwi konia, by przygotować swój organizm na przyjęcie oczyszczonej końskiej krwi podczas perfomance'u. Dlaczego to robiła? Opowiadając o swej motywacji mówiła: „poczułam się sfrustrowana z powodu niezdolności do postawienia się naprawdę w miejscu zwierzęcia, a także zszokowana tym, że miejsce to systematycznie wyznaczane jest z ludzkiego punktu widzenia. [...] nadszedł taki moment, w którym musiałam doświadczyć czegoś innego niż wiecznie ludzka percepcja".

Narodziny Neożycia

Bioart uznaje się za sztukę, specyficzną jednak, narzędzia bowiem, jakimi się posługuje, są narzędziami naukowymi i laboratoryjnymi. Jak pisze Monika Bakke: „Pracownią artysty staje się laboratorium, a sam proces tworzenia często odbywa się w ścisłej współpracy z biologami, biotechnologami i lekarzami, co oznacza, że realizacje bio artu są przedsięwzięciami interdyscyplinarnymi". Czy to artysta staje się naukowcem, czy też nauka staje się podobna do sztuki?

Bioartyści robią w zasadzie to samo co naukowcy, wszak wielu z nich prowadzi badania eksperymentalne nad tworzeniem organizmów ludzko-zwierzęcych, hybryd i chimer. Tym jednak, co odróżnia artystę od naukowca, jest brak praktycznych, wymiernych korzyści społecznych, które uzasadniają, przynajmniej w opinii naukowców, prowadzone eksperymenty. Tu nie chodzi o nowe terapie czy leki, otworzenie możliwości dla ksenotransplantologii czy po prostu poszerzenie ludzkiej wiedzy. O co więc?

Bioartyści twierdzą, że ich twórczość jest odpowiedzią na niepokojące zmiany cywilizacyjne, które mają miejsce we współczesnym świecie. Mówią, iż zmuszają ludzi do refleksji nad związkiem człowieka z resztą przyrody, nad tym, co naturalne i sztuczne, starając się zacierać granice między naturalnością i sztucznością, iż właśnie granice ingerencji w organizmy nieustannie testują. Czy to, co robią, jest etycznie dopuszczalne? Na skraju etyczności balansują biotechnolodzy, balansują więc również bioartyści, czerpiąc z dokonań współczesnej biotechnologii.

Bioart w swym założeniu podejmuje kwestie zarówno możliwości, jak i zagrożeń, jakie niesie z sobą współczesna nauka, starając się oswoić uprzedzenia i lęki, które wywołują inżynieria genetyczna i biotechnologia. Bioart chce je „odczarować". Bioartyści bawią się tkankami, komórkami, genami, pokazując, że jesteśmy bliżej nowych form życia, niż nam się wydaje. Jak tłumaczy bioartysta Oron Catts: „Widzimy materię życia jako surową formę. To forma multipotencjalna, nieukształtowana. Rodzajem inżynierii, która nadaje jej kształt, jest ewolucja, proces selekcji naturalnej. Jednak w ten naturalny mechanizm wtrącił się dziś człowiek. Badacze tworzą w imię nauki swoje golemy, powołują na świat nowe formy życia. Chcielibyśmy, by ludzie mieli więcej refleksji nad tym, dokąd to nas zaprowadzi".

Bioart usiłuje także pokazać, że granice między gatunkami to przede wszystkim konstrukty kulturowe, że to, iż żyjemy pośród takich, a nie innych form życia, jest jedynie zbiegiem okoliczności, że geny mogły się równie dobrze zmieszać inaczej. Bioartyści twierdzą, że mieszając je inaczej, uczą nas odpowiedzialności i szacunku do życia w ogóle, ich działalność jest dopełnieniem bioetyki.

Czy to naprawdę sztuka?

Kurator sztuki i pisarz Jens Hauser pisze: „Do sztuki, która stosuje biotechnologie jako środek ekspresji, podchodzi się dziś nie tyle jak do sztuki, co raczej jak do dyskursywnej i często zinstrumentalizowanej formy włączania się w debatę publiczną, toczącą się poza sferą estetyczną. [...] Bardziej znaczące staje się to, w jaki sposób zastosowanie procesów biotechnologicznych w sztuce semiotycznie i somatycznie zmienia relacje między artystą, jego lub jej wystawami, odbiorcami i kontekstem socjoekonomicznym, z którymi splata się sztuka".

We współczesnej sztuce nie chodzi już o piękno, nie jest ono najważniejsze, nie jest czymś, do czego się dąży. W przeszłości sztuka nakierowana była na przekazywanie wartości, współczesny artysta zaś niejednokrotnie nastawiony jest jedynie na ekshibicjonistyczne wyrażanie swoich emocji. Pierwotnie sztuka hołdowała życiu, sprzężona była bowiem z tym, co święte. Sztuka działała poprzez „mimesis", czyli naśladownictwo, i poprzez „katharsis", czyli oczyszczenie. Miała zatem z jednej strony rozwijać i podbudowywać człowieka, z drugiej – była formą uświęcania życia. Jej celem było również oswajanie tajemnicy bytu, sięganie sfery sacrum. Takie podejście we współczesnej sztuce jest niestety nieobecne, a przynajmniej obecne rzadko. Nie inaczej jest z bioartem. ■

eprasa.pl 6b6c684efd

Olga Doleśniak-Harczuk



Trójkąt Praski – tygiel jest przecież wszędzie

Warszawa ma swoje kapliczki. Figurki Matki Bożej przytulone w podwórkach, obrazki za szkiełkiem umieszczone w ledwie widocznych kondygnacjach starych kamienic. Mieszkańcy Pragi Północ co pewien czas przeżywają nalot fotografów – amatorów i tych profesjonalnych, z dobrymi aparatami. Po sukcesie filmu „Rezerwat" Praga zaczęła być modna. Zła sława zaczęła ustępować lokalom przypominającym nonszalanckim wystrojem berlińskie kafejki, legendarne pyzy z Bazaru Różyckiego znalazły nowoczesną odsłonę w lokalu z „prawdziwie praskim jedzeniem". Klimat dzielnicy, tęsknota za czymś swojskim. Za kapliczką, za ludźmi, miejscami. Za... drzewem obwieszonym różańcami?

eprasa.pl 6b6c684efd

Podpalili święte drzewo! Komu przeszkadzało? Warszawskie portale, media społecznościowe, ludzie na przystankach autobusowych i tramwajowych, wszyscy zadawali sobie to pytanie. Jeszcze w środę drzewko zwane świętym, w swoim typowym anturażu, obwieszone świętymi obrazkami, różańcami, ze sztucznym kwiatem wetkniętym tu i ówdzie, stało jak zawsze. Atrakcja turystyczna ulicy Podskarbińskiej, dla miejscowych nieodłączna część dzielnicowego krajobrazu, jak budynek Sinfonii Varsovia, figurka świętego Ekspedyta (z urwanym krucyfiksem) z Grochowskiej 263 czy drewniany krzyż na styku Międzyborskiej i Grochowskiej ufundowany w 1820 roku przez Stanisława Baliszewskiego. Nasze drzewo. W płomieniach.

Bo na Pradze, proszę Pani...

W środę drzewo stało jak zawsze. Nogi same czasem niosą w to miejsce. Choć na chwilę przystanąć. Nie zawsze na modlitwę. Różni ludzie tu przychodzą, czasem po to, by złapać oddech i iść dalej w wir codzienności. W piątek się zapaliło. Nie wiadomo, czy ktoś celowo zaprószył ogień, nikogo za rękę nie złapano. Wokół drzewa poniewierały się zwęglone pozostałości plastikowych kwiatów, nadpalone ramki obrazków. Przyszła myśl, by zajrzeć w to miejsce, oszacować stan zniszczeń, zrobić kilka zdjęć. Po południu wokół drzewa krzątało się już kilka osób. Sprzątanie, grabienie ziemi wokół pnia. Sadzenie świeżych kwiatów, wkopywanie stabilnej ławeczki. Gwar. Niesamowici ludzie. Jedni pracują, inni przystają, pytają, co się stało, tu spacerowicze z psem, tam matka z małym dzieckiem, życie toczy się wokół tego drzewa i jego nadpalonych obrazków, jakby to było jakieś nieformalne serce dzielnicy. Nikt na dobrą sprawę nie wie, skąd wzięła się tradycja dekorowania tego drzewa. Objawienie? Ktoś tu zginął? Dlaczego ludzie z okolicznych domów, kamienic, sklepów przychodzą tu odmawiać różaniec? Jedni twierdzą, że kult trwa od lat 70. XX wieku, portale piszą o latach 90.

– To, co się tutaj stało, to z pewnością nie jest dzieło lokalsów. Nikt miejscowy tego nie zrobił. Jesteśmy na Grochowie, czyli na Pradze, a na Pradze, proszę Pani, życie płynie trochę inaczej. Praga, jak mi kiedyś mówiła pewna starsza warszawianka, to jest prawie w całości zachowana substancja przedwojennej Warszawy. Tu są inni ludzie. Mają etos, są związani z miastem, przywiązani do swoich sąsiadów, miejsc, kawiarni. O miejscach kultu już nie wspomnę, ponieważ to jest naturalne, że jesteśmy przywiązani do naszych kapliczek. Na Grochowie może mniej, chociaż w tych starych kamienicach przy ulicy Mińskiej, Owsianej, są podwórka z zachowanymi kapliczkami, jak Pani się przejdzie w okolicach Targowej, między Ząbkowską i aleją Zieleniecką, to w każdym podwórku jest kapliczka. I wszystko jedno, czy jest to dom odnowiony czy stary, nikt tego nie niszczy i nie usuwa, ponieważ to jest kawał naszej tradycji, nie tylko miasta, lecz naszej tradycji jako narodu – opowiada elegancka pani spotkana na miejscu. Ma piękny, jakby znajomy głos i nienaganną dykcję. Dopiero po czasie orientuję się, z kim rozmawiałam i że ten głos towarzyszył mi od wielu lat. Moja rozmówczyni pragnie pozostać anonimowa. I ma do tego prawo.

Krzyż Baliszewskiego i legenda

Tuż obok kobieta i mężczyzna, rozmawiają o krzyżu stojącym trzydzieści metrów dalej na skrzyżowaniu ulicy Międzyborskiej i Grochowskiej.

– Jest legenda, że książę Franciszek Żymirski ciężko ranny wracał z bitwy pod Olszynką Grochowską i skonał pod tym krzyżem, ale to tylko legenda – mówi mężczyzna. Proszę, by powiedział więcej, słyszałam, że zna historię krzyża lepiej niż ktokolwiek. Zgadza się. – Ten krzyż postawił w 1820 roku mój pradziadek, Stanisław Baliszewski. Drugi postawił pod swoją chałupą. Ten, co tu stoi, to jest czwarty albo piąty, ponieważ krzyże co pewien czas trzeba było wymieniać. Mamy zdjęcie z 1938 roku, na którym jest widoczna jeszcze reklama mydła Schichta – opowiada. – To był koniec Grochowa, tak zwany Grochów Ósmy i tu stała rogatka z czerwonej cegły. Jak włączyli Kamionek do Warszawy, to tu postawili rogatkę, na granicy między Grochowem a Kamionkiem – dodaje towarzysząca mu kobieta. Chwilę później rozmowa schodzi na drzewo genealogiczne rodziny Moniuszków, których potomkowie, jak się okazuje, mieszkają w okolicy, rozmawiamy o artystach z warszawskich teatrów związanych z Kamionkiem, o tym, że budynek Sinfonia Varsowia niszczeje, a powstały w tym samym czasie okazały gmach liceum im. Władysława IV wciąż wygląda jak nowy. Potem czas na opowieści o lokalnych kawiarniach, parkach, bazarach, ludziach zasłużonych dla Pragi. Nawet o słynnym „Łubu-dubu" z Misia nagrywanym na terenie byłego toru kolarskiego klubu „Orzeł" przy Podskarbińskiej. Święte drzewko coś robi z ludźmi. Zbliża ich. W czasach dystansu i lęku grupa obcych sobie ludzi przez blisko godzinę opowiada sobie praskie historie. Ten krzyż też coś robi z ludźmi. Nie zapomnę widoku starszego człowieka, mocno zmęczonego życiem, ale i czymś mocniejszym, zażarcie toczącego bój z grawitacją. Nagle mijając krzyż Baliszewskiego przystanął, skłonił głowę, na ułamek sekundy wyprostował się, coś tam szepnął i wężykiem ruszył w dalszą drogę. A dziś starsza kobieta pod świętym Ekspedytem upuściła klucze, obok śmignął na deskorolce narwany nastolatek. Usłyszał brzdęk kluczy spadających na chodnik, wyhamował, wrócił, podniósł klucze, wręczył starszej pani, na „odjezdnym" uchylając jeszcze daszek czapki. Drzewo-Krzyż-Ekspedyt. Jakiś przedziwny Trójkąt Praski. ■

eprasa.pl 6b6c684efd



ŻYŁ W PRL-U, TAK JAKBY NIE BYŁO KOMUNIZMU

Dariusz Jarosiński



Służba Bezpieczeństwa zastosowała wobec Stanisława Cata-Mackiewicza niemal wszystkie dostępne metody operacyjne: wprowadziła tajnych współpracowników, założyła podsłuch, zorganizowała obserwację zewnętrzną. Cat, domyślając się, że ma założony w mieszkaniu podsłuch, komentował bieżącą sytuację w kraju w sposób wyjątkowo dosadny.

14 czerwca 1956 roku wylądował na lotnisku Okęcie samolot z Londynu, którego najważniejszym pasażerem był Stanisław Cat-Mackiewicz. Pisarz, wybitny publicysta polityczny i historyczny, redaktor przedwojennego dziennika wileńskiego „Słowo", polityk, były premier Rządu RP na Uchodźstwie. Zdeklarowany konserwatysta, monarchista, antykomunista, wracał z emigracji do kraju rządzonego przez komunistów, do kraju bez Kresów zabranych przez Sowietów, bez ukochanego Wilna. Z samolotu po trapie wyszedł uśmiechnięty, w nieprzystającym do słonecznej, letniej pogody ubraniu – ciepłym płaszczu, lekko rozchełstany, jak to bywało w jego zwyczaju. W ręku trzymał walizeczkę z maszyną do pisania, jakby chciał zwrócić uwagę, że przyjechał do kraju jako pisarz, a nie jako polityk. Oprócz członków rodziny powitał go na lotnisku Jerzy Putrament, wiceprezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, działacz komunistyczny. To m.in. z Putramentem Cat negocjował warunki powrotu do kraju. Znali się jeszcze z Wilna. W sierpniu 1955 roku, wkrótce po ustąpieniu z funkcji premiera rządu RP, Mackiewicz zdecydowany był wracać do kraju.

Jestem zadowolony ze swego powrotu

Następnego dnia po przyjeździe do kraju Cata odbyła się w siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich przy ulicy Foksal konferencja prasowa z jego udziałem. Właściwie sprowadziła się ona do wygłoszenia przez Mackiewicza oświadczenia. Były premier RP na uchodźstwie mówił m.in., dlaczego zdecydował się wrócić do Polski, co sądzi o polskiej emigracji w Londynie. Obraz polskiego Londynu namalował w ciemnych barwach.

Aby jakoś umiejscowić w czasie przyjazd do kraju Cata, należy wspomnieć, że dwa tygodnie później doszło w Poznaniu do pierwszego w PRL strajku generalnego i manifestacji ulicznych. W wyniku krwawo stłumionych protestów przez wojsko i milicję zostało zabitych 57 osób. Lato 1956 roku było gorące politycznie, dużo rzeczy się działo, więc uwaga mediów skoncentrowana była zdecydowanie na innych wydarzeniach niż przyjazd do Polski nawet tak ważnej persony jak Cat. Trwała ostra zakulisowa walka na szczytach władzy między dwiema frakcjami pezetpeerowskimi – natolińczykami i puławianami, toczone były dyskusje rozrachunkowe. W październiku funkcję I sekretarza KC PZPR objął Władysław Gomułka.

fot. arch.

eprasa.pl 6c6c684efd

Maria Dąbrowska dwoma zdaniami skomentowała przyjazd Mackiewicza do kraju w „Dziennikach powojennych 1945–1965". Zapisała 18 czerwca 1956 roku: „Warszawskie sfery rządowe są pod znakiem trudnego do pojęcia zachwytu nad powrotem Stanisława Cata-Mackiewicza. Dziwny kraj komunizmu, do którego wracają reakcjoniści, a z którego wieją komuniści".

Mackiewicz tymczasem układał sobie współpracę z Bolesławem Piaseckim ze Stowarzyszenia PAX. Znali się jeszcze z okresu przedwojennego, kiedy szef PAX-u przewodził „Falandze". Mackiewicz miał też dobre relacje z prawą ręką szefa PAX-u, z Zygmuntem Przetakiewiczem, z którym wspólnie atakowali w Londynie gen. Władysława Sikorskiego za zbyt uległą politykę wobec Sowietów i Anglików. Mackiewicz nie miał wielkiego wyboru pracodawcy, jeżeli można mówić o jakimkolwiek wyborze. Piasecki udostępnił Catowi łamy „Kierunków", które powstały na miejsce tygodnika „Dziś i Jutro", a także dziennika „Słowo Powszechne". Interes wydawał się obopólny: Cat zapewniał sobie byt materialny, a Piasecki zyskiwał pełnokrwistego publicystę.

Mackiewicz otrzymał mieszkanie przy ulicy Jezuickiej na Starym Mieście, wstąpił do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, jego życie nabrało nowych, pogodnych barw, ale o mały włos nie zostało przerwane. We wrześniu 1956 roku uległ groźnemu wypadkowi samochodowemu w drodze do Krakowa – nie opanował kierownicy, jego auto trzykrotnie dachowało. Na szczęście nie odniósł poważniejszych obrażeń. Nie był najlepszym kierowcą, a jeździł dużo po Polsce, głosił odczyty, prelekcje. Wszędzie witały go tłumy słuchaczy. W połowie października pisał do przyjaciela Michała K. Pawlikowskiego mieszkającego w USA: „Jestem bardzo zadowolony ze swego powrotu, zarówno pod względem moralnym, jak i politycznym – i pozostałem tym, kim byłem, ani na jotę nie zmieniając przekonań".

Cat jak zwykle pomstował w listach do Pawlikowskiego na emigrację londyńską, pisał o niej: „znęcała się nade mną solidarnie w sposób zupełnie nikczemny", a już w szczególności nie żałował żółci, pisząc o Mieczysławie Grydzewskim, redaktorze „Wiadomości". Warto zauważyć, że mimo iż w Polsce po jego powrocie do kraju dużo się działo w polityce, to nie komentował tych spraw w listach do przyjaciela, za to pisał mu o swoich podbojach seksualnych: „[...] tutaj do przechędożenia zgłaszają się wszystkie pudła, które kiedyś dawać nie chciały. Chędożę te pudła, ale tylko po jednym razie". Często pisał o pozostawionej w Londynie hrabiance Renacie Ostrowskiej, swojej platonicznej miłości, dużo młodszej kobiecie. Bardzo bolał nad tym, że nie może jej sprowadzić do kraju.

„Tutaj, począwszy od Prymasa – pisał do Pawlikowskiego – a kończąc na ostatnim robociarzu, wszyscy okazują mi znów swoje honory zapewne przesadne, ale które są dla mnie wynagrodzeniem tego stosunku do mojej osoby, który przez wiele lat znosiłem w Londynie".

Mackiewicz rzeczywiście miał wiele powodów do zadowolenia w pierwszych trzech latach po powrocie do kraju. Atmosfera polityczna po dojściu do władzy Gomułki była znośna, na półkach księgarskich pojawiły się wznowienia książek Wańkowicza, Pruszyńskiego, Gombrowicza, Schulza. Do połowy 1957 roku ukazały się w iście ekspresowym tempie, jak na peerelowskie warunki, cztery książki Mackiewicza, wszystkie wcześniej napisane w Londynie: „Stanisław August", „Dostojewski", „Muchy chodzą po mózgu" oraz „Londyniszcze". „Londyniszcze" były wcześniej drukowane w odcinkach w „Przeglądzie Kulturalnym". Cat, choć nie znosił Anglików, i słusznie, bo przecież wykorzystali oni najpierw lojalność Rządu RP na Uchodźstwie, waleczność polskich żołnierzy w walce z Niemcami, a potem porzucili i oddali w pacht Stalinowi, to jednak cenił ich kunszt polityczny. Pisał w „Londyniszczach": „[...] my, Polacy, pisujemy noty dyplomatyczne i zajmujemy stanowiska w polityce międzynarodowej z tomikiem Mickiewicza lub Słowackiego jako podręcznikiem orientacyjnym. To my, Polacy, nie myślimy politycznie, lecz głośno lub cicho deklamujemy politycznie. Polityka angielska dlatego jest tak doskonała, że jest wyzuta z wszelkiej uczuciowości". Cat niemal w każdej książce prezentował się jako filozof polityki, historii, jako znawca polskiego charakteru narodowego. W 1958 roku Cat wydał „Zielone oczy", książkę, w której ostro zaatakował polską emigrację. Tytuł nawiązywał do zielonych oczu platonicznej miłości Cata, hrabianki Renaty Ostrowskiej.

▶ Książka-esej o ostatnim królu Rzeczypospolitej

Warto zatrzymać się na dłużej przy książce Cata o ostatnim królu Polski i wielkim księciu litewskim „Stanisław August". Z zamiarem napisania książki o królu Poniatowskim Cat nosił się już na początku lat 50., często dzielił się swymi przemyśleniami na ten temat z Michałem K. Pawlikowskim: „Gdybym istotnie kiedy mógł napisać książkę o Stanisławie Auguście – pisał w 1952 roku – to bym z dokumentami w ręku wykazał, że bał się on współdziałania Prus i Rosji i że za wszelką cenę współdziałania tego chciał uniknąć. Polityka jego to dźwiganie kraju z bezsiły i braku sprawności, to stworzenie wojska,

eprasa.pl 6b6c684efd

abyśmy mogli być partnerem dla naszych sąsiadów, a nie tylko przynętą dla dokonywania rozbiorów, Stanisław August zawczasu wszystko przewidział i przede wszystkim przestrzegał". „Tłumaczył: wpierw zbudujmy wojsko, a potem szukajmy rozprawy z Rosją. Polacy robili oczywiście na odwrót". Ilekroć dochodziło w historii do sojuszu Rosji i Niemiec, to zawsze my, Polacy, z tego powodu cierpieliśmy, ponosiliśmy klęski.

Książka-esej o ostatnim królu Rzeczypospolitej, Stanisławie Auguście Poniatowskim, ukazała się po raz pierwszy w Londynie w 1953 roku. Jest to bodaj jedyna książka w dorobku twórczym Cata, w której w sposób jasny i dobitny pisze, że jest po stronie swego bohatera – króla, w innych książkach pozwala czytelnikowi na dokonanie oceny. Na rok przed wybuchem wojny, w 1938 roku, Cat krytycznie oceniał politykę prowadzoną przez króla Stasia: „Wielkim był Stanisław August jako artysta, małym jako człowiek, zbrodniarzem jako polityk". W okresie międzywojennym pogląd Mackiewicza nie był odosobniony – Stanisław August uznawany był za zdrajcę, uważano, że przyczynił się do rozbioru Rzeczypospolitej.

Kilkanaście lat później Cat zmienił swoją opinię o królu Stanisławie Poniatowskim. „Od lat 250 Polska wydała dwóch wielkich mężów stanu: pierwszy był Piłsudski, a drugi – ten sponiewierany... Stanisław August" – pisał autor. „Stanisław August" to książka o tym, jak upadała Rzeczpospolita Obojga Narodów w XVIII wieku, że to ówczesna polska elita przyczyniła się w dużo większym stopniu do rozbiorów Polski niż państwa ościenne i o tym, jak karmieni byliśmy przez dziesiątki lat fałszywą historią. Do tej książki, do postaci króla Stanisława Augusta, Cat powracał wielekroć w swoich artykułach w czasach Peerelu. Zdaje się, iż kiedy pisał o tym, jak bardzo król Poniatowski, chcący naprawiać Rzeczpospolitą i ograniczać panującą w kraju anarchię, został skrzywdzony przez swoich adwersarzy politycznych, a później przez potomnych, myślał o swojej sytuacji. „[...] my, Polacy – pisał Cat – nie znosimy właściwych ludzi na właściwych miejscach. My nie lubimy naczelników, szefów, wodzów inteligentnych. Nawet na prezesów stowarzyszeń, stronnictw, organizacji z radością wybieramy ludzi niebojowych, to znaczy pozbawionych indywidualności. Kult poczciwego durnia jest jedynym powszechnie uznanym kultem w Polsce".

Przez prawie 70 lat, w latach 1697–1763, Rzeczpospolita była związana unią personalną z Saksonią. Polską rządzili władcy sascy, August II Mocny i August III. To za ich rządów powstało szlacheckie powiedzenie „za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa". Nie dbano o państwo, zaniechane zostały wszelkie reformy, w rozpaczliwym stanie znajdował się skarbiec, armia. Polska szlachta była zadowolona z rządów Sasów, słabych władców, korzystała z niemal nieograniczonych przywilejów szlacheckich. W przeciwieństwie do Sasów, władcy ościennych państw przeprowadzali reformy, budowali silne, nowoczesne armie, zbroili się.

Coraz częściej w sprawy Rzeczypospolitej ingerowała caryca Rosji Katarzyna II. Dzięki poparciu cesarzowej Rosji królem Rzeczypospolitej został Stanisław Poniatowski, stolnik litewski, jej kochanek. Stanisław August (imię August przyjął po koronacji) nie zamierzał być bezwolnym narzędziem w rękach Katarzyny – wbrew woli imperatorowej zaczął przeprowadzać sensowne, niezbędne reformy państwowe. Reformom i umacnianiu się władzy króla przeciwna była szlachta, która szukała wsparcia u carycy Katarzyny, rosyjskich urzędników, dyplomatów. Król Staś uruchomił ponownie mennicę, powołał do życia Szkołę Rycerską, której absolwentami byli m.in. Tadeusz Kościuszko, Julian Ursyn Niemcewicz, Jakub Jasiński i Karol Kniaziewicz. Przez trzydzieści lat funkcjonowania Akademia Szlacheckiego Korpusu Kadetów Jego Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej, bo taką też nazwę nosiła, wychowała około 650 kadetów oraz blisko 300 eksternów. Nie było bodaj drugiego takiego władcy jak król Staś – mecenasa polskiej kultury, nauki. Stanisław August, chcąc wprowadzać zmiany w Rzeczypospolitej, musiał iść na kompromisy z cesarzową Rosji, co na pewno było źle odbierane przez część Polaków.

▶ Poświęcić honor dla ratowania Ojczyzny

Cat-Mackiewicz przyznawał, że musiał przejść głęboką przemianę duchową, aby diametralnie zmienić zdanie na temat króla Stanisława Augusta, aby w „zbrodniarzu" dostrzec „męża stanu". „Aby taki polemiczny dziennikarz, jak ja, pisał obronę Stanisława Augusta trzeba było wielu wydarzeń – pisał w PRL. – Książki takiej nie napisałbym dawniej. [...] Książka ta urodziła się jak gdyby z jadu zgliszcz bohaterskiej Warszawy. Nauczyłem się cenić tych... których nie umiałem cenić dawniej".

Wydaje się, że Cat odkrył podobieństwo własnego losu w tragicznym losie Stanisława Augusta. I jeden, i drugi nie potrafili przekonać Polaków do swoich argumentów: król – polskiej szlachty, magnatów; Cat – polityków rządu RP na emigracji. Obaj byli krytykowani, wyszydzani, niezrozumiani, obaj z bezsilnością patrzyli na upadek Rzeczypospolitej w różnych jej okresach.

eprasa.pl 6b6c684efd

„Polityka Stanisława Augusta była oczywiście upokarzająca dla narodu – pisał Cat po powrocie do Polski – ale była to polityka realna i celowa, a jej formy upokarzające wynikały z bezsiły olbrzymiego państwa polskiego, wynikały ze zbrodniczej wobec własnej Ojczyzny anarchii samych Polaków".

Na emigracji Cat-Mackiewicz pisał z uznaniem o sędziwym marszałku Francji Philippe Pétainie, który jego zdaniem, godząc się na porozumienie z Niemcami, poświęcił własny honor dla ratowania ojczyzny. Po wojnie, pisał Mackiewicz, „Pétain był skazany na śmierć, siedział w więzieniu tylko dlatego, że darowano mu życie »ze względu na jego starość«, pozbawiono go wszystkich zaszczytów, godności, honorów, tytułów, napiętnowano go jako zdrajcę narodu. W ostatnich czasach uchwalano we Francji przeróżne amnestie dla kryminalistów i przestępców politycznych, korzystali z nich różni kombinatorzy, którzy na współpracy z Niemcami robili pieniądze, ale wszystkie starannie pomijały Pétaina". Zapewne podobnie myślał o królu Stanisławie Auguście Poniatowskim – ten też poświęcił swój honor dla ratowania ojczyzny. Król Poniatowski był więźniem rosyjskim, ostatnie lata życia spędził w Pałacu Marmurowym w Petersburgu, gdzie był gościem cara Pawła I, syna Katarzyny II. Spisał tam w języku francuskim swoje wspomnienia. Liczące ponad 500 stron pierwsze polskie wydanie całości wspomnień ukazało się w 2013 roku nakładem wydawnictwa Muzeum Łazienki Królewskie. To niezwykły dokument opisujący najbardziej dramatyczny okres w historii Rzeczypospolitej. Po lekturze wspomnień nie sposób nie przyznać racji Mackiewiczowi, że Stanisław August zasługiwał na miano męża stanu, że żaden inny monarcha w tak trudnej sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej nie uczyniłby więcej dla ratowania ojczyzny.

„Do Niemiec nie jeżdżę"

Cat narzekał w listach do Michała K. Pawlikowskiego na samotność, pisał, że w Warszawie nie ma przyjaciół z wyjątkiem Aleksandra Bocheńskiego, zresztą w podobnym tonie donosił też z Londynu o samotności. W mieszkaniu przy ulicy Jezuickiej odwiedzali go przede wszystkim starzy znajomi z Wilna. Utrzymywał kontakty z Jerzym Zagórskim, siostrzeńcem Kazimierzem Orłosiem, Markiem Hłaską i jego narzeczoną Sonią Ziemann, Stefanem Kisielewskim, Pawłem Jasienicą, Jerzym Putramentem. Szczególne relacje istniały między Catem a Melchiorem Wańkowiczem, obaj pochodzili z Kresów, obaj w tzw. podeszłym wieku wrócili z emigracji do komunistycznej Polski, na zewnątrz na pozór ich stosunki były poprawne, w istocie obaj nie znosili się, konkurowali ze sobą o palmę pierwszeństwa wśród polskich pisarzy, rywalizowali o rząd dusz czytelników, za plecami nie szczędzili sobie razów, złośliwości. Obaj byli uparci, przekonani o własnej nieomylności.

W słynnym „Abecadle Kisiela" nie mogło zabraknąć Cata: „Bardzo kolorowa postać, tylko był już chory [...] mi imponował ten człowiek, bo on stworzył sobie własne życie w Warszawie – tak jak by nie było komunizmu. Miał taką pielęgniarkę, której rodzina – prości ludzie – przyjeżdżali z radomskiego gdzieś, a on im opowiadał o Radziwiłłach, o hrabiach, o królach. Uważał, że największym polskim królem był Kazimierz Jagiellończyk. Natomiast Kazimierz Wielki to był babiarz i w ogóle zero. Straszne kłótnie były na ten temat, pamiętam kiedyś awanturę z Jasienicą. Cat w ogóle Piastów nie cenił, uważał, że Jagiellonowie to jest ważne, bo federacja. Masę miał różnych paradoksów. Kiedyś mówi »Polska właściwa to Witebsk, Mińsk, Wilno, Ryga, Kijów». Ja mówię: »A Warszawa?«. »Warszawa? Małe, żydowskie miasteczko gdzieś na granicy niemieckiej. Kogo by to obchodziło«. Kiedyś potem pytam go: »Czy byłeś już w Szczecinie?«. On mówi: »Ja do Niemiec nie jeżdżę«. [...] Bardzo go lubiłem".

Pod koniec 1958 roku dopadło Cata zapalenie splotów nerwowych, związane z potwornym bólem. Na nic się zdały operacja w klinice „Dzieciątka Jezus", wyjazd do znachora w Bułgarii, konsultacje u najlepszych specjalistów w Paryżu. Od tego czasu Cat poruszał się z trudem o dwóch laskach lub kulach, musiał ograniczyć swoje ulubione spacery uliczkami Starego Miasta.

Marzę o tym, żeby mnie wsadzili do więzienia

Tak zwana popaździernikowa odwilż 1956 roku nie trwała długo, komuniści m.in. zaostrzyli cenzurę. W połowie marca 1964 roku Mackiewicz podpisał jednozdaniowy list do premiera PRL Józefa Cyrankiewicza: „Ograniczenie przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrzenie cenzury prasowej stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej". Najprawdopodobniej inicjatorem powstania listu był Cat. List, mający charakter protestu, podpisały 34 osoby, przeszedł on do historii jako List 34. Konsekwencją podpisania „manifestu" było zawieszenie od 1 kwietnia współpracy z Mackiewiczem przez „Słowo Powszechne" i „Kierunki". Już wcześniej Wydawnictwo PAX wycofało się również z druku

eprasa.pl 6b6c684efd

książki Cata „Polityka Becka”. Jeszcze w tym samym roku książkę tę wydał Jerzy Giedroyć w wydawnictwie „Kultury”. Cat po raz pierwszy odczuł na własnej skórze, jak komunistyczna władza traktuje tych, którzy się z nią nie zgadzają. Zdaniem Jerzego Jaruzelskiego, biografa Cata, przyjął on decyzję komunistów stoicko. Przez kilka miesięcy Mackiewicz nie mógł publikować w paxowskiej prasie, a więc i nie zarabiał. Należy przy okazji dodać, że powstał „kontrlist” do Listu 34, który podpisało 600 pisarzy i dziennikarzy.

Powrót Cata okazał się kłopotliwy dla komunistów. W październiku 1964 roku pojawił się w paryskiej „Kulturze” pierwszy artykuł Cata podpisany pseudonimem Gaston de Cerizay. Pisał on w nim o reakcji władz PRL na List 34: „Za czasów Stańczyka, za Zygmunta Starego, Polska była krajem wolności, dziś jest domem niewoli”. Między październikiem 1964 a czerwcem 1965 roku ukazało się w „Kulturze” pięć artykułów Mackiewicza. Gaston w swoich tekstach pomstował na komunistów: „Smutne jest to życie w niewolniczej Polsce!”. „[...] rząd Gomułki jest po prostu za słaby, aby (mógł) pozwolić sobie na jakikolwiek liberalizm”. Dowodził, iż „znakomita większość Polaków” za swego przewodnika duchowego uważa prymasa Stefana Wyszyńskiego.

Jeszcze w październiku 1964 roku prokuratura wszczęła śledztwo w celu znalezienia autora piszącego do „Kultury” pod pseudonimem Gaston de Cerizay. Już właściwie po przeczytaniu pierwszego tekstu Mackiewicza w „Kulturze” ekspert Służby Bezpieczeństwa wskazał bezbłędnie, kto jest autorem ukrywającym się pod pseudonimem. Śledztwo nabrało przyspieszenia po założeniu podsłuchu w mieszkaniu Cata. 22 czerwca 1965 roku Cat został wezwany na przesłuchanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Po przedstawieniu dowodów ze śledztwa nie pozostało Mackiewiczowi nic innego jak przyznać się do autorstwa artykułów. Zaprzeczał jednak, by zawierały one fałszywe wiadomości dotyczące panujących w PRL stosunków politycznych, jak to zarzucał mu prokurator Leszek Pietrasiński. Po przesłuchaniu, wieczorem, w mieszkaniu Cata śledczy przeprowadzili rewizję. Znaleźli m.in. listy od Jerzego Giedroycia.

Mackiewicz kpił sobie z esbeków, ich śledztwa, w czasie przesłuchania na początku lipca poinformował śledczych, że wysłał do „Kultury” jeszcze dwa teksty i powinny się one w najbliższym czasie ukazać.

Na początku listopada Prokuratura Generalna wniosła do warszawskiego Sądu Wojewódzkiego akt oskarżenia przeciwko Mackiewiczowi. Wedle aktu oskarżenia artykuły publikowane w „Kulturze” wyrządzały „istotną szkodę interesom państwa polskiego”. Catowi groziło od 3 do 15 lat więzienia. Jednak sąd postępowanie zawiesił – powołał się na orzeczenie lekarskie stwierdzające, że Cat jest przewlekle chory. Zawieszenie postępowania nie brało się z troski o stan zdrowia pisarza, lecz z obawy o kompromitację.

Komuniści próbowali pozbyć się kłopotliwego Mackiewicza i wypchnąć go na emigrację. Między innymi Jerzy Putrament namawiał Cata do wyjazdu za granicę, być może obiecywał mu pomoc podobną do tej, jaką okazał przy powrocie do kraju. Cat jednak odmawiał, mówiąc, że nie po to przyjeżdżał do kraju, by teraz uciekać.

W liście z 27 października 1965 roku pisał do Michała Pawlikowskiego: „Co mam teraz robić? Wracać na emigrację? Byłoby to przekreśleniem samego siebie. Tutaj nie wiem co mnie czeka pod względem materialnym [...]. Marzę o tym, żeby mnie wsadzili do więzienia. Byłoby to niezłe zakończenie w encyklopedii hasła: »Stanisław Mackiewicz«”. Wydaje się, że pisząc te słowa raczej daleki był od żartów.

Cat nie zamierzał odpuszczać komunistom. Mimo aktu oskarżenia, nadal wysyłał za granicę swoje artykuły do „Kultury”. SB była jednak czujna i wychwytywała je. 11 grudnia 1965 roku Biuro Śledcze MSW wznowiło dochodzenie przeciwko Mackiewiczowi.

Pod koniec grudnia Służba Bezpieczeństwa przeprowadziła rozmowę ostrzegawczą z Catem. Na nic się zdało zastraszanie pisarza – Mackiewicz oświadczył esbekom, że nie zrezygnuje ze współpracy z „Kulturą”. Nie przejmował się procesem. Stwierdził wręcz, że chce, aby jego sprawa nabrała rozgłosu.

SB zastosowała wobec Mackiewicza niemal wszystkie dostępne metody operacyjne: wprowadziła tajnych współpracowników, założyła podsłuch, zorganizowała obserwację zewnętrzną. Nie dali się zastraszyć bezpiece przyjaciele Cata – nadal odwiedzali go Paweł Jasienica, Stefan Kisielewski, Stanisław Stomma. Cat, domyślając się, że ma założony w mieszkaniu podsłuch, komentował bieżącą sytuację w kraju w sposób wyjątkowo dosadny.

Prokuratura była przeciwna wszczynaniu śledztwa, powołując się na istniejące w aktach poprzedniej sprawy orzeczenie lekarskie.

16 lutego 1966 roku, po długotrwałych naleganiach z MSW, prokuratura wszczęła śledztwo przeciwko Catowi. Dwa dni później, w mroźną noc lutową, życie Stanisława Cata-Mackiewicza przerwał zawał serca. Sprawę umorzono. Ostatni tekst Cata „Zapiski z kraju niewoli” ukazał się pośmiertnie w marcowym numerze „Kultury”. ■

eprasa.pl 6b6c684efd



Ewa Polak-Pałkiewicz



Służba nie gorsza niż inne

„Mój Najzacniejszy i najwartościowszy parafianin [...]. Około niego skupiało się wszystko, co mogło ochronić od rozpaczy i podtrzymać siły. Był Apostołem i w obozie iluż ludziom ułatwił Spowiedź św. [...]. I nie tylko był ośrodkiem samopomocy duchowej, ale wielu z nas zaświadczyć może, jak organizował i pomoc materialną, wielkodusznie dzieląc się z bardziej potrzebującymi... Iluż to w obozie ludzi p. Starowieyski pojednał z Bogiem!" – pisał po śmierci Stanisława Starowieyskiego ks. Dominik Maj, proboszcz Łaszczowa i współwięzień Sachsenhausen i Dachau.

eprasa.pl 6b6c684efd

Kiedy we wrześniu 1939 roku dwór w Łaszczowie rabowany był przez sowieckie bandy, gdy napastnicy wynosili z kredensu, spiżarni i piwnicy żywność, a z szaf nawet pantofle bez pary, właścicielka, Maria Starowieyska, której męża niedawno aresztowali Rosjanie, z przerażeniem zobaczyła wśród bolszewickich rabusiów także „swoich".

„Zdążyłam kilka prześcieradeł schować – wspomina jedna ze służących. – I worek zmielonego jęczmienia, który stróż swoim trzem wilczurom gotował, niezauważony został". „Rzuciła się hołota – wspomina murarz Starowieyskich, Antoni Parnicki – Myślę, pójdę bronić, ale nie dam rady... Najpierw napadli na spiżarnię. Spotkałem panią Starowieyską. Drżała cała. Pytam: – Może pozapisujemy, kto... »Niech Bóg broni!« – krzyknęła. »Nic to, niech się pan oddali«... A hołota rabowała wszystko".

Maria Starowieyska nie potrafiła inaczej zareagować. Była człowiekiem wielkiej delikatności. Gdy już naprawdę nie mogła powiedzieć o kimś nic dobrego, mówiła, że „jest poczciwy".

Opleciony gęsto dzikim winem dom

W ciągu dwudziestu lat małżeństwa była tak mało zajęta tym wszystkim, co składa się na obowiązki reprezentacyjne ludzi jej sfery, a tak bardzo oddana wychowywaniu dzieci i pracy społecznej, że niekiedy na obmyślanie strojów dla dwóch swoich córek po prostu nie starczało jej czasu. Poprosiła kiedyś pokojówkę, by kupiła materiał dla jednej z nich, taki sam jak ten, z którego uszyta była sukienka służącej. Mała hrabianka w stroju takim jak służąca? To się w głowie nie mieściło.

U Starowieyskich, u Szeptyckich, gdzie priorytetem było wychowanie dzieci – dbanie o zasady, charakter, wykształcenie, kulturę bycia – zadowalano się skromnym bytem. Służba społeczna, codziennie, nie od święta, była tu także czymś oczywistym. Zarówno Sowieci, jak i Niemcy nie mogli patrzeć spokojnie na to polskie bogobojne, choć przecież dostatnie życie.

Przez kilka lat Maria z Szeptyckich Starowieyska, prawnuczka Aleksandra Fredry, prowadziła wiejski teatr. Krótko po ślubie założyła w Łaszczowie wraz z mężem Kółko Miłośników Sceny. Grywało w nim dobrane grono miejscowych: komendant posterunku policji, naczelnik stacji kolejowej, paru rzemieślników, nauczyciele. Na repertuar składały się sztuki patriotyczne i komedie. Teatr miał wielkie wzięcie. Jeżdżono z występami w dalsze strony. Uzbierane fundusze szły na pomoc dla najbiedniejszych ze wsi, paczki świąteczne dla dzieci z chłopskich rodzin. Tworzył się zalążek elity artystów-społeczników. Starowieyscy fundowali dla nich pielgrzymki i organizowali występy w Tomaszowie, Hrubieszowie.

Pomieszczenie, w którym przygotowywano przedstawienia i dawano spektakle, było tuż przy „dworze" w budynku gospodarczym. Ogród pod oknami Marii i jej męża można by też określić mianem „dworskiego", gdyby nie fakt, że zamieszkali zaraz po ślubie w budynku dawnych czworaków. Budynek okolony był wspaniałym pałacowym parkiem, z okazami trzystuletnich dębów i lip. Czasy były trudne, Stanisław Kostka Starowieyski, bohater wojny bolszewickiej, nie uznał za stosowne, by odbudowywać na siedzibę rodziny XVIII-wieczny pałac Szeptyckich, bo jak mówił, Polska jest zbyt biedna.

Gdy przybywało dzieci – Maria urodziła ich sześcioro – do dawnych czworaków dobudowywano kolejny pokój. Wygospodarowano nawet niewielki pokoik gościnny na poddaszu; spędzał tu kilka dni wakacji biskup lubelski Władysław Goral. Lubiano ten opleciony gęsto dzikim winem dom, przyjeżdżano w gości chętnie, nie zważając na niewygody. Służba zapamiętała, że całe wyposażenie małżeńskiej sypialni Starowieyskich stanowiły dwa łóżka i trzy krzesła.

Potrafił się zeźlić nie na żarty

Maria – śliczna kobieta o jasnych oczach i rumianych policzkach, pogodnego usposobienia, starannie kształcona w domu rodzinnym w Łabuniach – dostała za męża człowieka dzielnego, energicznego, o temperamencie cholerycznym i nieco wojskowej surowości w traktowaniu siebie samego i swoich obowiązków. Wymagającego od pracowników majątku uczciwości i posłuchu, od dzieci porządku, staranności w nauce, niepobłażającego żadnym dziecinnym wykroczeniom. W pokoju dziecinnym u sufitu zawsze wisiała rózga. Ojciec potrafił zeźlić się nie na żarty. „Był impulsywny – wspomina syn Andrzej – nie znosił kłamstwa, co też odczułem na własnej skórze". Niepokoił się, gdy dzieci czegoś się bały. Lubił ludzi odważnych.

Gospodarował z rozmachem na dużym areale. Zazdroszczono mu dobrej ręki i odwagi w rolniczym hazardzie, gdzie przecież nie da się wielu rzeczy przewidzieć. Był zamożny i potrafił obracać pieniędzmi. Nigdy tylko nie przeznaczał ich na splendory, fanaberie i luksusy. Utrzymywał domowe nauczycielki, Francuzkę i Niemkę, dawną nianię pana domu i niewielkie grono służby. Wykazywał talent w dobieraniu lojalnych i rzutkich zarządców oraz współpracowników. Tu, gdzie ludność polska mieszała się z ukraińską i o zatargi podsycane z zewnątrz nie było trudno, był to specjalny dar.

Mimo swobody, z jaką prowadził majątek i dzieła społeczne, Stanisław nie był wcale okazem zdrowia. Podczas wojny bolszewickiej ten silny, wysportowa-

FOT. ARCH.

eprasa.pl 6b6c684efd

ny mężczyzna, kapitan artylerii, otrzymał krzyż Virtuti Militari i Krzyż Walecznych za bohaterstwo podczas osłaniania przez baterię artyleryjską, którą dowodził, odwrotu oddziałów Józefa Piłsudskiego spod Kijowa. Wkrótce padł ofiarą czerwonki. Ledwo uszedł z życiem, potem przez lata otwierały mu się rany na nogach, miewał trudności w poruszaniu się. Po odznaczenia bojowe zgłosił się do Warszawy o kulach, prosto ze szpitala.

Możliwość „wejścia w siebie"

W pomieszczeniu nad wozownią, gdzie stały cztery rasowe konie, kucyk dla dzieci, a ponadto powóz, bryczki i samochód, małżonkowie zaczęli organizować kilka lat po ślubie dni skupienia. Doszli do wniosku, że ich warunki bytowe są już wystarczające i po prostu otworzyli swój dom. Zjazdy, zebrania i wykłady ruszyły pełną parą. Przyjeżdżali nauczyciele, inteligencja Łaszczowa i okolic, oficjaliści dworscy, chłopcy i dziewczęta z Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży – wszyscy, jak pisze uczestniczka tych zgromadzeń – „kolejno znajdowali tu możliwość wejścia w siebie, rozważenia swego stosunku do Boga, do ludzi i do siebie samych". Na rekolekcje stanowe, które Stanisław zorganizował w 1934 roku w Tomaszowie Lubelskim, przybyło ponad 10 tys. osób.

Najczęściej jednak rekolekcje i spotkania formacyjne odbywały się w oparciu o łaszczowski dwór. Prowadzone były regularnie, czasem po kilka razy w roku, nawet w czasie żniw. Tu przybysze otrzymywali godziwe warunki zakwaterowania i wyżywienie. Chętnych było coraz więcej, przybywało mnóstwo młodzieży – osobno młodzi mężczyźni, osobno dziewczęta. Zorganizowane i przemyślane były do najdrobniejszego szczegółu przez Stanisława, zawsze z jego udziałem. Po naukach, Mszy św., rozmowy, gorące dysputy i coraz więcej możliwości ruchu fizycznego, sportów, jakie dawały rozległe tereny majątku.

Stanisław nie znosił rutyny. Kiedy młody ksiądz prowadzący nauki rekolekcyjne nie chciał za nic w świecie wypuścić z rąk notatek, które czytał monotonnym głosem, Stanisław doprowadził do „awarii" elektryczności, a prelegent zmuszony mówić z głowy okazał się oratorskim talentem. Starowieyscy wiedzieli, że Lubelszczyznę trzeba odzyskać dla wiary katolickiej. Po latach zaborów i prześladowań Kościoła, wyjątkowo tutaj brutalnych.

„Może to służba jest nasza..."

Bratkówka. Dworek okolony starodawnym parkiem spoglądał na szeroką dolinę z wysokiego brzegu Wisłoka. Zamek odrzykoński widniał nieopodal na wyniosłym wzgórzu. Tajemnicza budowla, na wpół zrujnowana, niedostępna, uwieczniona przez Fredrę w „Zemście". Na deszcz zamek czerniał i zieleniał, na upał bielał; był niezawodnym barometrem.

Stanisław, najbardziej niesforny z rodzeństwa, spędził tu dzieciństwo. Wyżywał się w kawałach robionych ciotkom zakonnicom i stryjowi prałatowi. Był inicjatorem wpakowania nielubianego korepetytora-studenta do worka i toczenia go przy akompaniamencie dzikich okrzyków całej gromadki po spadku terenu do rzeki, zanim domownicy usłyszeli przerażające wrzaski dobiegające z worka.

Całe dnie najchętniej spędzałby przy koniach i włócząc się po lesie z dubeltówką w towarzystwie starszego brata Ludwika. Rodzice, Stanisław i Amelia z Łubieńskich, byli jednymi z najaktywniejszych działaczy katolickich w Galicji. W atmosferze bratkowskiego domu nie było nic z bigoterii. „Była to po prostu zdrowa i normalna pobożność, połączona z dużym poczuciem humoru" – wspomina bratanek Stanisława, ks. Marek Starowieyski (za: ks. Marek Starowieyski „Sprawiedliwy z wiary żyje").

Jezuici w Chyrowie, szkole, a w zasadzie uczelni, która budziła zazdrość w całej Europie, zdołali doprowadzić nieokiełznaną naturę do ładu. Stanisław prymusem nie był, lecz ukończył liceum jako członek Sodalicji Mariańskiej, niezawodnej szkoły charakterów. Po praktyce w majątku ojca, po roku studiów na UJ, dostał przydział do wojska jako oficer austriacki. Był na froncie włoskim, w górach i nad Pilawą, gdzie walki były wyjątkowo krwawe. Zaciągnął się do Legionów. Jako porucznik i kapitan baterii brał udział w obronie Lwowa na przełomie 1918 i 1919 roku, później bronił Przemyśla. W lecie 1920 roku był już na froncie litewsko-białoruskim pod dowództwem stryja przyszłej żony, gen. Stanisława Szeptyckiego. Jego refleks, odwaga, zmysł organizacyjny budziły podziw. W czasie wojny przedzierzgnął się z lekkomyślnego chłopca w świadomego odpowiedzialności za innych mężczyznę.

Siedemnaście lat po wojnie, gdy był znanym z nowatorskiego stylu działania inicjatorem i wiceszefem Akcji Katolickiej na Lubelszczyźnie, sformułował program dla rodzin ziemiańskich, godny katolickiego męża stanu – w artykule napisanym po Pielgrzymce Ziemian na Jasną Górę w czerwcu 1937 roku.

„...jako zbiór dusz nieśmiertelnych"

Nurtowała go myśl, że w relacjach dwór–wieś istnieje coś anachronicznego. Zawsze surowo egzekwował pracę w łaszczowskim majątku, poważnie traktował obowiązki wobec zatrudnionych chłopów, dochodził jednak do wniosku, że coś tu jest nie tak. Szukając głębszej motywacji dla działalności zie-

eprasa.pl 6b6c684efd

mian wskazywał na Sodalicję Mariańską. Wiedział, że naraża się na zarzut propagowania organizacji śmiesznie nienowoczesnej jak na gusta bywalców klubów i kabaretów Paryża i Berlina. Odpierał go francuskim przysłowiem: „Le miex est l`ennemi du bien". Zaznaczał, że potrzebna jest zmiana mentalności, że „trzeba ponieść pewne ofiary".

Świadom był win i zaniedbań ciążących na jego sferze. Postulaty stawiał warunkowo: „Jeżeli ziemiaństwo nie chce utonąć w ostatecznym marazmie, albo – co gorsza – nie wypełnić obowiązków, których się podjęło...". Zwracał uwagę, że „ziemia posiadana sama w sobie nie jest ani życiem, ani istotą życia społeczeństwa", lecz dobre wykorzystanie jej bogactwa powinno służyć także innym grupom społecznym. Takie jest zadanie spadkobierców warstwy rycerskiej w Polsce. (Ród Starowieyskich, spokrewniony z rodami hr. Fredrów, Badenich, Jabłonowskich i Szeptyckich, wywodził się od szwajcarskiego rycerza Biberstein z Regenstat w Szwajcarii, który osiedlił się w Polsce po bitwie pod Płowcami).

Potrzebna jest zatem dobra organizacja ziemian, których łączy od pokoleń idea katolicka i chrześcijańska. Gdyby nie „wspólna katolicka kultura – podkreślał – na pewno wspólne posiadanie ziemi nie mogłoby być tą więzią wszystkich ziemian łączącą". Dziś obowiązkiem staje się rozwiązywanie kwestii społecznej w duchu katolickim, traktując ogół społeczeństwa, w tym „warstwy najbiedniejsze jako zbiór indywidualnych, pełnowartościowych jednostek, dusz nieśmiertelnych". Proponował utworzenie organizacji zrzeszającej ziemian i służbę folwarczną, w której obie grupy „w duchu miłości chrześcijańskiej będą pracowały dla swoich rodzin, kraju i ludzkości".

▶ „Proszę dziedzica, cerkiew zwalona!"

Był realistą. Jego majątek kwitł, chłopi go szanowali i ufali mu. We wszystkich potrzebach służył im pomocą. Znano go z czynnej obrony grekokatolików i ich świątyń. Dokąd był na miejscu, lokalne „czynniki" nie odważyły się rozebrać cerkwi unickiej w Łaszczowie, choć podobne praktyki były na porządku dziennym w latach 30. Raz jednak wykorzystano jego nieobecność. Pojechał na Jasną Górą, przykazując surowo wójtowi, by nie ważył się tknąć cerkwi. Ledwo wysiadł z żoną z pociągu, już na stacji furman Józef zawołał na cały głos: „Proszę pana dziedzica, cerkiew zwalona!". „Pan Starowieyski, pierwszy raz w życiu wtedy słyszałem, zaklął: »A cholera by go wzięła!«" – wspominał murarz z majątku Starowieyskich, Antoni Parnicki.

Współpracował z innym społecznikiem w wielkim stylu, hr. Aleksandrem Szeptyckim, swoim teściem z sąsiednich Łabuń, najpierw w ramach Sodalicji, później Akcji Katolickiej. Formułował jasno swoje cele. „Zadaniem Akcji Katolickiej jest walka przeciw wrogom Kościoła i wypełnianie świętych zaleceń papieża, jej twórcy" – głosił na zjazdach i konferencjach. Na rekolekcjach zamkniętych dla ziemian w Łaszczowie można było usłyszeć wykłady takich sław kaznodziejskich jak o. Jacek Woroniecki OP, ks. Jan Rostworowski SJ czy ks. Jan Piwowarczyk. Zaraz potem rozpoczął się cykl rekolekcji dla nauczycielek. Mnożyły się Koła Inteligencji Katolickiej, a zwłaszcza koła Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej. Pius XI obdarzając Stanisława Starowieyskiego tytułem szambelana papieskiego zaznaczył, że docenia jego pracę w powiatach wschodnich diecezji lubelskiej, gdzie „ludność katolicka narażona jest na propagandę komunizmu i akcje bezbożników".

Bał się, by nie popsuć niczego swoimi wadami, słabością, brakiem konsekwencji. Widział swoje ograniczenia. „Tak mnie do tych wielkich kontemplacji, o Panie, jak podróżnemu do bankietu luksusowego" – pisał w swoich notatkach po odprawionych rekolekcjach, „zewsząd otoczyły mnie opuszczenia i zgorszenia. Ja tylko mogę z największą pokorą wołać: Panie miłosierdzia i przebaczenia!".

Nie wszyscy przyjmowali jego pracę z entuzjazmem. Starosta tomaszowski w tajnej informacji do Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego w 1935 roku tłumaczył się gęsto, świadom, że Starowieyskiemu przyglądano się bardzo uważnie w sferach rządowych, obawiając się, że zostanie wykorzystany przez endecję. Dziedzic Starowieyski, jak donosił, „stale akcentuje swoją apolityczność i do żadnego ugrupowania politycznego nie należy". A zarazem „w ruchu społecznym ogólnym bierze żywy udział, a wszelkiej biedocie stara się pomagać... charakter nadzwyczaj prawy, szlachetny i uczynny, a związanie się z pracą na terenie Akcji Katolickiej podyktowane jest względami natury li tyko religijnej...".

Ludowcy i komuniści potrafili za to wbić szpilę, a nawet przeszkodzić pracy Starowieyskiego, wykorzystując wtyczki w środowisku nauczycielskim. Butnie sprzeciwiano się tu spotkaniom i wykładom, które organizował w szkołach, roznoszono oczerniające go ulotki. „Nie było to zresztą dla Stanisława niczym nowym – dodaje ks. Marek Starowieyski – bzdurne plotki rozpuszczane przez ludowców spod znaku Stapińskiego, gdy ojciec Stanisława kandydował do sejmu galicyjskiego czy do parlamentu austriackiego (np. że nowy poseł wprowadzi pańszczyznę, czy wręcz surrealistyczne – że członkinie organizacji wiejskich kobiet katolickich będą musiały zakupić... fortepiany!, były już przedsmakiem tego, co miało spotkać na Lubelszczyźnie jego syna".

eprasa.pl 6b6c684efd

Maria Starowieyska tymczasem rozkręcała Koła Gospodyń, katolickie organizacje kobiece, rozprowadzała książki, katolicką prasę, roztaczała pieczę nad potrzebującymi. Przyszedł czas, gdy na teatr prawnuczka hr. Fredry nie miała już sił ani chwili czasu.

Wiedzieli, po kogo idą

„W 1939 roku ojciec nie był w wojsku, bo był inwalidą, i to go strasznie denerwowało, jak we wrześniu, przez Łaszczów, drogą na Hrubieszów, jechały samochody z naszymi oficerami, którzy opuszczali kraj... Nawet kiedyś włożył mundur, przypiął krzyż Virtuti Militari i doszło do awantury z jakimś oficerem" – wspomina syn Andrzej Starowieyski. „Potem przyszli bolszewicy. Rozbój był absolutny. Wtedy mojego ojca zaaresztowano po raz pierwszy, razem ze stryjem Marianem. Gdy ich mieli zabrać do Tomaszowa, skąd dalej wywoziło się na rozstrzelanie, zarzucili jakieś szmaty konwojentom na głowę i zbiegli. Stryj, niestety przepadł, a ojciec przeżył. Ukrywał się u znajomych gospodarzy... I po trzech tygodniach, bawiąc się z siostrą przed domem, patrzymy – jakiś człowiek podchodzi, w płaszczu przewiązanym sznurkiem, nie ogolony... Ojciec!".

Po kilku tygodniach aresztowali go Niemcy. Wiedzieli dobrze, po kogo idą. Mieli obszerne informacje o działalności Stanisława od miejscowego szpiega. Przeszkadzał okupantom fizycznie i duchowo. Była pora modlitwy, dzieci uklękły wraz z matką. „Gestapo bierze tatusia" – zdołała wyszeptać Maria. Wszystko trwało tak krótko; nie zdążyli wybiec, by usłyszeć ostatnie słowo, otrzymać błogosławieństwo. Stanisław nie mógł zabrać osobistych rzeczy. W obozie brakowało mu płaszcza, potwornie marzł.

„Dobry Ojciec troszczy się o nas"

Listy do żony z obozów Oranienburg-Sachsenhausen i Dachau (od 28 lipca 1940 do kwietnia 1941 roku) pisał po niemiecku. „Kochana Marjo. Jestem całkiem zdrów i czuję się dobrze. [...] Myślę często o Twoim Ojcu*. Jak idzie w gospodarstwie i kto wszystkim zarządza? Całuję Ciebie i wszystkie dzieci serdecznie". „Kochana Maryśku. Jestem zdrów i czuję się całkiem dobrze. [...] Czas najwyższy już prawdopodobnie by żniwa były wkrótce zakończone. A Tobie jak się powodzi? Przecież codziennie spotykamy się w myślach... Pozdrawiam Was z całego serca". „Kochana Maryśku. [...] Jestem zdrów i czuję się całkiem dobrze, a nawet lepiej... Mama niech się nie martwi, ale niech w myślach uznaje, że wszystko, co jest i co ma być, jest dobre. Specjalnie cieszy mnie Twój spokój i grzeczność dzieci...". „Kochana Maryśku i wszystkie dzieci. Ty wiesz najukochańsza, jakim sercem dziś do Ciebie piszę... najlepsze moje życzenia dla Was wszystkich, dla Mamy i dla wszystkich na Boże Narodzenie. Tylko w najwyższych myślach będziemy się spotykać. Spokojnie i odważnie musimy przetrzymać rozłąkę... Specjalnie 24-ego i w tę noc będziemy razem. Nie bądźcie smutni w tym dniu. Wszystko przemija...". „11 stycznia 1941 r. Niestety tak długo nie pisałem, ale nie można było. Ale jestem zdrów. Przez cały czas byłem z Wami, a zwłaszcza z Tobą, moje kochanie. 24-ego dużo śpiewaliśmy i był dobry nastrój". 6 marca 1941 roku, miesiąc przed śmiercią: „[...] jestem i byłem zdrów, tylko nie mogłem pisać. Proszę Cię, jeżeli to jest możliwe, o poratowanie drzewem z Wólki Zenona Wichy z Dąbrowy k. Krynic, wiele mu jestem winien...".

30 marca, trzy tygodnie przed śmiercią: „Nie czekaj nigdy na moje listy z Twoimi, tylko pisz regularnie. Jestem zdrów... Jak się czujesz, moje kochanie, mam nadzieję, że dobrze i dzielnie. [...] dobry Ojciec troszczy się o nas. Staś". W Wielką Niedzielę, zapewne zanim jeszcze ten list dotarł do adresatki, zmarł, skopany przez strażnika więziennego.

„Dane mi było znać człowieka świętego"

Ten wysoki, wychudzony mężczyzna o rozpalonych gorączką oczach, umierający na więziennych deskach, z połamanymi od podkutych niemieckich buciorów żebrami, z pourazowym zapaleniem płuc, plujący krwią, z twarzą poczerniałą, jeszcze w przeddzień zgonu zdołał z pomocą współwięźniów dowlec się pod druty i przyjąć ostatni raz Komunię. Z rąk przyjaciela, łaszczowskiego proboszcza.

„Mój Najzacniejszy i najwartościowszy parafianin" – pisał po jego śmierci ks. Dominik Maj, proboszcz Łaszczowa i współwięzień Sachsenhausen i Dachau. „Około niego skupiało się wszystko, co mogło ochronić od rozpaczy i podtrzymać siły. Był Apostołem i w obozie iluż ludziom ułatwił Spowiedź św., a my wiemy, jaki to był potężny środek do wytrwania. I nie tylko był ośrodkiem samopomocy duchowej, ale wielu z nas zaświadczyć może, jak organizował i pomoc materialną, wielkodusznie dzieląc się z bardziej potrzebującymi... Iluż to w obozie ludzi p. Starowieyski pojednał z Bogiem! Sam mu przekazywałem, jak Tarsycjuszowi, Komunię św. dla innych, do których dotrzeć nie mogłem".

Brat Honorat, albertyn: „[...] dzielił szykany, jakie znosili Polacy, zwłaszcza inteligencja, na chwilę nie zwątpił w zmartwychwstanie Polski, kilkakrotnie pobity cierpliwie znosił wszystkie cierpienia".

Doktor Adam Sarbinowski, wcześniej ateista i aktywny antyklerykał, przeżył nawrócenie w obozie pod

eprasa.pl 6b6c684efd

wpływem rozmów ze Stanisławem Starowieyskim. W nocy z Wielkiego Wtorku na Wielką Środę Stanisław Starowieyski ledwo się poruszał. Miał za sobą kilkutygodniową „kurację" zwalczania świerzbu – przy pomocy lodowatego prysznica i głodówki – na opuchniętych nogach bolesne rany. „[...] długo omawialiśmy plan działania – relacjonuje Sarbinowski – bo dostać się do szpitala w tym czasie było rzeczą niesłychanie trudną, »Rewierkapo« decydował o przyjęciu, a był nim wariat-bandyta, który miał pasję znęcania się nad chorymi... Zależnie od jego kaprysu zdrowy więzień mógł zostać przyjęty do szpitala i leżeć tam miesiącami, chory zaś mógł skonać pod żelaznymi kopytami oprawcy. Starowieyski nie natrafił na dobry humor opryszka. Kilkanaście potężnych ciosów podkowami w głowę i żebra nie wykończyły go jednak". Pobity, z wysoką gorączką i zapaleniem płuc, musiał stawiać się na kolejne apele.

Ksiądz Adam Kozłowiecki, późniejszy kardynał, zanotował: „Starowieyski sądzi, że w rewirze mają, zdaje się, polecenie wykończenia go, ponieważ skoro tylko tam się pokazał, natychmiast Heiden zbił go i wypędził z powrotem. Prawdopodobnie wskazano na niego, że jest ziemianinem i wybitnym działaczem katolickim".

Tego dnia pobito go dwa razy, pod rewirem i na placu apelowym. Próba umieszczenia męczennika w szpitalu obozowym następnego dnia w Wielki Czwartek, tym razem dokonana przez blokowego, Niemca, spotkała się z nowym atakiem furii. „Wszechwładny »Rewierkapo« wpadł w szał... »Ten pies jest zdrów jak byk i już raz dostał nauczkę za symulowanie choroby. Gdyby był chory, powinien do tego czasu zdechnąć«. Blokowy, przerażony pogróżkami kata o atletycznym wyglądzie i budowie, uciekł zostawiając ciężko chorego. Starowieyski dostał tym razem takie bicie, że wieczorem posłał mnie po ks. Maja, po Komunię..." (Adam Sarbinowski).

Gdy ks. Maj zobaczył Stanisława po pobiciu, rozpłakał się jak dziecko. Ksiądz, któremu udało się przeżyć obóz, a za komunizmu odznaczył się bohaterską postawą w obronie wiary, zapisał ostatnią rozmowę ze Starowieyskim. „Pan Bóg pana zachowa, pan nam jeszcze potrzebny...". „Tu już trzeba cudu – módlcie się" – odparł Stanisław.

„[...] około godziny pierwszej, Starowieyski położył się koło mnie prosząc, abym mu pozwolił umrzeć koło siebie. »Jeśli wyjdziesz z obozu, odwiedź moją rodzinę w Łaszczowie i powiedz, żem umarł w dniu świętym, w którym zmarł Chrystus«. Żył jednak jeszcze w okrutnych męczarniach aż do Wielkiej Niedzieli. Zmarł tuż przed świtem Dnia Zmartwychwstania Chrystusa" (Adam Sarbinowski).

„Trzeba być w obozie, aby zrozumieć, czym była strata takiego przyjaciela – brata. Popadłem w depresję, byłem bliski samobójstwa. Jak kiedyś żywy Starowieyski, tak teraz duch jego uratował mnie od tego kroku. Jestem szczęśliwy, że dane mi było znać człowieka świętego".

Najmłodszy syn Stanisława nigdy nie widział swojej matki płaczącej, mimo że straciła najpierw ojca, zamęczonego na Rotundzie Zamojskiej, ukochanego męża, a potem kolejno starszego syna w Powstaniu Warszawskim, córkę, potem drugiego syna. „Zawsze podziwiałem mamę za jej niezwykły spokój, za silną wiarę, że wszystko dzieje się tak, jak tego Pan Bóg chce". Po śmierci męża zamieszkała w Warszawie, utrzymywała rodzinę z tłumaczeń z niemieckiego. Mimo ubóstwa wspomagała materialnie księży wygnanych z Poznańskiego. Dzieci kontynuowały naukę na tajnych kompletach, działały w konspiracji. Najstarszy syn Aleksander, żołnierz AK, powstaniec warszawski zginął podczas przechodzenia kanałami. Po Powstaniu Marię i córkę Elżbietę Niemcy wywieźli do obozu koncentracyjnego. Wróciły do kraju poranione od ukąszeń wszy. Maria straciła wszystkie zęby.

Rodzina otrzymała zawiadomienie o śmierci Stanisława Starowieyskiego na karcie z widoczkiem Dachau, zachęcającej, by poznać uroki tego miejsca. Jako powód zgonu podano zapalenie płuc.

Może jednak, mój bracie, jesteśmy tutaj potrzebni?
Tacy właśnie: pokutni, kalwaryjscy, zgrzebni.
Może nie całkiem na próżno kładziemy głowy powinne?
Może to służba jest nasza, służba nie gorsza niż inne?

Jerzy Ostrowski, literat i pedagog, dyrektor gimnazjum; krótko przed śmiercią w obozie Mauthausen-Gusen w 1942 roku zadedykował swój wiersz współwięźniowi.

Biskup lubelski Władysław Goral, przyjaciel rodziny, został zamordowany w niemieckim obozie Sachsenhausen; przez dwa ostatnie lata życia (1943–1945) zamknięty był w pojedynczej betonowej celi. ■

---

* Aleksander Szeptycki został aresztowany 19 czerwca 1940 roku w kaplicy pałacu, który ofiarował Siostrom Misjonarkom Maryi. Przez kilka miesięcy Niemcy usiłowali nakłonić go do podpisania volkslisty. „Nikt z mojego rodu nie wyprze się Polski", brzmiała odpowiedź. Po przewiezieniu go do Rotundy Zamojskiej kazano mu biegać dookoła placu apelowego z ciężką walizką. Atak serca powalił 74-letniego hrabiego Szeptyckiego na ziemię. „Leżącego dopadł Niemiec i uciskając laską jego szyję, dodusił" (ks. Kulik, według relacji świadka, rolnika z Czerkas).

Wszystkie cytaty, oprócz oznaczonych w tekście, za: ks. Zbigniew Kulik „Bł. Stanisław Kostka Starowieyski 1895 –1941, działacz Akacji Katolickiej", Sandomierz 2005.

eprasa.pl 6b6c684efd



Agnieszka Kowalczyk

O TRAGIZMIE MARII I ZDOBYWCY MONT BLANC

eprasa.pl 6b6c684efd

Pierwszy polski zdobywca szczytu Mont Blanc, żołnierz Księstwa Warszawskiego i romantyczny wojażer umarł młodo, w wieku 33 lat, w nędzy i zapomnieniu. Kobieta, dla której poświęcił ostatnie swe lata, porzuciła ciało zmarłego nieumyte i nieprzebrane, a w ceremonii pogrzebowej wzięło udział zaledwie kilka osób. Nikt nie wie, gdzie spoczęły ziemskie szczątki Antoniego Malczewskiego, bo jego mogiła na cmentarzu powązkowskim zarosła i zapadła się niepostrzeżenie.

Pamięć po Antonim Malczewskim trwa jednak wciąż żywa dzięki jedynej, jaką stworzył, lecz za to genialnej powieści poetyckiej „Maria", uznanej za arcydzieło polskiego romantyzmu, za przeniknięty fatalizmem poemat o miłości, zdradzie i zbrodni.

Zawojował całą szkołę krzemieniecką

Antoni, syn generała Jana Malczewskiego herbu Tarnawa, i Konstancji z Błeszyńskich przyszedł na świat, gdy waliły się fundamenty najjaśniejszej Rzeczypospolitej, rozdzieranej po raz drugi przez zaborców. Jego rodzice zawarli związek małżeński w aurze skandalu. Ojciec – dziedzic olbrzymich dóbr poradziwiłłowskich, z kawaleryjską fantazją używający życia w stolicy, zakochał się bez pamięci w pięknej pani Konstancji, żonie pułkownika Filipa Haumana. Ta zaś dla rozkochanego w niej wysokiego rangą żołnierza wojsk koronnych gotowa była porzucić męża i zażądać rozwodu. Hulaszczy tryb życia pana Jana sprawił jednak, że szybko roztrwonił odziedziczony majątek i by ratować jego pozostałości, zdecydował się przystąpić do konfederacji targowickiej, w efekcie czego otrzymał stopień generała wojsk rosyjskich wraz z wysokim wynagrodzeniem.

Swe dziecięce lata spędzał Antoni w rodzinnym majątku w Kniahinie na Wołyniu, który uchodził wówczas za „pośmiertny Eden Polski", za „najświetniejszą i najszczęśliwszą prowincję rozdartej Rzeczypospolitej". Gdy zaś skończył pięć lat, państwo Malczewscy przenieśli się na stałe do sąsiedniego Dubna słynącego z wielkich jarmarków, na które ściągała szlachta z całego Wołynia i gdzie zjeżdżali kupcy z Wiednia, Lipska, Królewca, ze Stambułu i z Moskwy. Życie polskie tętniło tu jak za dawnych lat, a przedstawiciele najświetniejszych rodów podejmowani byli z wielką pompą we dworze księcia Michała Lubomirskiego. Rozmiłowanej w rozkoszach wielkopańskiego świata pani Malczewskiej nie dane było cieszyć się tym wszystkim zbyt długo, bo oto w 1800 roku zmarła po przewlekłej chorobie, a osiem lat później odszedł na zawsze okryty hańbą Targowicy generał Malczewski.

Osierocony Antoni, wówczas piętnastoletni chłopiec, dostał się pod opiekę światłej damy Julianny Skibickiej z Błędowskich, kobiety szlachetnej, która przywiązywała wielką wagę do starannego wykształcenia i znała osobiście wielu wybitnych ludzi swojej epoki. Jednym z nich był Tadeusz Czacki – uczony mąż, prawnik i ekonomista, zapalony bibliofil i zbieracz starodawnych pamiątek, wreszcie ceniony pedagog, który wraz z Hugonem Kołłątajem założył słynne Liceum Krzemienieckie. To właśnie jego podopiecznym został Antoni Malczewski, zdobywając w wołyń-

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 6c684efd

skich Atenach gruntowne wykształcenie zarówno w zakresie nauk matematyczno-przyrodniczych, jak i humanistycznych. Był niezwykle zdolny, czarujący i życzliwie usposobiony do ludzi, pociągał ku sobie wszystkie serca – „piękny jak anioł, blondyn, szafirowych oczu, śmiało w górę podniesionego czoła, zresztą uprzejmy, słodki, swawolny, zawojował on był całą szkołę krzemieniecką, kolegów i nauczycieli" – wspominał Teofil Januszewski, jego serdeczny przyjaciel ze szkolnej ławy. Pamiętał on dobrze, jak Malczewski gościł w jego rodzinnym domu w Krzemieńcu i jak wraz z bratem wyciągali tradycyjny polski strój ojca, by przebierać w niego Antośka, który zadziwiał jakąś instynktowną jakby wrodzoną znajomością staropolskich obyczajów. „W kontuszu i żupanie, w białej konfederatce, z karabelą u boku, z jedną ręką za pasem [...], z drugą pod nosem, idealny wąs podkręcającą – gdy bywało, zacznie udawać szlachcica – zawadiakę perorującego na sejmiku lub poważnego starca przy kominku stare dzieje opowiadającego – nie było końca naszej radości". W przyszłości taki typ starego szlachcica – prawego obywatela miłującego ojczyznę – odżyje w jego „Marii", której fabuła osnuta zostanie wokół historii nieszczęśliwej miłości Szczęsnego Potockiego i Gertrudy Komorowskiej. Jeszcze jako uczeń Liceum Krzemienieckiego usłyszy ją Antoni podczas wakacji spędzonych w domu stryja Ksawerego z ust starego targowiczanina Franciszka Chrząszczewskiego.

Miłość, zbrodnia i zdrada

Na południowo-wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, gdzie „do Boga wysoko, do króla daleko", panował niemalże samowładnie ród Potockich. O jego mrocznej tajemnicy z końca XVIII wieku opowiada Maria Dernałowicz, autorka biografii Antoniego Malczewskiego, pisząc, że „kiedy wydał się makabryczny sekret o utopionych zwłokach zaduszonej przez krystynopolskich dworzan Gertrudy, kiedy z otoczenia wojewody kijowskiego zaczęła przeciekać plotka – ludzie przyjmowali wieści bardziej ze zgrozą niż ze zdumieniem, a jeśli dziwili się, to chyba przede wszystkim miłosnemu szaleństwu Szczęsnego, który zapominał o własnym rodzie, kiedy stawał przed ołtarzem z Komorowską". Tu rodzi się więc pytanie, jak doszło do popełnienia zbrodni na szlachciance z rozkazu wielkiego kresowego magnata, który rządził żelazną ręką w województwie kijowskim, bracławskim i ruskim? Jego to mianowicie syn, starosta bełski Stanisław Szczęsny, jedyny męski dziedzic rodowej fortuny, poślubił potajemnie piękną szlachciankę Gertrudę z Susznej, córkę Jakuba Komorowskiego herbu Korczak, starosty nowosielskiego i Antoniny z Pawłowskich. Gdy do wojewody dotarła wieść o ślubie syna, „dwór w Krystynopolu stał się piekłem", a dumny magnat postanowił za wszelką cenę unieważnić małżeństwo. Aby osiągnąć swój cel, dwukrotnie próbował zwabić synową do Krystynopola, by wymóc na niej rozwód, ale gdy jego starania okazały się bezskuteczne, zdecydował się na krok ostateczny – porwanie... Ostrzeżeni Komorowscy uciekli ze swego domu w Susznej, ale wysłany za nimi pościg dogonił ich w czas zapustów, 13 lutego, w Nowosiółkach. Ludzie wojewody, z pułkownikiem dworskich Kozaków Aleksandrem Dąbrowskim i podstajennym Wilczkiem, wtargnęli zbrojnie do dworu. O tych mrożących krew w żyłach wypadkach mówi zachowana relacja ojca Gertrudy, opisującego bezwzględność napastników z uczernionymi twarzami, poprzebieranych w dziwaczne stroje, którzy swymi odgłosami naśladowali wojsko rosyjskie i „jako lwi drapieżni bez względu na płeć i wieku delikatność", porwali jego córkę i „tyrańskim sposobem między końmi wlekli, dalej zaś bez futra i żadnego na przeraźliwe zimno opatrzenia uwieźli". Na koniec zaś udusili nieszczęsną, a ciało wrzucili do przerębli na zamarzłym stawie. Gdy wojewoda dowiedział się o uśmierceniu synowej, miał ponoć w gniewie strzelić do mordercy, lecz chybił. Nie taki był bowiem jego cel, choć ostatecznie rozkaz porwania doprowadził do zbrodni, jaka zżerała jego sumienie aż do śmierci.

A jak zareagował Szczęsny na wieść o zabójstwie swej żony? Zgodnie z zasłyszaną przez Malczewskiego relacją Chrząszczewskiego ogarnięty rozpaczą chciał odebrać sobie życie i byłby tego dokonał, gdyby nie czuwający nad nim kamerdyner Bistecki. Niedługo po tych dramatycznych wypadkach pożegnali się z życiem dumni Potoccy, a ich syn Szczęsny przystał do obozu zdrajców i został marszałkiem Targowicy, za co zapłacił najwyższą cenę, umierając w pogardzie i zgryzocie jako „zbrodniarz przeciw własnemu krajowi". Przez dziesięciolecia wciąż żywa była opowieść o zamordowanej Gertrudzie, która u początków polskiego romantyzmu odżyła w literackiej formie, zyskując pod piórem Antoniego Malczewskiego swój wymiar egzystencjalny i metafizyczny.

W sidłach historii

Zanim jednak to się stało pilny uczeń Liceum Krzemienieckiego, zafascynowany sławą wojenną Napoleona, z którego woli powołano do istnienia Księstwo Warszawskie, rwał się z całych sił do Warszawy. Nadchodził oto rok 1812. Cesarz Francuzów zbierał wielką armię, by zetrzeć w proch siły cara Aleksandra I. Kto żyw zaciągał się do wojska polskiego z wiarą, że w wyniku starcia dwóch wielkich mocarzy odrodzi się Rzeczypospolita. Wielu spośród młodych krzemieńczan

eprasa.pl 6b6c684efd

wymykało się potajemnie do Księstwa, by walczyć pod sztandarami cesarza Francuzów. W ich szeregach znalazł się również osiemnastoletni Antoni. Chcąc jak najlepiej przygotować się do wojennych zmagań u boku Napoleona, wstąpił do Szkoły Aplikacyjnej Inżynierów i Artylerii. Nie mógł już doczekać się chwili, kiedy dosiądzie konia, ale przewrotna fortuna pokrzyżowała jego plany. Oto, ku największej uciesze swych towarzyszy, podjął szaleńczą próbę ujarzmienia narowistego rumaka i gdy już wydawało się, że go poskromił, ten porwał jeźdźca i ocierając się w pędzie o wystający słup bramy, zgruchotał mu nogę, przestrzeloną niedawno w pojedynku. W ten sposób „przyjazny literaturze los – jak zauważa Maria Dernałowicz – oszczędził mu wyprawy na Wschód, Smoleńska, Możajska, pożaru Moskwy, przeprawy przez Berezynę – być może oszczędził mu śmierci. Ale tego Malczewski, leżący z obwiązaną nogą w swojej kwaterze, wiedzieć nie mógł. Świeżo upieczony porucznik artylerii [...] musiał pięści gryźć ze wściekłości. [...] Rozbić nogę w takiej chwili! Nieodwracalnej, jedynej. Nie weźmie razem z innymi udziału w wyprawie, największej, jaką od czasów Aleksandra Macedońskiego widziała historia". Został sam w opuszczonej Warszawie, czując całą beznadziejność swojego położenia.

Przeznaczeniem jego stała się za to obrona twierdzy Modlin, która dzielnie stawiała czoła rosyjskiemu najeźdźcy przez jedenaście miesięcy. Za jej murami tkwiło ponad 5 tysięcy żołnierzy i 200 oficerów – całkowicie odgrodzonych od świata. Gdy bramy fortecy otworzyły się, Malczewskiego i jego współtowarzyszy poraziła wieść o klęsce Napoleona pod Lipskiem i o heroicznej śmierci księcia Poniatowskiego. Nadzieje na odrodzenie państwa polskiego zostały pogrzebane.

▶ Na Mont Blanc!

Gdy po Kongresie Wiedeńskim utworzono Królestwo Polskie pod auspicjami carskiej Rosji, Malczewski odrzucił możliwość dalszej służby wojskowej w armii zaborcy. Został więc sekretarzem urzędu municypialnego w Warszawie. W tym też czasie zrodziło się jego wielkie uczucie do księżnej Franciszki z Załuskich Lubomirskiej. Dla tej pełnej wdzięku damy gotów był porzucić Warszawę i otwierającą się przed nim karierę urzędniczą, by jej śladami udać się w wielką podróż po Europie. Jego wędrowny szlak znaczyły Niemcy, Szwajcaria, Włochy i Francja. Można wyobrazić sobie tylko, jak wpatrywał się w tajemniczy zamek Chillonu i maleńką wysepkę z kilku samotnymi drzewami, rozczytując się w poezji Byrona, którego dane mu było później osobiście poznać w Wenecji.

Rozkoszą napawały polskiego wędrowca widoki wyniosłych gór i czarodziejskich dolin Szwajcarii, tajemniczych brzegów jeziora genewskiego oraz lodowców Chammouni, w szczególności zaś olśniewał go majestatyczny szczyt Mont Blanc. Zapragnął więc jak niczego na świecie „doświadczyć siebie i swoich sił w nieznanym" i dotrzeć tam, gdzie „graniczy Stwórca i natura". Jako pierwszy w dziejach, 8 sierpnia 1786 roku, zdobył Mont Blanc dr Michel Paccard wespół ze swoim przewodnikiem Jacquesem Balmatem. Rok później na niebosiężny wierzchołek owej Białej Góry wszedł słynny przyrodnik Horace Bénédicte de Saussure. Jednym natomiast z romantycznych śmiałków, którzy odważyli się ujarzmić alpejskiego kolosa, był właśnie Antoni Malczewski.

I choć miejscowi mnożyli przed nim tysięczne trudności, mówili o straszliwych rozpadlinach skalnych, i choć niebo zaciągnęło się czarnymi chmurami, Malczewski nie poddał się i ruszył w góry. Jego pierwszym celem stało się jednak wejście na niezdobytą dotąd Południową Iglicę (Aiguille du Midi), którą dojrzał po drodze. Minąwszy Montanvert i Morze Lodowe, postanowił wraz z przewodnikami nocować w Tacul, doznając wrażenia, że podczas gdy „księżyc oświecał to wielkie pustkowie skał i lodowców [...], ludzie śpiący naokoło gasnącego już ognia zdawali się być przechodniami do krainy śmierci, by ulec nieuniknionemu losowi zapowiadanemu przez wiszące im nad głową bryły lodu i śniegu". Nazajutrz, pokonawszy kilka szczelin na drodze ku Wąwozowi Olbrzyma, a potem lodowiec zawieszony wśród przepaści, wspiął się na grzebień Południowej Iglicy – groźnej i ponurej. Widać było stąd większą część Lombardii, przypominającą romantycznemu wojażerowi „rozkoszne Elizejskie Pola, które imaginacja starożytnych za smutnymi widziała grobami".

Z niczym jednak nie dało się porównać wejścia na Mont Blanc i widoku z wierzchołka królującej Alpom Białej Góry. Malczewski stanął na nim 4 sierpnia 1818 roku. „Tu, wśród chaosu gór, tych brył potwornych i olbrzymich, osadzonych w śniegach i lodach, patrzący mniema się być świadkiem stworzenia – pisał potem zdobywca szczytu. – Wszystko, co ludzkie, znika i ginie; spostrzega się zaledwie niewyraźne zarysy miast, które zdają się być naszkicowane ręką przeznaczenia, aby kiedyś stać się rzeczywistością. Wszystko zdaje się zapowiadać tę chwilę – i wędrownik skwapliwie schodzi w dół, żeby w ogromie przemian, które mają nastąpić, pochłonięty nie został". Dla Malczewskiego wejście na Mont Blanc stało się objawieniem piękna świata, grozy śmierci i niepojętej mocy kreacyjnej Stwórcy. Jego współcześni twierdzili, że właśnie tam, na najwyższej górze Europy, przeszedł niczym Kordian Słowackiego jakąś głęboką, wewnętrzną przemianę – dojrzał do bycia poetą, odkrył wartość ojczystej ziemi, pełen uwielbienia dla swego kraju i jego przeszłości.

eprasa.pl 6b6c684efd

W pułapce kobiety-bluszczu

Gdy powrócił do kraju, miał 28 lat, a za sobą przerwaną karierę wojskową i urzędniczą. Resztki roztrwonionego przez jego rodziców majątku prawie już całkiem stopniały, a miłość do księżnej Franciszki Lubomirskiej wygasła i odeszła w niepamięć... Tyle zresztą nadziei zostało zaprzepaszczonych – długo rozpamiętywał klęskę Tadeusza Kościuszki, którego w Szwajcarii ujrzał jako siedemdziesięcioletniego starca, mającego za sobą carskie więzienie i dożywotnią tułaczkę; głęboko przeżył też upadek Napoleona, zepchniętego do Tartaru historii, podczas gdy zaborcy Polski narzucali nowy ład Europie. Świadomy był jednak zawsze i tego, że świadectwo swoim czasom wystawiają zbuntowani przeciwko złu świata poeci. A i w nim samym rodziło się wówczas poczucie pisarskiego powołania. Kiedy więc osiadł na stałe w wydzierżawionym majątku ziemskim w Chotiaczowie na Wołyniu, oddawał się w swym romantycznym ustroniu bardziej lekturze, pisaniu i długim spacerom niż sprawom gospodarskim. Pływając zaś czółnem po stawie, z dala od ludzkich oczu, otoczony zielonym lasem szuwarów, zatapiał się w myślach, z których niewątpliwie zrodziła się fabuła jego romantycznej powieści poetyckiej powstałej na krótko przed śmiercią.

W czasie, gdy tworzył dzieło swego życia, znajdował się już właściwie na dnie nędzy, a wszystko to z powodu Zofii Rucińskiej – żony właściciela sąsiedniego majątku w Łaskowej. Ta chora, dręczona spazmami i konwulsjami kobieta, u której można byłoby zdiagnozować dziś ciężką histerię, odkryła w Malczewskim swego wybawiciela. Tylko on bowiem, jak twierdziła, był w stanie ulżyć jej cierpieniom dzięki czynionym zabiegom magnetyzerskim, których sztukę opanował za granicą. By przynieść ulgę chorej, gotów był przeprowadzić całą kurację, zamieszkując na ten czas w domu Rucińskich. Nigdy nie odważyłby się na ten krok, gdyby wiedział, że popadnie w całkowitą niewolę kobiety-bluszczu, oplatającej swą ofiarę i niszczącej ją wewnętrznie. Rucińska odegrała w jego życiu fatalną rolę, opuściła dla niego swego męża, skazując Antoniego na społeczne napiętnowanie. Choć nigdy nie myślał o tym, by związać się z Zofią, to czuł się za nią odpowiedzialny, a i honor nie pozwalał mu opuścić kobiety chorej i skompromitowanej. Wspierał ją więc do ostatnich chwil swego życia.

„Maria" – poemat o nocnej stronie bytu

W sytuacji coraz silniej odczuwanej życiowej klęski ostatnim wzlotem Malczewskiego było stworzenie i opublikowanie „Marii". Jej fabuła, jak to wcześniej było wspomniane, zainspirowana została krążącą po Kresach opowieścią o dramacie Szczęsnego Potockiego i jego zdradziecko zamordowanej żony Gertrudy Komorowskiej. Śledząc losy bohaterów Malczewskiego, widzimy, że podczas gdy syn Wojewody Wacław broni ojczyzny przed tatarskim najazdem, jego ojciec nakazuje swoim ludziom podstępne porwanie i uśmiercenie niechcianej synowej – nieskazitelnej moralnie Marii. Jest ona córką Miecznika – człowieka będącego żywym wcieleniem staropolskich cnót szlacheckich.

Wacława, który wbrew ojcu poślubił Marię, poznajemy dopiero w momencie, gdy zjawia się w domu swego teścia Miecznika. Jego postać oświetlona blaskiem jutrzenki już na początku utworu zapowiada szlachetność uczuć i męstwo duszy. Radość spotkania z żoną ustępuje bolesnej perspektywie rozstania małżonków, bo oto z rozkazu Wojewody Wacław rusza do walki z Tatarami. Uczucie prawdziwego szczęścia mąci kir żałobnej szaty Marii, jej bladość, niepokój o to, co przyniesie przyszłość. Wacław boleśnie przeżywa ojcowski wyrok, który skazuje go na rozłąkę z ukochaną i pełen złych przeczuć opuszcza dwór Miecznika.

Miłość Wacława jest już miłością w pełni romantyczną – gotową do ofiary, do walki z losem. Staje się zapowiedzią niezgody na zło świata, którego bezmiaru bohater wkrótce głęboko doświadczy. Instynktownie przeczuwa nadchodzącą katastrofę, nie potrafi myśleć o szczęśliwym powrocie z bitwy. W trakcie walki z Tatarami owładnięty jest niemal obsesją śmierci i gotowy na nią w każdym momencie. Przez pewien czas pozostaje w osamotnieniu na polu bitwy, zmagając się z wielkim Hanem. Nie cieszy się jednak zwycięstwem, żałuje, że nie ziściła się złowróżbna przepowiednia o zdobyciu trumny.

Równocześnie każdemu posunięciu bohatera, każdej jego myśli towarzyszy narastający niepokój o Marię, wyrzuty sumienia, że zostawił ją „dla czczej sławy". Pełen trwogi pędzi poprzez ciemność stepowej nocy do domu Miecznika. Przerażająca wróżba o trumnie spełnia się, ale względem Marii. W niesamowitej scenerii nocy, w głębokiej ciszy i bezruchu milczący dwór odkrywa przed Wacławem straszliwą tajemnicę śmierci jego żony. Odsłania ją Pacholę jako naoczny świadek zbrodni popełnionej przez wysłanników Wojewody. Pod wpływem jego słów bohater doznaje szału uczuć – od bólu i rozpaczy po bunt i decyzję o zemście. Sam staje się „wzorem najsroższych męczarni", ucieleśnieniem „postaci Laokoona", bo tylko w tak obrazowy sposób autor mógł wyrazić piekło jego psychicznej męki i cały ciężar tragizmu.

W takim ujęciu postać Wacława urasta do roli romantycznego buntownika. Po tragicznej śmierci Marii świat pogrążył się dla niego w otchłani zła i z tego względu zasługiwał nie tylko na pogardę, lecz przede

eprasa.pl 6b6c684efd

wszystkim na przeciwdziałanie, na bunt. W „Marii" zło, uosobione zwłaszcza w postaci Wojewody, odsłania mroczne strony ludzkiej natury i wciąga w krąg zbrodni także Wacława. Zamiar porwania się na osobę ojca, na „najświętsze węzły", staje się dla niego wyższą koniecznością, zbrodnią usprawiedliwioną. Pod wpływem ciemniejszej niż noc opowieści o śmierci swej żony na zawsze zostaną mu, tak jak Pacholęciu, „czarne w piersiach blizny", a wszelkie działania i reakcje psychiczne wypływać będą z wszechogarniającego uczucia rozpaczy.

W ogóle symbolika nocy pełni ważną funkcję w odniesieniu do przeżyć i działań bohaterów „Marii". Wacław w ujęciu badaczki poematu Haliny Krukowskiej, „najdotkliwiej doświadczył skutków Nocy Kosmicznej [...], napiętnowany tym, co nocne", a więc grozą ciszy, martwotą, bezruchem, nawet jakimś „szyderczym uśmiechem" księżyca. Złowrogie nocne echo odbiera zrozpaczonemu ostatnią nadzieję, stając się symbolem gorzkiej ironii losu, który sprzysiągł się przeciw człowiekowi.

Pozostali bohaterowie również zamknięci zostają w kręgu oddziaływania ciemnej metafizycznej strony istnienia. Dotyczy to zwłaszcza Miecznika i jego córki, bowiem stali się oni niezawinionymi ofiarami zła urzeczywistnionego w skrytobójczym planie Wojewody. Maria, ukazana jest w alegorycznym otoczeniu Pokory, ponieważ jej filozofia postępowania, głęboka religijność i szlachetność nawet w obliczu śmierci nie pozwoliły jej na jakikolwiek nieetyczny czyn. Kreacja Miecznika natomiast, wpisującego się w ideał rycerza-ziemianina, patrioty i dobrego ojca – pozwala bohaterowi przeżywającemu ból córki i własne upokorzenie jedynie na bunt wewnętrzny. W zakończeniu powieści skamieniały z żalu zamyka się w sobie i milczy do chwili śmierci.

Los jest dla bohaterów „Marii" nieprzewidywalny i ironiczny. Jego fatalistyczną koncepcję pogłębia tajemnicza postać Pacholęcia. Pojawia się ono w pewnym nieoczekiwanym dla Wacława momencie, w mroku nocy. Nie wiadomo, skąd przychodzi i dokąd zmierza. Wyrasta z bolesnego doznania świata, a w jego egzystencję wpisana została Śmierć. Pacholę zbyt wcześnie poddane zostało destrukcyjnemu działaniu zła, o czym świadczy „zwiędła twarz", „zdziczała dusza" i perspektywa grobu. Nosi w sobie jakąś bolesną tajemnicę. Dlatego staje się jakby duchowym wysłannikiem śmierci i nieszczęść, zwiastując je tam, gdzie się pojawi, i pozostając symbolem niewytłumaczalnych sił rządzących ludzkim życiem. Podobną rolę odgrywają w utworze Maski, które topią Marię w stawie i śpiewają „pieśń o przeznaczeniu człowieka". Ich tajemniczość ma zgoła inny wymiar, ponieważ są uczestniczkami zapustowego orszaku, a w finale okażą się zbrodniczymi wysłannikami Wojewody. Niezaprzeczalnie jednak treść ich pieśni, a zwłaszcza refren o rozkładzie i destrukcji nawet najpiękniejszych form życia, jest wyraźnym objawieniem jego fatalizmu w ironicznym, maskaradowym ujęciu.

Utwór przenika więc głęboki pesymizm, dochodzi w nim wyraźnie do głosu poczucie, że to, co stanowi jasną sferę istnienia – dobro, cnota, odwaga, poświęcenie, miłość – może w każdej chwili zostać unicestwione przez siły uosabiające ciemną, nocną stronę bytu.

Jednocześnie „Maria" wpisuje się doskonale w nurt romantycznej literatury narodowej, odkrywającej bogactwo barw miejscowych ojczystej ziemi, bo stanowi jedną z najpiękniejszych realizacji romantycznego regionalizmu w jego kresowej, ukraińskiej odsłonie. Ukraina bowiem uchodziła wśród romantyków za „Szkocję Polski", najbardziej bodaj poetyczny region dawnej Rzeczypospolitej. Była to kresowa Atlantyda godna twórczej eksploracji, a wyrastające z niej obrazy i postacie współtworzyły nowy świat dla poezji – „atamany, Kozaki, Tatary, stepy, porohy, czajki, ukraińskie miasteczka i ukraińskie rzeki po raz pierwszy dały się słyszeć, dały się widzieć w jej tworach". Tchnęła egzotyką, osobliwym urokiem dumek, pieśnią ludowych bardów i poezją kozackiego ludu. W literackiej wizji Malczewskiego przybrała kształt ziemi posępnych stepów stanowiących tło krwawych wydarzeń, nad którymi unosi się żałosna myśl o ludzkim losie. „A step – koń – kozak – ciemność – jedna dzika dusza" – brzmi słynny wers „Marii" poświęcony synowi kresowej ziemi, co pędząc przez bezkresny step „z wiatrem ukraińskim puścił się w zawody". Wtopiony w pejzaż Ukrainy staje się jego organiczną częścią, urastając do rangi niepodzielnego władcy kresowej ziemi – tajemniczej, nieodgadnionej do końca jak kozacza dusza.

Koleje życia Antoniego Malczewskiego, jak trafnie zauważyła Krukowska, nie zapowiadały głębi egzystencjalnej i metafizycznej, jaką objawiła przed czytelnikami jego „Maria". To zrodzone z ducha romantyzmu dzieło stanowiło dowód na istnienie innego jeszcze wymiaru biografii Malczewskiego – głębinowego, wewnętrznego, dzięki czemu dzieło jego życia można odczytać jako duchowy testament poety – żywe świadectwo niepowtarzalnej, romantycznej osobowości polskiego zdobywcy Mont Blanc. ■

_____

Źródła: Maria Dernałowicz, „Antoni Malczewski", Warszawa 1967; Halina Krukowska, „Noc romantyczna. Mickiewicz, Malczewski, Goszczyński. Interpretacje", Gdańsk 2011.

eprasa.pl 6b6c684efd

Piotr Lisiewicz

Wiem, że każde przypominanie twórczości Karola Zbyszewskiego budzi u Czytelników szczególne zainteresowanie. Niewielu mieliśmy w Polsce felietonistów piszących równie dowcipnie, barwnie, a Józef Mackiewicz oceniał, że nawet sprawozdania sportowe pisane przez Karola Zbyszewskiego są... literaturą. Metoda Zbyszewskiego polegała na tym, że pisząc językiem zrozumiałym dla zwykłego robotnika czy kucharki (o kucharkach też będzie poniżej), miał jednocześnie ogromną wiedzę historyczną (i z paru innych dziedzin) oraz życiową mądrość, pozwalającą wyciągać z historii trafne wnioski. Pierwszy z tekstów traktujący o tym, że dziesiątki razy próbowano już podbić całą Europę i choć „wiecznie ktoś próbuje na nowo", to „zawsze kończy się to dla niego fatalnie" – pisał Zbyszewski pod koniec kwietnia 1939 roku, a więc cztery miesiące przed wybuchem wojny. Hitler i Stalin jeszcze nie wiedzieli, a Zbyszewski wiedział! ■

Karol Zbyszewski

Europa pod parą

Najpogodniej zapatrują się na sytuację historycy. Wiedzą, że były dziesiątki prób ujarzmienia całej Europy i nigdy się nie udały. Próbował Karol V-ty i dostał po łbie, starali się Szwedzi i wrócili za morze z płaczem, usiłowali Turcy i przepędzono ich z powrotem, runął w błoto Napoleon. Wiecznie ktoś próbuje na nowo i zawsze kończy się to dla niego fatalnie.

Najgłupsze dziecko z powszechniaka powtarza obecnie za panem nauczycielem: – Jagiełło był fujarą i nie wykorzystał zwycięstwa pod Grunwaldem!

Dziś i dorośli, i niemowlęta, i zawodowi politycy, i konie z taborów widzą jasno, że takich tłumoków jak ministrowie z Wersalu nie było jeszcze na świecie. Lloyd George, Wilson, Clemenceau et co – to banda kretynów, na którą żadne panopticum by się nie zdobyło! Dziś siedząc w kawiarni, między jedną pół czarną a drugą, każdy tłumaczy: – Należało panie oddać Francji na własność całą Nadrenię, Polsce cały Śląsk, Gdańsk i Prusy Wschodnie, Węgrom zostawić Ruś, Habsburgów nie ruszać z Austrii, Włochom dać więcej kolonii w Afryce – ot i byłby dziś święty spokój w Europie!

Racja. Co za szkoda, że ten statysta wtedy kozy doił, a te mydłki kiereszowały świat. Na 20 lat nic nie przewidzieli! Ale to normalne; opozycjoniści mogą się pocieszać, że po 20 latach stale się okazuje, iż 99% ministrów to były półgłówki.

Obecnie w Europie zapanowało prawo Awerczenki. Cóż to za prawo? Otóż Awerczenko opisuje w swym pamiętniku z młodych lat, jak podchodził na ulicy do chłopca (wybrawszy starannie dużo mniejszego i słabszego od siebie) i mówił: – Chcesz w mordę? Przecząca odpowiedź nigdy go nie zrażała. Dziś wielkie państwo zwraca się do małego: – Chcesz się oddać pod mój protektorat? I najbardziej odmowna odpowiedź nie zraża nikogo.

Jak odległe i naiwne wydają się metody z 1914 roku. Wypowiadanie wojny! Gwałtowna mobilizacja! Cóż za średniowieczne metody? Może jeszcze zapytać, czy przeciwnik już gotów i cofnąć się, by dać mu pole? Dziś wszyscy są zmobilizowani na długo przed wojną i skoczą na siebie bez słowa uprzedzenia. Mamy epokę ubrań z mleka i wojen w czasie pokoju.

Pewnie, że szkoda takiej Danii, lecz gdyby ją Niemcy zagarnęli, czy inne państwa będą jej bronić? Naturalnie, że nie. Bardzo to wygodnie robić masło i nie utrzymywać żadnej armii. Każdy by tak chciał, co za oszczędność. Lecz potem trzeba ponosić konsekwencje. Gdybyśmy nie wydawali przez 20 lat grosza na zbrojenia jak Dania, mielibyśmy dziś same szosy asfaltowe, skanalizowane wsie i psy kąpałyby się w zupie. Klepiemy biedę, ale mamy za to armię i nie zależymy jak Dania od humoru Hitlera.

Nikt nie chce być żandarmem Europy. Narody co nie łożą na swoje zbrojenia, będą potem utrzymywać wojska najeźdźcy.

Pisarze często sobie wyobrażają, że wywierają niesłychany wpływ. Wierutne kłamstwo, przeciętny stójkowy więcej znaczy od geniusza pióra. Remarque miał szalone

eprasa.pl 6b6c684efd

powodzenie w Niemczech, jego antymilitarne „Na zachodzie bez zmian" rozeszło się w milionie egzemplarzy. I co? I jaki rezultat? Gdzie są ci Niemcy nienawidzący wojnę?

Najpogodniej zapatrują się na sytuację historycy. Wiedzą, że były dziesiątki prób ujarzmienia całej Europy i nigdy się nie udały. Próbował Karol V-ty i dostał po łbie, starali się Szwedzi i wrócili za morze z płaczem, usiłowali Turcy i przepędzono ich z powrotem, runął w błoto Napoleon. Wiecznie ktoś próbuje na nowo i zawsze kończy się to dla niego fatalnie. ■

_____

Przedruk za: „Prosto z Mostu", 30.04.1939, Nr 18 (240)

Deklaracja ideowa: zupa na stole!

W Warszawie powstał Związek Dyplomowanych Kucharek. Właśnie odbyło się inauguracyjne zebranie, na którym: wysłano trzy depesze hołdownicze do kilku dygnitarzy z zapewnieniem lojalności i gotowości do współpracy.

Uchwalono deklarację ideową z następującymi punktami:

1) Armia polska jest chlubą narodu! Kucharki zapowiadają, że ci co zechcą ją zniszczyć będą mieli z nimi do czynienia!!!

2) Bezrobocie należy w kraju zlikwidować!

3) Fabryki wznieść, rolnictwo zmotoryzować, flotę większą od angielskiej stworzyć, autostrady pobudować, podatki skasować!

4) Przebudować polski ustrój społeczny, gospodarczy, umysłowy, fizyczny, psychiczny, klimatyczny...

5) Chiny i Japonię wezwać do natychmiastowego zaprzestania gorszącej i niebezpiecznej wojny!

6) Za każdorazowe pranie w domu dyplomowana pracownica domowa winna otrzymać dodatkowe 4 zł.

Pomieszanie ról jest dziś normalną rzeczą. Gdy późno wracającemu do suteryny stróżowi żona robi wymówki, on się zaperza: – Byłem przecie na zebraniu naszego związku, układaliśmy protest przeciw polityce Gdańska.

Natomiast minister opowiada wieczorem żonie: – Ależ się zmordowałem, mieliśmy konferencję w sprawie uregulowania godzin zamykania bram.

Zaśmiewano się ostatnio w Ameryce z zebranych przez jakiegoś dłubacza zakazów przed laty wydanych i dotychczas nieskasowanych po różnych stanach, że w Texasie nie wolno młodzieńcowi siedzieć bliżej dziewicy jak o półtora łokcia, w Ohio chodzić w zielonym surducie ze złoconymi guzikami, w Kalifornii malować sobie włosów i mieć więcej niż dwa tłuste koty...

Nie do śmiechu u nas z żadnych przepisów, bo gorliwa władza czuwa i w przystępie praworządności aplikuje je z całą pedanterią. W pewnej wiosce pies rzucił się na chłopa i chciał go ugryźć, chłop kopnął go w mordę.

Kropnięto chłopu 5 zł kary na mocy przepisu o niedopuszczalności maltretowania zwierząt.

Właścicielowi psa palnięto 5 zł za to, że spuścił go z łańcucha.

Hyclowi dano 5 zł, by złapał psa i go stracił zgodnie z ustawą uznającą kąsające psy za wściekłe i nakazującą ich tępienie.

W średniowieczu przyzwoity rycerz przed zaciukaniem innego rycerza zawsze się wpierw na jego intencję głośno pomodlił o zdrowie i wszelkie pomyślności. Dziś bon ton, przed zbiorowym zażądaniem podwyżki, nakazuje wysłać depeszę z hołdem, odbyć kwarantannę 3-minutowego milczenia i stwierdzić entuzjastycznie, że silne lotnictwo to potęga Polski. Taki już jest protokół.

Gdy w tramwaju apoplektyczny pan żąda otwarcia okna ze względu na zaduch, część pasażerów woła: – Brawo! Konsolidujemy się z panem. Otwierać okno!

Największy wynalazca naszego wieku to ten co wymyślił grób Nieznanego Żołnierza. Anonimowy dobroczyńca dał zatrudnienie wszystkim mężom stanu, dyplomatom, prezesom i kwiaciarniom. Ze wspaniałej, podniosłej koncepcji moda i schemat uczyniły nieznośną piłę. Przyjezdna drużyna piłkarska składa wieniec przed meczem, składa go i grupa absolwentów z Golędzinowa. PAT wmontował przed grobem aparat filmowy na stałe i ten aparat dostarcza najwięcej materiału do usypiających dodatków. A pewien nasz minister pojechawszy do Danii kazał kupić wieniec, włożył surdut i cylinder, sprawdził przed lustrem skupioną minę. Okazało się, że Dania prowadziła ostatnią wojnę przed 200 laty i nie ma Nieznanego Żołnierza. Wielki kłopot. Co robić przez cały ranek? Gdzie się dać sfotografować?

Zanosi się, że coraz więcej ludzi będzie mówić jak ten kuchmistrz do lokaja w Bristolu przed bankietem: – Idź, wygłoś do gości deklarację ideową: zupa już gotowa. ■

_____

Przedruk za: „Prosto z Mostu", 31.10.1937, nr 50.

eprasa.pl 6b6c684efd



Joanna Lichocka „Rymkiewicz. Genealogia”,
Fundacja Evviva L'arte, Warszawa 2021

Krzysztof Wołodźko



RZECZ O PERLE

Perła powstaje, gdy ciało obce wdziera się między ochronne warstwy małża. Ziarno na płaszczu mięczaka, które sprawia ból, z czasem pokrywają kolejne warstwy twardniejącej powoli wydzieliny. Nim stanie się piękno, to, co obce lub wrogie – rani. Zobaczyłem to wyraźnie w trakcie lektury książki „Rymkiewicz. Genealogia” Joanny Lichockiej. Możemy ten rodzaj piękna w kulturze narodowej nazwać martyrologią. Nie uciekniemy wówczas przed banalnym zarzutem cierpiętnictwa. Nie musimy się nim przejmować – szczególnie w przypadku autora „Wieszania”.

eprasa.pl 6b5c684efd

Perły, które rozrzucił Jarosław Marek Rymkiewicz, lśnią nie różem, lecz krwistą czerwienią. Łunami pożóg spopielanej stolicy, zachodu słońca w zdziczałym ogrodzie, gwałtownością ludowej pomsty, której szubieniczna wizja przed kilkunastu laty zgorszyła tak wielu miłośników panującego w Warszawie porządku.

Czucie i wiara są mocniejsze

„Genealogia" Lichockiej jest dopiero wstępem (zgodnie z sugestią autorki to pierwsza część planowanej trylogii). To konieczny wstęp, bo dzięki niemu przyglądamy się nieustannemu odradzaniu polskości: narodzinom pereł, źródłom literackich strof. Przyglądamy się dziejowym przypadkom, drobnym zdarzeniom, rodzinnym koneksjom, historycznym procesom, metamorfozom miejsc, przekształceniom nazwisk, rodowodom, zdjęciom, śladom na poranionych mapach rodzinnej Europy. Widzimy, jak polskości zadawane były rany, które miały przynieść jej śmierć. Ale też jak na przekór ślepym ciosom i finezyjnym uderzeniom zatrutych sztyletów, na przekór narodowym cierpieniom i fatalnym losom, wciąż powstawało piękno: wzbogacał się skarbiec polskiej kultury.

Zbyt patetycznie? Zapewniam – mało patosu w „Genealogii". To raczej skrupulatna, dziennikarska opowieść o tym, jak stał się Jarosław Marek Rymkiewicz. Nie tylko jako zawodowy literat – do tych spraw sięgamy w książce pod koniec. Przyglądamy się za to temu, z jakiej gliny, z czyich namiętności, z jakich rodzinnych historii i wielkich dziejów został ulepiony człowiek; widzimy splątane korzenie polskości, które sięgały głęboko na wschód, południe, zachód. Nawet jeśli chłodny rozsądek każe nam uznać za apokryficzny wywód rodu Tuhan-Baranowskich, z którego pochodziła matka poety, Hanna Baranowska; nawet jeśli szkiełko i oko nie pozwolą nam przyjąć, że autor „Ulicy Mandelsztama" jest potomkiem Czyngis-chana, to przecież czucie i wiara są mocniejsze. I z nich czytamy tę opowieść – jak ze „Świtezianki", „Stepów akermańskich" i „Dziadów" Adama Mickiewicza.

Niejednorodność panoramy nie pozwala zatrzymać się wzrokowi na wschodzie, spoglądamy na wielkopolskie miasteczka z ich protestanckimi zborami, obyczajami i cmentarzami, z sięgającymi obcych drogowskazów traktami, które przed wiekami z zachodu wiodły osiedleńców ku polskim ziemiom. Lichocka pisze: „Schultzowie, bo tak się nazywali, nim polskość wyparła z ich nazwiska poszczególne litery, dotarli do południowej Wielkopolski. Mogło to być w czasie zaboru pruskiego – od 1793 roku do Kalisza przybywali urzędnicy niemieccy wprowadzający pruską administrację. Jednym z jej zadań było sprowadzanie i osiedlanie na ziemi »Prus południowych« niemieckich osadników, chłopów i rzemieślników". Skąd mogli wiedzieć szukający dobrobytu zaradni przybysze, że ich potomkowie będą dźwigać odpowiedzialność za nieznaną im słowiańską mowę, że spotkają się ciało w ciało, krew w krew, myśl w myśl, słowo w słowo z ludźmi idącymi ze wschodu, by przeistoczyć się w Polaków i Polki. Że za swoją ojczyznę przyjmą polskość bez państwa, z silną własną kulturą, obyczajem, duchowością.

Najlepiej być Polakiem

To rzecz zachwycająca. Im bliżej XX wieku, tym ściślej zachwyt i zdumienie przenikają się z grozą, gniewem i poddaniem wobec wyroków losu. Tragedie znajdują próby wyjaśnienia w kulturze. A ta lśni i iskrzy perłami, które zdobią płaszcz Rzeczypospolitej. Sprawy, które wydają się nie do pokonania, które są jak fatum, poeta oswaja własną wolą i wyobrażeniem: „Zawsze uważałem, że najlepiej jest być Polakiem, najlepiej z Warszawy, najlepiej z ulicy Koszykowej, najlepiej – z domu pod numerem 38. A teraz uważam, że najlepiej być Polakiem z Milanówka. Ale kto uważa, że najlepiej być z Brwinowa – też ma rację". Wszelkie dale i przestrzenie, to, co wysoko, i to, co głęboko, skupia się raptem w jednym miejscu, które poeta uznaje za właściwe, by opisywać i oceniać polskie dzieje, kulturę i – być może – w każdym pokoleniu odkrywaną na nowo ojczystą metafizykę, romantyczną duchowość, która wymyka się katolickiej ortodoksji, ale jest jej z pewnością bliższa niż materializm dialektyczny i historyczny tej czy innej proweniencji.

Zatrzymajmy wzrok w jednym miejscu. Warszawa, wrzesień 1939 roku. Przyszły poeta ma cztery lata. Zapewne odczuwa stres, niepokój i strach dorosłych. Ale jest za wcześnie, by znał rozpacz tych ludzi urodzonych pod zaborami, o wiele za krótko cieszących się życiem w niepodległej Polsce. Trwa ewakuacja stolicy, generał Stefan Grot-Rowecki wspomina później: „Każdy jechał, jak chciał, i zabierał, co chciał. Ważne tajne akta państwowe pozostawiono, niepotrzebne osoby, rzeczy i przedmioty zabierano. Tysiące państwowych samochodów naładowanych prywatnymi rzeczami, rodzinami, nawet z psami i kanarkami, opuszczało Warszawę. [...] Masy uciekinierów i dezerterów pomieszane z cywilnymi uciekinierami płyną ciągle na wschód. Na mostach i przeprawach przez

eprasa.pl 6b6c684efd

Wisłę powstają olbrzymie zatory, które rozpędzają dopiero naloty niemieckie, naloty powtarzające się wielokrotnie codziennie".

Z takiej Warszawy, z takiej Polski, uciekał też Jarosław Marek wraz z rodzicami, Władysławem i Hanną. Zatrzymali się jednak na polsko-rumuńskiej granicy i z woli matki poety ruszyli z powrotem w głąb państwa rozszarpywanego przez Niemcy i Rosję. A stolica rozbitej II Rzeczypospolitej krwawiła. „Sterczą co prawda ściany domów, ale powypalane wnętrza świecą pustką jakby wypatroszone. Sterczą zgliszcza. [...] Warszawa to gruzy, to szkielet miasta. [...] Powywracane tramwaje, pogięte latarnie i na każdym kroku niemieckie patrole. Niemcy głośni, butni, zwycięzcy" – pisała później Zofia Chomętowska, autorka relacji z września „Na wozie i pod wozem".

Powszednie obrazy tamtych dni, „czarny pył". Kilkuletni kandydat na przyszłego literata nie musiał wiedzieć, na co patrzą jego dziecięce oczy. Złośliwym demiurgom tamtego stulecia też szczęśliwie umknął z oczu – jeszcze jeden przypadkowy i nieważny świadek ich poczynań. Prawem nieludzkiej statystyki ktoś miał szansę umknąć hekatombie. Dorosły Jarosław Marek Rymkiewicz uzna wojenne doświadczenie za formacyjne. Zapisze w „Kinderszenen": „Niemiecka wojna zrobiła mnie tym, kim teraz jestem. [...] To kształtowało mnie potem przez lata, w jakiś sposób dla mnie niezauważalny. Wreszcie przyszła taka chwila, że to jest fundament mojej osobowości, że mam to za plecami i o to się opieram – że myślę tak, jak chciała i nadal chce wojna".

Miasto nieujarzmione

Kultura zna pojęcie toposu – ponadczasowej figury, która buduje uniwersalne tożsamości i punkty odniesienia rozpoznawalne dla ludzi odległych epok. W języku greckim topos oznaczał pierwotnie określone miejsce w przestrzeni lub w tekście. We wrześniu i kolejnych miesiącach 1939 roku, o wiele jeszcze bardziej w sierpniu 1944 roku i później – Warszawa traciła swoją materialną substancję, przeistaczając się w topos, stając się Miastem nieujarzmionym, Miastem niezwyciężonym. Ludzie, których gorszy martyrologia, mają to za duby smalone. Ale czy istniałaby historyczna polskość, świadoma swojego prawa do samostanowienia i niepodległości, gdyby nie zdolność do zobaczenia wśród ogniem, solą i nienawiścią wypalonych zgliszcz żywego Miasta? Czy dorosły Rymkiewicz miałby w sobie zachwyt polskością, posunięty do grożenia zdrajcom śmiercią; czy miałby krnąbrną radość z Warszawy, gdybyśmy w ruinach widzieli tylko ruiny, a w porażkach – jedynie dobry pretekst do uznania klęski?

Wojna obeszła się z najbliższą rodziną poety łaskawie, jeśli mierzyć skalą możliwych nieszczęść tamtych czasów. Nie tylko przeżyli czas niemieckiej okupacji, dość szybko zaczęli radzić sobie w nowych realiach, gdy na polskie ziemie weszli Sowieci jako mocno wątpliwi wyzwoliciele. Pomógł Jan Lesman, czyli Jan Brzechwa, który na początku II Rzeczypospolitej wraz z Władysławem Szulcem służył w stołecznej Legii Akademickiej i walczył w kampanii lwowskiej. „Po wojnie bolszewickiej obydwaj [...] – pisze Lichocka – wrócili na prawo i trafili na ten sam rok. Ze wspomnień Władysława Rymkiewicza o Brzechwie zawartych w książce »Akademia pana Brzechwy« wynika, że to właśnie na studiach się zaprzyjaźnili".

Gdy jesienią 1944 roku Władysław i Jan znów się spotkali, ten drugi miał za sobą obóz przejściowy w Pruszkowie. Żył w Zalesiu, głodował w osamotnieniu. Małżeństwo Szulców gościło go w Gołkowie, karmiło zupą. Brzechwa chętnie z serdecznych zaproszeń korzystał, czytał dzieciom wiersze. Raz odszedł głodny, gdy Jarosław Marek nieumyślnie wylał całą zupę. Później Brzechwa wyjechał do Lublina, gdzie zainstalowała się komunistyczna władza. W pierwszych miesiącach 1945 roku ściągnął swoich dobroczyńców do Łodzi. W mieście fabrykantów i włókniarek z woli Jerzego Borejszy sprawował funkcję radcy Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". Na pisarzy i pracowników spółdzielni czekały nie tylko mieszkania. W pierwszych latach po wojnie wielu komunistycznych decydentów, na czele z Bolesławem Bierutem, chciało, by to Łódź została stolicą Polski. Rzecz opisuje szerzej Przemysław Waingertner w wydanej przed dwoma laty książce „Czwarta stolica. Kiedy Łódź rządziła Polską (1945–1949)": tam można było robić kariery, poznawać ważnych i najważniejszych ludzi, znów cieszyć się życiem, ściągać stare rodziny lub zakładać nowe.

Gdy człowieka dorasta

Dobra praca i szczęśliwy dom. Po latach wojennej zawieruchy dla młodej, polskiej, inteligenckiej rodziny, która jeszcze niedawno zaliczała się do podludzi, której pozwalano jedynie na byle jaką egzystencję, taka obietnica musiała brzmieć jak spełnienie najpiękniejszego snu. W następnych miesiącach i latach miało się okazać, że ceną za to będzie mniej lub bardziej czynne uczestnictwo w kłamstwach nowego systemu. I że Polska Ludo-

eprasa.pl 6b6c684efd

wa będzie krajem pod dyktando starego zaborcy, tyle że z nową ideologią, która szczególnie działała na niemałą część przedwojennej lewicującej inteligencji.

Jarosław Marek Rymkiewicz pokazuje wojnę jako coś, co go uformowało. Możemy jednak przyjąć, że pierwsze powojenne lata były decydujące dla tego, jakim stał się człowiekiem w Polsce Ludowej. „Lewicowa, liberalna inteligencja – pisze Lichocka – do której po równi należała [Maria] Dąbrowska, jak i Władysław i Hanna Szulcowie, nie miała złudzeń, nie mogła mieć, co do istoty tego, co się dzieje". Ale nowe życie biegnie i nabiera rumieńców: „rzeczy rozpakowane, mieszkanie urządzone, dzieci zapisane do szkoły". Dorośli musieli określić nowe strategie życiowe. I spróbować dobrze pokierować dziećmi. Władysław Szulc z czasem zmienił nazwisko na Rymkiewicz, jako pisarz zrezygnował z ambicji opisywania bieżących wydarzeń: „uciekł w powieści historyczne, pisane głównie dla młodzieży, respektujące narzucane przez PRL zasady". Hanna Rymkiewicz „znalazła pracę w szpitalu, szybko awansowała, była ordynatorem, potem dyrektorem szpitala". Oboje zapisali się do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, która powstała w grudniu 1948 roku po zwasalizowaniu przez PPR-owców przedwojennego, niepodległościowego PPS.

Nie szukam w tym wątku sensacji. Zbyt dobrze znam tamte czasy z rodzinnych pokresowo-wielkopolskich opowieści. Ale Jarosław Marek dorastał, więc musiał pytać rodziców o ich życiowe wybory. Albo je obserwować. Tak czyni każdy młody człowiek, trudno uwierzyć, by uniknął tego dojrzewający chłopak o poetyckiej wrażliwości, wyostrzonym spojrzeniu na świat. Czy nie groził mu wtedy cynizm? Lub pełne samozadowolenia, wygodne wejście w buty dziecka z dobrze sytuowanej rodziny? Lichocka opisuje ten wątek, mówi o szczelinach, zza których przeświytywała nieskłamana polskość. Mówi choćby o nauczycielce matematyki Rozalii Jarząbek, która jako matematyczka prowadziła koło polonistyczne i która w jednej ze szkolnych sal elitarnego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci zdjęła portret Józefa Stalina i zawiesiła podobiznę Adama Mickiewicza.

Autorka „Genealogii" mówi też o roli teatru i ludziach takich jak Erwin Axer, który po wojnie został kierownikiem Teatru Kameralnego Domu Żołnierza w Łodzi. W 1949 roku, gdy było już jasne, że Warszawy nie da się Polakom odebrać jako symbolu polskości, instytucję przeniesiono do stolicy i przemianowano na Teatr Współczesny. Sam Axer dobrze wiedział, na co się zdecydował, współtworząc oficjalną kulturę PRL: „Moje pokolenie było wychowane w niepodległej Polsce [...], nie miałem ani przez chwilę wątpliwości, że dokonuję czynu karygodnego, czegoś w rodzaju zdrady".

▶ Prawdy Mickiewicza

I był jeszcze dom – być może wewnętrznie sprzeczny, bo z jednej strony należał do powojennej łódzkiej elity, która swoje kariery zawdzięczała najważniejszym ludziom nowej władzy; z drugiej – był to dom, w którym pamiętało się dobrze przedwojenną Polskę, której triumfów i rozpaczy oboje rodzice poety zaznali aż nadto. Czy Jarosław Marek Rymkiewicz znał już wówczas „Stopnie prawd" Adama Mickiewicza ze „Zdań i uwag. Z dzieł Jakuba Bema, Anioła Ślązaka (Angelus Silesius) i Sę-Martena": „Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi; / Są takie, które szepcze swemu narodowi; / Są takie, które zwierza przyjaciołom domu; / Są takie, których odkryć nie może nikomu". Jakub Bem to oczywiście Jakob Böhme, protestancki mistyk i gnostyk z przełomu XVI i XVII wieku, Sę-Marten – francuski mistyk i ezoteryk epoki Oświecenia, Louis Claude de Saint-Martin. Rzecz jednak nie w tym, co pociągało duchowo Mickiewicza (a nie są to rzeczy krzepiące katolickich konserwatystów), lecz w tym, że stare mistyczne prawdy świetnie nadawały się na elementy strategii przetrwania w czasach stalinizmu i w kolejnych dekadach PRL.

Ostatecznie narodził się poeta, pisarz i eseista, który odkrył w Mickiewiczu więcej, niż pozwalała oficjalna doktryna czasów stalinizmu i jej późniejsze modyfikacje. Lektura „Genealogii" lepiej pozwala zrozumieć książki takie jak „Do Snowia i dalej", w których Rymkiewicz snuje opowieść o jeziorze Świteź i Świteziankach, mówiąc do nas wprost: istnieje w świecie, w nas samych, jakaś „przejrzysta nieprzejrzystość", egzystencjalna i duchowa tajemnica, współcześnie zapoznana; „coś, co Mickiewicz wiedział, czego my nie wiemy". Takiego wieszcza chciał Rymkiewiczowi odebrać stalinizm, takim nie rozumiał go PRL: z jego prowincjonalizmem i zaściankowością, duchowością, w której przednowoczesna religijność wschodniej Europy mieszała się z fascynacją mistycyzmem Anioła Ślązaka, Jakuba Böhme, Saint-Martina.

Perła powstaje, gdy ciało obce wdziera się między płaszcze okrywające Rzeczpospolitą. To tajemnica, którą trzeba badać wciąż na nowo. Miejmy nadzieję, że Joanna Lichocka nie każe nam czekać zbyt długo na kolejne tomy opowieści o Jarosławie Marku Rymkiewiczu. ■

eprasa.pl 6b6c684efd



Olga Doleśniak-Harczuk



Spätgotik (późny gotyk) to niemiecka odpowiedź na niespieszne przejście od średniowiecza do renesansu. Podczas gdy w XV wieku na południu od Alp rozwija się renesans, na północy mówimy jeszcze o gotyku. Złote tło, zielenie, szkarłaty, niebieskie szaty, późny gotyk łamany na renesans, twórcy eksperymentujący z tłem i tematyką, delikatne przesuwania się z sacrum do profanum. W Berlińskiej Gemäldegalerie do 5 września można jeszcze zwiedzić wystawę „Spätgotik. Aufbruch in die Neuzeit". 130 eksponatów czeka na koneserów późnego gotyku.



Konrad Witz „Salomon i Królowa Saby", Bazylea, około 1435–1440, Staatliche Museen zu Berlin, Gemäldegalerie

FOT. STAATLICHE MUSEEN ZU BERLIN

GOTYCKIE OPÓŹNIENIE

eprasa.pl 6b6c684efd



Konrad Witz „Zwiastowanie", Bazylea, około 1440, Germanisches Nationalmuseum, Norymberga



Hans Pleydenwurff „Chrystus jako Mąż Boleści", Norymberga, około 1456, Kunstmuseum Basel

Konrad Witz (około 1400–1445/47)

O tego malarza późnego gotyku do dziś spierają się Niemcy i Szwajcarzy, przy czym większość źródeł wskazuje jednak na niemieckie jego pochodzenie. Odświeżenie Witza w świadomości zbiorowej miłośników sztuki zawdzięczamy szwajcarskiemu historykowi sztuki, wykładowcy i konserwatorowi Danielowi Burckhardt-Werthemannowi (1865–1949). To ten człowiek podczas prac konserwatorskich w Genewie odkrył w 1897 roku podpis Konrada Witza na oryginalnej ramie ołtarza św. Piotra. RównieżBurckhardt-Werthemann wykrył, że Albrecht Dürer miał swój „epizod bazylejski". Notabene – malarstwo Dürera również zagościło na berlińskiej wystawie późnego gotyku, mimo że artysta jest zazwyczaj zaliczany w poczet twórców renesansu. Jak istotne są różne tego typu epizody, pobyty itd., najlepiej wiedzą historycy sztuki. Wiedział o tym również niemiecki specjalista od Konrada Witza, Konstanz Josef Hecht, który w 1937 roku na łamach monachijskich „Zeitschrift für Kunstgeschichte" (Zeszyty Historii Sztuki) opublikował wyniki swojego śledztwa związanego z pobytem Konrada Witza w Konstancji. Szwabska metropolia przyciągała twórców, szacuje się, że i Witz się skusił i w latach 1418–1426, a może nawet do 1431 roku rozwijał swój talent właśnie w tym pięknym mieście. Wnioski wyciągnięto na podstawie zapisów o podatkach uiszczanych przez malarza. Skrupulatność średniowiecznego fiskusa na coś się czasem przydaje.

Na aktualnej wystawie w Berlinie można podziwiać kilka dzieł Witza, w tym obrazy: „Salomon i Królowa Saby" (1434–1435) i „Zwiastowanie" (1437–1440). Nie wiadomo, gdzie Witz pobierał nauki, historycy sztuki przyjmują, że kształcił się, wędrując po Burgundii i Niderlandach. Zdaniem szwajcarskiego historyka sztuki, Florensa Deuchlera, Witz zdołał podpatrzeć też mistrzów włoskich. Podczas swojej wyprawy do Ferrary i Florencji miał się zetknąć z podejściem wczesnorenesansowym. Deuchler zakładał, że dzięki znajomości trendów malarskich z południa i północy Alp, mógł Witz pełnić rolę spoiwa między tymi dwoma obszarami. O jego życiu osobistym wiadomo niewiele. Syn Hansa, malarza i złotnika, źródła zdradzają zaledwie kilka szczegółów z ostatnich dwunastu lat życia, które spędził w Bazylei. I tak wiadomo, że w 1443 roku nabył dom „Pod Pługiem", a trzy lata później jego małżonka Ursuline już figurowała w dokumentach jako wdowa. Można sobie jednak wyobrazić, że Witz miał sporo zamówień i możnych mecenasów. Bazylea, jako miejsce soboru powszechnego zwołanego 1 lutego 1431 roku przez papieża Marcina V, tętniła życiem. W 1433 roku w mieście ruszyła produkcja papieru. Miasto do dziś jest dumne ze swojego muzeum papieru zlokalizowanego

eprasa.pl 6b6c684efd

w jednym z budynków dawnego klasztoru żeńskiego Klingental. Papier, druk i Spätgotik to szlak wydeptany przez ludzi tamtej epoki, a 130 eksponatów zebranych w berlińskiej Gemäldegalerie stanowi jego piękną i różnorodną ilustrację. Znajdziemy tu nie tylko malarstwo, lecz także rzeźbę, księgi, naczynia liturgiczne, relikwiarze, ryciny i miedzioryty.

Witz dostaje drugą szansę

Wracając do Konrada Witza, jest on wymieniany jednym tchem z innym niemieckim malarzem późnego gotyku, Hansem Hirtzem, o którym wiemy jeszcze mniej niż o autorze „Salomona i Królowej Saby" czy „Ukrzyżowania" (1444) – obrazu, który z całą mocą pokazał nowatorskie podejście Witza do obowiązującego wówczas idealizmu. W tle, hen za krzyżem Chrystusa, widać jezioro Bodeńskie (niektórzy historycy sztuki kwestionowali autorstwo Witza, Walter Überwasser jeszcze w 1942 roku toczył o to spór z kolegami po fachu, utrzymując, że styl jest bardziej burgundzki lub prowansalski).

Rewolucyjne zagranie, jak na ówczesne standardy, tak samo jak i ukazanie cudownego połowu ryb na tle krajobrazu znad Jeziora Genewskiego zamiast Galilejskiego. Realny świat zaklęty w scenę z Ewangelii św. Jana. Coś, co dziś nie budzi emocji, wtedy stanowiło istną rewolucję, co w 2011 roku z naciskiem podkreślali kuratorzy wystawy poświęconej temu malarzowi w Kunstmuseum Basel. „Konrad Witz zalicza się do najbardziej radykalnych odnowicieli malarstwa pierwszej połowy XV wieku. Przybywa do Bazylei w 1434 roku zwabiony międzynarodową atmosferą wielkiego soboru. W 1447 roku umiera. W czasie niespełna dekady tworzy szereg ogromnych dzieł ołtarzowych, z których przetrwało zaledwie kilka tablic. Do tego dochodzą strzępy świadectw potwierdzających jego zaangażowanie w malarstwo ścienne. I tutaj trop się urywa. [...] Od czasu, gdy Daniel Burckhardt-Werthemann na nowo, w 1901 roku odkrył twórczość Konrada Witza, kilka generacji badaczy odkryło swoją fascynację dziełami tego malarza. Wystawa w Bazylei jest więc ziszczeniem marzenia o ukazaniu szerokiej publiczności dzieł tego malarskiego pioniera po raz pierwszy z takim rozmachem" – tak dekadę temu zachwalano wystawę poświęconą Konradowi Witzowi. Pierwszą, która pokazywała światu geniusz późnogotyckiego twórcy. Wtedy do Bazylei powędrowały jego obrazy wypożyczone m.in. z berlińskiej galerii, dziś to w Berlinie Witz dostaje drugą szansę, by zachwycić zwiedzających. A jak ktoś już chce nie tylko obejrzeć dzieła szwajcarsko-niemieckiego Witza, lecz także ich dotknąć, to są dostępne puzzle jego najgłośniejszych dzieł. Cena – średnio 25 euro za pudełko 100-elementowej układanki.



Albrecht Dürer „Chrystus Frasobliwy", Norymberga, około 1492/93, Staatliche Kunsthalle Karlsruhe

FOT. STAATLICHE MUSEEN ZU BERLIN

eprasa.pl 6b6c684efd



Stefan Lochner „Męczeństwo św. Bartłomieja“, Kolonia, około 1435, Städel Museum, Frankfurt am Main

FOT. STAATLICHE MUSEEN ZU BERLIN

▶ Albrecht Dürer (1471–1528)

Stało się, najwybitniejszy artysta niemieckiego renesansu został w Berlinie wciągnięty w późnogotycką historię. W Gemäldegalerie można zobaczyć „Chrystusa Frasobliwego” Dürera. Obraz ten zestawiony z wizerunkiem „Chrystus jako Mąż Boleści” Hansa Pleydenwurffa (1420–1472), tworzącego w stylu prymitywistów flamandzkich, przemawia tym samym, późnogotyckim językiem. Umęczony Chrystus Dürera i umęczony Chrystus Pleydenwurffa są niczym nić łącząca wrażliwość tych dwóch norymberskich mistrzów. Męka Syna Bożego na tle gotyckiego złota.

▶ Stefan Lochner / Mistrz Stefan (około 1400–1451)

To jeden z czołowych przedstawicieli malarstwa tablicowego Spätgotiku. Lochner ma na swoim koncie wiele pięknych wyobrażeń maryjnych, jego „Madonna w altanie różanej” (około 1440) to dzieło kompletne, tchnące spokojem i królewskim majestatem odzianej w błękitną suknię Matki Bożej z dzieciątkiem (Dzieciątko trzyma w rączce rajskie jabłko, ale jakby od niechcenia, bo wzrok utkwiony jest w dal; nie tak jak u Joosa van Cleve, na obrazie „Matka Boska z Dzieciątkiem jedzącym jabłko” (około 1525/30), gdzie mały Jezus ma wszelkie cechy niesfornego malucha, gdzie element boski został utemperowany ludzkim rysem małego chłopca strojącego miny). Mimo jednak tak natchnionych wizerunków, Lochner jest dziś głównie kojarzony z sugestywnym ukazywaniem tortur. Lochner wyrastał na twórczości Konrada Witza, inspirował się późnogotyckimi realistami, by następnie zanurzyć się w miękkości nowoczesnego naturalizmu Jana van Eycka.

W Berlinie szczególną uwagę zwrócono jednak nie na subtelność wyrazu i delikatność Lochnera w wyobrażeniach świętych, lecz na Ołtarz Męczenników ilustrujący m.in. męczeńską śmierć św. Bartłomieja. Mistrz Stefan nie oszczędził widzom żadnego szczegółu. A jednak mam pewną wątpliwość, czy słusznie sprowadza się dziś jego wizję do „czystej makabry”. Choć ukazany przez niego wizerunek dręczonego, obdzieranego żywcem ze skóry świętego stanowi jeden z najbardziej naturalistycznych w historii sztuki, to chyba i tak nie „przebije” przewrotnej pomysłowości Michała Anioła, który w Kaplicy Sykstyńskiej odmalował na zdartej skórze męczennika swój autoportret. Lochner przy tym to tylko marny cień. Choć niewątpliwie bardzo późnogotycki. I nadal pożądany. Niewielu twórców może się poszczycić takim zainteresowaniem po śmierci. Lochnera ścigała sama Deutsche Post. W kwietniu 2007 roku nieżyjący od 556 lat Lochner stał się adresatem folderów reklamowych pewnej instytucji finansowej. Proponowano mu nawet złotą kartę kredytową. Poczta przychodziła na adres Katedry Kolońskiej. I to regularnie. ■

eprasa.pl 6b6c684efd

Marek Kalinowski

Wodecki, Kraków i jazz

Przed nami wydawnictwo, którego nie można przegapić. Płyta „Dialogi" zawiera wcześniej niepublikowane utwory Zbigniewa Wodeckiego. Przenosimy się więc do muzycznego Krakowa lat 70. i występów big-bandu Jerzego Miliana. Zanim publiczność usłyszała o „Pszczółce Mai" i „Chałupach", zanim pojawiły się kolejne znane przeboje, posłuchajmy, jak dwudziestoletni Wodecki stawiał pierwsze kroki na wielkiej scenie jazzowej.

Wbrew pozorom odkrycie jazzowego oblicza Zbigniewa Wodeckiego może być zaskoczeniem bardziej dla starszych słuchaczy niż młodego pokolenia. Podczas gdy ci pierwsi będą kojarzyć artystę z wielkimi przebojami, jak „Chałupy welcome to", „Zacznij od Bacha" i nieśmiertelną „Pszczółką Mają", młodzież poznała Wodeckiego z nie tak odległych edycji Off Festivalu i fenomenalnej współpracy z zespołem Mitch & Mitch. Stało się tak, gdy lider Mitch'ów, Macio Moretti, wraz z ekipą młodych muzyków „wygrzebali" nagrania Wodeckiego z lat 70. i zachwyceni ich klimatem, zaproponowali artyście nagranie płyty na nowo. Można tylko gratulować Morettiemu doskonałej intuicji. Projekt nie tylko odniósł ogromny sukces, lecz przede wszystkim przyciągnął uwagę właśnie tych młodszych odbiorców. A jak fantastycznie brzmi, warto się przekonać jeszcze raz, sięgając po płytę „1976: A Space Odyssey".



Różni wykonawcy, WODECKI JAZZ '70 – DIALOGI, Twist On, Mystic

Wróćmy jednak do tego co teraz, bo właśnie otrzymujemy kolejne wydanie dorobku Zbigniewa Wodeckiego z lat 70., tym bardziej wyjątkowe, bo wcześniej niepublikowane. Po śmierci artysty jego córka Katarzyna Wodecka-Stubbs odszukała w archiwach Polskiego Radia zupełnie unikatowe nagrania. Pomysł ich wydania był oczywisty, ale wspaniale się stało, że utwory te przekazała w ręce wybitnych muzyków jazzowych: Leszka Możdżera (fortepian), Henryka Miśkiewicza (saksofon), Marka Napiórkowskiego (gitara), Michała Tokaja (fortepian), Michała Barańskiego (kontrabas) i Pawła Dobrowolskiego (perkusja). I tu zaczyna się prawdziwy majstersztyk, bo archiwalne nagrania słyszymy na płycie w nowych aranżacjach i w dopisanych duetach z wymienionymi artystami.

Część tematów wraca na albumie dwukrotnie. Tak jest choćby w otwierającej krążek, delikatnie rozkołysanej „Fantazji", w wersji Wodeckiego nasuwającej skojarzenie z „Et si tu n'existais pas" Joe'a Dassina. Jakże nowe światło na tę uroczą piosenkę rzuca w swojej interpretacji Michał Tokaj – pianista i zarazem kierownik muzyczny całego projektu.

Skojarzeń z epoką i jej wielkimi przebojami będzie jeszcze więcej, ot choćby w szalonych „Wariacjach na temat tańców rumuńskich". Zaskakujące zmiany rytmu i nastroju – czego tutaj nie ma! Motywy ludowe przeplatają się z wątkami filmowymi, by po chwili zatrzymać wszystko na moment w nastroju tęsknoty i tajemnicy. Są również tytułowe „Dialogi", czyli duet Leszka Możdżera ze Zbigniewem Wodeckim. Słuchając, jak fortepianowe improwizacje przenikają się z głosem Wodeckiego, aż trudno uwierzyć, że zostały dopisane wiele lat później.

Po jazzowym szaleństwie czas na ukojenie wrażeń i piosenkę autorstwa Włodzimierza Nahornego „Dzielę z tobą dzień na dwoje", której Wodecki był jedynym wykonawcą. Wysłuchamy jej również w bardziej balladowej, instrumentalnej wersji Marka Napiórkowskiego na gitarze klasycznej. ■

eprasa.pl 6b6c684efd

Kult bez złotej myśli

28 maja ukazał się szesnasty studyjny album Kultu. Kto chce społecznych obserwacji przy neutralnej muzyce, ten je dostanie. Kto czeka na ponadczasowe utwory, jakie przez lata udawało się kapeli nagrywać, ten będzie zawiedziony.



Krzysztof Karnkowski



Krążek zatytułowany myląco „Ostatnia płyta" to 16 utworów przedzielonych fragmentami czytanych przez Kazika Staszewskiego wspomnień z początku jego muzycznej aktywności, niezbyt zresztą porywających. Na szczęście dziś łatwo jest pomijać niechciane fragmenty płyt. Poza wątkiem historycznym znajdziemy tu sporo dość różnorodnej muzyki, stanowiącej ilustrację do publicystycznych obserwacji lidera grupy. Kult trzyma poziom, niestety jest to tylko poziom z ostatnich płyt.

Raz lepiej, raz gorzej

Tytuł płyty to Kazikowy żart, ponieważ zespół nie planuje kończyć na niej swojej aktywności, jednak zapewne akurat to słuchacze będą w stanie wybaczyć. Nie pierwsze to nieporozumienie związane z Kultowym nazewnictwem. Nie tak dawno zespół naraził się muzykom zimnofalowej polskiej legendy Made in Poland, w ten właśnie sposób nazywając swoją płytę koncertową. W rewanżu niewiele później Made in Poland wydało studyjny materiał pod tytułem „Kult"... Warto przypomnieć, że przez pierwsze lata działalności zespół konsekwentnie trzymał się zasady nazywania nowej płyty tytułem piosenki z poprzednich krążów, czego zaniechał na początku lat 90. Mniej więcej w tym samym czasie Kazik Staszewski zmienił jeszcze kilka zasad tworzenia swoich utworów, pozwalając sobie na więcej swobody artystycznej, co niestety zaowocowało wzrostem liczby linijek, które poza rymami nie wnosiły zbyt wiele do tekstów. Najgorzej sprawy wyglądały kilka lat temu, gdy atmosfera w grupie była fatalna i Staszewskiemu zwyczajnie nie chciało się pisać, czego efekty słychać na płycie „Poligono industrial" mogącej walczyć o tytuł najsłabszego materiału grupy. Później sytuacja była raz lepsza, raz gorsza, czy jednak Kult powrócił do dawnej formy – pozostaje sprawą dyskusyjną. Większość znanych mi słuchaczy z wieloletnim stażem jest krytyczna wobec działalności zespołu na przestrzeni ostatnich lat. Nowa płyta,

eprasa.pl 6b6c684efd



choć według mnie bardziej udana od wydanego pięć lat temu „Wstydu", raczej tej opinii nie zmieni.

„Zaraza"

Premierowy materiał Kultu jest w pewnym stopniu kontynuacją ubiegłorocznej płyty Kazika, zatytułowanej „Zaraza", która była muzycznie chyba najbardziej „Kultową" spośród solowych produkcji Staszewskiego. Gdyby nie pandemia, zapewne byłaby dziś przedostatnią pozycją w dyskografii jego zespołu. Pierwotnie bowiem miała być nagrywana z Kultem, czego śladem jest wspomnienie o „całej naszej dziewiątce" w jednym z tekstów. Ponieważ jednak były czasy zamykania się w domach i ograniczania kontaktów, za cały Kult robić musiał Kuba Jabłoński, na co dzień gitarzysta, a z potrzeby chwili – instrumentalista. Wyszło całkiem przyzwoicie, choć niestety prawie całe zainteresowanie płytą wzięło się z radiowego blokowania piosenki „Twój ból jest lepszy niż mój", gdzie Kazik w dość populistyczny sposób opisywał wizytę Jarosława Kaczyńskiego na zamkniętym (co zresztą nie było zgodne z prawdą) cmentarzu. Media zapewniły twórcy promocję, o jakiej w innych warunkach nie mógłby nawet pomarzyć. Płyta sprzedała się świetnie, a jednak chyba nie została zbyt mocno zapamiętana. Warto słuchać jej jednak jako pierwszej części opowieści, która na „ostatniej płycie" znajduje swoje rozwinięcie. „Zaraza", jak wskazuje już sam tytuł, jest w dużej części zapisem nastrojów z pierwszych tygodni epidemii koronawirusa. Izolacja, obawy, utrata wiary w oficjalne strategie radzenia sobie z tym zagrożeniem, wreszcie próba szerszej analizy tego, co się stało, zarówno od strony moralnej, jak i geopolitycznej. To ostatnie znajdziemy w najmocniejszym, zbliżającym się poziomem do Kultowych klasyków „Gdy Chińczycy mówią Gan pai".

Pandemiczne tony

COVID-19 nowej płyty Kultu nie przytłacza w stopniu całkowitym, jednak kładzie się i na niej swoim cieniem. Wprost staje się bohaterem „Opowieści z cza-

FOT. IRENEUSZ SOBIESZCZUK/PAP/TVP

eprasa.pl 6b6c684efd

sów pandemii". To jeden z mocniejszych (może nawet najmocniejszy) muzycznie punktów płyty, utwór patetyczny i niepokojący, utrzymany w klimacie muzyki z westernów lub innych awanturniczych produkcji. „Opowieść" od strony przekazu sytuuje Kazika bliżej środowisk „koronasceptyków". Obostrzenia są tu wskazane jako kolejne odebranie ludziom wolności przez Babilon, co na pewno znajdzie swoje grono słuchaczy. Motyw pandemii pojawia się też w „Umarłem, aby żyć", gdzie jednak rozmyty jest typowymi dla Kazika frazami, niemającymi głębszego sensu, którym towarzyszy niepokojąca, podbita elektroniką muzyka, kojarząca się mocno z utworem „Der Mussolini" niemieckiego DAF. W tej opowieści rzeczywistość 2021 miesza się z reminiscencjami komunizmu, a ramy elektroniki sekcji rytmicznej rozsadzają jazzowe improwizacje instrumentów dętych. Inne wątki, związane z epidemią, jak maseczki czy brak koncertów, przewijają się jeszcze w kilku fragmentach płyty, a COVID-19 paradoksalnie pomógł w nagłośnieniu jej premiery. Historia „Bólu" pokazała Kazikowi, jak silnym narzędziem promocji jest skandal, angażujący podzielone wokół jakiejś sprawy społeczeństwo. Jest jednak faktem, że znów wokół najważniejszego współczesnego zespołu rockowego głośno było przez chwilę nie tyle z powodu nowej płyty, ile w wyniku oświadczenia wydanego w sprawie obostrzeń sanitarnych na festiwalach. Bardzo mocno nagłaśniał je będący niewskazanym wprost adresatem Jerzy Owsiak, który podjął decyzję o przeprowadzeniu swojego tegorocznego festiwalu w pełnym reżimie sanitarnym, co Staszewski uznał za pewną formę apartheidu.

▶ Przemyślenia

A co znajdziemy na „Ostatniej płycie" poza echami pandemii? Wbrew obawom – całkiem sporo. Mamy więc trochę wątków osobistych i mocno osobistych („Chcę miłości" czy będący pożegnaniem przyjaciela „Rafi"), czasem wręcz partykularnych (singlowy „Plan zabudowy dla Białołęki", gdzie Staszewski odgrywa się na lokalnych urzędnikach), mamy interesującą refleksję na temat kondycji i hipokryzji świata w „Prawo wali się", w którym Kazik bliski jest swoich celnych obserwacji sprzed lat, krytyczny obraz Unii Europejskiej w „Na każde stopy do Europy", wreszcie opowieść o losach Burów, temacie ostatnio mocno Staszewskiego zajmującym, w „Zulus Czaka czeka na Bura". Udane jest zakończenie płyty z lekko prześmiewczym „Wyłącz komputer", w którym słychać echa rozmów... Kazimierza Marcinkiewicza z byłą ukochaną, i podniosłą „Ziemią obiecaną", w której Kazik znów mierzy się z tematem głębokiego pęknięcia naszego społeczeństwa. Być może byłoby tej ostatniej piosence najbliżej do Kultowej pierwszej ligi, gdyby nie fakt bardzo mocnego zapożyczenia się w warstwie muzycznej i zaprzyjaźnionego ze Staszewskim Zaciera, który na tę samą melodię kilka lat wcześniej zaśpiewał „Opowieść o rybach marnotrawnych". Między utworami, które wypadają zupełnie przyzwoicie, wciska się jednak kilka typowych wypełniaczy, nie brak też na tej płycie populizmu, który psuje udaną do pewnego momentu antyklerykalną „Wiarę", by zupełnie osunąć się w banał w „Polityk zawsze będzie moim wrogiem" czy „Donos do boga". Kazik od lat przeżywa swoje rozterki związane z religią i wiarą, czasem jest od niej bardzo daleko (czego zapisem były fragmenty wspomnianej już płyty „Poligono industrial), czasem wraca całkiem blisko (udane „Twoje słowo jest prawdą" i „Modlitwa moja" z albumu „Prosto", moim zdaniem najlepszej produkcji późnego oblicza Kultu), tu jednak, z „Bogiem" pisanym małą literą, wpada niestety w dziecinadę.

▶ Coraz więcej kabaretu Kazika, coraz mniej zespołu

W Kulcie coraz mniej zostaje muzyków z najlepszych czasów zespołu. Po odejściu kilka lat temu skłóconego z kolegami Krzysztofa Banasika (przede wszystkim – waltornia), całkiem niedawno zabrakło w kapeli klawiszowca i gitarzysty Janusza Grudzińskiego. U boku Kazika pozostają grający od lat 80. basista Irek Wereński i gitarzysta Piotr Morawiec, reszta składu to nabytki z ostatnich dwudziestu lat. W muzyce Kultu coraz mniej jest rocka i punk rocka, na „ostatniej płycie" mamy do czynienia częściej z elegancką muzyką środka, zakorzenioną w folku, bluesie i jazzie, mocnych gitar już tu nie znajdziemy. Nawet tam, gdzie powinny się pojawić, zastępują ją majestatyczne trąby. Ta zmiana idzie w parze z przemianą tekstów, które z ponadczasowych, pokoleniowych hymnów przeszły w doraźny komentarz. Coraz więcej tu kabaretu mającego już swoje lata Kazika, coraz mniej zespołu, za który przed laty wielu z nas dałoby się pokroić. Zapewne taka jest kolej rzeczy – artyści, jak wszyscy ludzie, dojrzewają, więc i inna staje się ich twórczość. Można zostać przy starych płytach, można dać szansę i nowej, znajdując w niej okruchy dawnego stylu, trochę dobrych dźwięków i wciąż sprawnie formułowanych, choć rozmywanych przez rosnącą liczbę niepotrzebnych linijek, obserwacji. Tyle że choć dużo tu tzw. złotych dźwięków, to bardzo często „brakuje tu złotej myśli", jak w jednej z piosenek śpiewa sam Kazik. Śpiewa, niechcący podsumowując problem, jaki mam z tą – i kilkoma jej poprzedniczkami w dyskografii Kultu – płytą. ■

eprasa.pl 6b6c684efd



Małgorzata Matuszak

Czym jest... sport

Etymologia słowa „sport" sięga starożytnego Rzymu. Termin ten wywodzi się z ludowej łaciny używanej pod koniec istnienia Imperium Rzymskiego, w której słowo „disporte" oznaczało oddalanie się od miejsca czynności codziennych dla rozrywki i odpoczynku. W budowie tego wyrazu wyróżnić można rdzeń „porta", czyli „brama", i przedrostek „dis", określający przemieszczanie się. Słowo to ewoluowało. Po odrzuceniu „di" pozostało „sporte", zanik akcentu na ostatnią sylabę spowodował zaś niewymawianie końcowego „e" i w ten sposób wykształcił się termin „sport", który rozpowszechnił się, za sprawą języka angielskiego, w większości krajów europejskich. W Polsce po raz pierwszy użyty został, w sposób udokumentowany, w roku 1856, w jednoaktowej komedii Konstantego Gaszyńskiego „Wyścigi konne w Warszawie".

Od „przenoszenia się za bramę", metaforycznie zaś rzecz ujmując „spędzania poza bramą czasu w ruchu i w zabawie", powstał dzisiejszy sport, który we współczesnym świecie stanowi jeden z najbardziej wyraźnych wytworów naszej cywilizacji. Sformułowanie jednej jednolitej definicji sportu nastręcza jednak wiele trudności. Bo sport niejedno ma znaczenie, nazwą tą określamy wszak wiele różnych przejawów ludzkiej, sportowej aktywności, od tej amatorskiej, uprawianej od najmłodszych lat, po tę profesjonalną, uprawianą zawodowo, a niedawno do powszechnie wymienianych rodzajów sportów dołączył nawet e-sport, który oficjalnie już uznany został za sport nieolimpijski.

Chociaż w swym podstawowym ujęciu sport wymyka się jednoznacznej definicji, to teoretycy sportu podają kilka warunków, które pozwalają daną aktywność fizyczną uznać za sport: (1) musi ona posiadać element zabawy, czyli być działalnością motywowaną wewnętrznie, podejmowaną ze względu na czerpaną z niej samej przyjemność; (2) musi być zorganizowana, czyli regulowana stosownymi przepisami; (3) powinna zawierać element rywalizacji; (4) winna być oparta na wytrenowanych umiejętnościach, a nie na przypadkowych działaniach; (5) musi obejmować umiejętności fizyczne i psychiczne, czyli umiejętne i celowe wykorzystane swojego ciała i umysłu; (6) winna cieszyć się szeroką publicznością; (7) musi posiadać stabilność instytucjonalną.

Na współczesny obraz sportu decydujący wpływ miały dwa podstawowe składniki – helleński i brytyjski. W Starożytnej Grecji sport traktowano nie tylko jako środek do usprawnienia w maksymalnym stopniu ludzkiego ciała, by mogło pokonywać swoje ograniczenia (w myśl późniejszego już, olimpijskiego hasła „citius, altius, fortius"), lecz także jako formę „paidei", przyczyniającą się do pełnego rozwoju osobowości człowieka, uwidaczniania się „arete", dzielności, „lepszości" człowieka. Najważniejszym i sankcjonującym elementem greckiego sportu były igrzyska olimpijskie, będące z jednej strony formą kultu religijnego, z drugiej zaś najmocniejszym przejawem wszechobecnego w kulturze greckiej współzawodnictwa. One też, rozgrywane jak wówczas co cztery lata, są najbardziej widocznym i podniosłym dziedzictwem antyku we współczesnym sporcie. Sport brytyjski stał się z kolei najważniejszym czynnikiem przystosowującym europejskie tradycje wychowania fizycznego do potrzeb społeczeństwa zindustrializowanego. Anglia i narody celtyckie wywarły także wpływ na sferę etyczną i obyczajową sportu. To za ich przyczyną powstały pryncypia etyczne sportu wyrażone najpełniej w zasadzie „fair play", czyli „czystej, sprawiedliwej grze", będącej systemem wartości, jakimi winien kierować się każdy, kto bierze udział we współzawodnictwie sportowym.

> Anglia i narody celtyckie wywarły wpływ na sferę obyczajową sportu. To za ich przyczyną powstały pryncypia etyczne sportu wyrażone najpełniej w zasadzie „fair play".

Sport dostarcza dziś rozrywki setkom milionów ludzi na całym świecie. Występy reprezentantów kraju budują naszą tożsamość narodową. Kiedy „nasi" wygrywają, panuje euforia, gdy zaś przegrywają – powszechna rozpacz. Mówi się, że współczesnym światem sportu „rządzi pieniądz", jednak trudno dziś sobie wyobrazić nasze życie bez sportu, tego, w którym sami uczestniczymy, i tego, którego jesteśmy świadkami, w języku sportu – kibicami. ■

eprasa.pl 6b6c684efd

Piotr Grochmalski

Strategia Putina i putinizacja Europy



W rocznicę napaści III Rzeszy na Związek Sowiecki, 22 czerwca 2021 roku, Władimir Putin odpalił prawdziwą bombę. Niemiecki „Die Zeit" opublikował jego artykuł, w którym proponuje on oś Berlin–Moskwa jako gwarancję nowego bezpieczeństwa na Starym Kontynencie. Putin prezentuje w istocie swoją strategię imperialną, nowy podział Europy, którego gwarantem ma być rosyjsko-niemiecki deal.

eprasa.pl 6b6c684efd



FOT. ALEKSIEJ WITWICK/GAZETA POLSKA

e-prasa.pl

Władca Kremla nie przypomina, iż to sojusz Stalina i Hitlera rozpętał II wojnę światową, której początkiem był nowy rozbiór Europy. Putin twierdzi, że współcześnie narody europejskie zdołały przezwyciężyć wrogość, zbudować wzajemny szacunek i zaufanie oraz obrać kurs na integrację, a „kolosalną rolę" dla stworzenia takiej Europy odegrało – zdaniem Putina – pojednanie między narodem rosyjskim a Niemcami. W tej sielankowej wizji znika ukraińska wojna i setki operacji dywersyjnych przeprowadzanych przez rosyjskie służby specjalne w kilkudziesięciu państwach na Starym Kontynencie.

Jak sowiecka propaganda

Chwaląc zasługi niemieckich przedsiębiorstw, które jego zdaniem były „pionierami" współpracy z Rosją, pisze o wspólnych „wspaniałych projektach, jak Nord Stream". Człowiek, który stoi za mordami politycznymi na całym świecie, uderza w ton wielkiego moralizatora. „Mieliśmy nadzieję, że koniec zimnej wojny będzie oznaczać zwycięstwo dla całej Europy" – pisze. Twierdzi, że Rosja chciała zbudować swoje stosunki z Europą, kierując się „logiką stworzenia wielkiej Europy, która byłaby połączona wspólnymi wartościami i interesami". Innymi słowy Rosja oczekiwała, iż po 1991 roku USA opuszczą Stary Kontynent, a wówczas, w ramach nowego podziału stref wpływów, Niemcom przypadnie dominująca rola w Zachodniej Europie, a Rosja utrzyma swoją strefę wpływów w Europie Wschodniej. Twierdzi, iż „Zarówno my, jak i Unia Europejska mogliśmy wiele osiągnąć, idąc tą drogą. Jednak przebiła się inna kalkulacja. U jej podstaw leżało rozszerzenie Sojuszu Północnoatlantyckiego, który sam był reliktem zimnej wojny. Bowiem został stworzony dla konfrontacji tamtych czasów" – ocenia Putin. W rzeczywistości NATO powstało, aby obronić Europę od sowieckiej ekspansji.

Oskarżył też Zachód i USA o wybuch wojny na Ukrainie w 2014 roku i aneksję Krymu przez Rosję (sic!). Stwierdził dosłownie: „Dlaczego USA zorganizowały ten zamach stanu na Ukrainie i wystąpienie Krymu z państwa ukraińskiego?". A więc armia rosyjska wkroczyła na Krym nie decyzją Putina, lecz prezydenta USA, Obamy. Dokument ma w sobie bezczelność najbardziej ordynarnych publikacji sowieckiej propagandy, a mimo to nie został opatrzony żadnym odredakcyjnym komentarzem. Putin przy tym stwierdza: „Jesteśmy otwarci na uczciwe i kreatywne współdziałanie. To akcentuje też nasza inicjatywa stworzenia wspólnej przestrzeni współpracy i bezpieczeństwa od Atlantyku po Pacyfik, która mogłaby zawierać różne formy integracji, m.in. Unię Europejską i Euroazjatycką Unię Gospodarczą" – zapewnia Putin. „Chcę jeszcze raz podkreślić: Rosja opowiada się za odbudową całościowego partnerstwa z Europą. Jest wiele tematów wspólnego zainteresowania: bezpieczeństwo i strategiczna stabilność, zdrowie i edukacja, cyfryzacja, gospodarka energetyczna, kultura, nauka, technologia rozwiązania problemów klimatycznych i środowiska" – wylicza. I podkreśla, że w zmieniającym się i pełnym nowych wyzwań świecie nie można sobie pozwolić na to, by wlec za sobą „ciężar dawnych nieporozumień, urazów, konfliktów i błędów". „Naszym wspólnym i bezspornym celem jest zapewnienie bezpieczeństwa kontynentu bez linii podziałów i jednolitej przestrzeni współpracy na równych prawach oraz wspólny rozwój w duchu dobrobytu Europy i całego świata" – konkluduje rosyjski prezydent.

Uzgodniona akcja Berlina i Moskwy

Zaledwie dzień po publikacji Putina, która była w istocie projektem stworzenia wspólnej przestrzeni europejskiego bezpieczeństwa bez NATO i USA, „The Financial Times" ujawnił, że kanclerz Merkel przekonała prezydenta Macrona, aby razem nakłonili państwa UE do zaproszenia prezydenta Rosji na najbliższy szczyt liderów krajów Unii Europejskiej. Jak zauważał Marek Budzisz: „W ten sposób zostałby przywrócony format regularnych konsultacji »na szczycie« między państwami Unii a Federacją Rosyjską, który zawieszony został po aneksji Krymu i rosyjskiej agresji na wschodzie Ukrainy". Brytyjska gazeta ujawniła, iż Berlin od pewnego czasu przygotowywał się do tej operacji. W tym celu premier Włoch, Mario Draghi, odwiedził niedawno kanclerz Merkel, aby budować ów „front poparcia" dla polityki zbliżenia z Moskwą. „The Financial Times" twierdzi, iż podczas ostatniego pobytu Antony'ego Blinkena, amerykańskiego sekretarza stanu w Berlinie, ta sprawa była też konsultowana z Waszyngtonem. Marek Budzisz zauważa: „[...] póki co, nie ma jasności co do tego, czy propozycja złożona przez Angelę Merkel jest elementem niemiecko-amerykańskiej gry mającej na celu osłabienie związków Moskwy i Pekinu, czy raczej mamy do czynienia z próbą budowania przez Europę samodzielnej linii politycznej wobec Federacji Rosyjskiej". W wielu stolicach europejskich zawrzało. Ujawniono też, że w dniu publikacji artykułu Merkel odbyła długą rozmowę z Putinem. Dopełnieniem dnia, który zdawał się wywracać do góry nogami całą kontynentalną geopolitykę, był komunikat rosyjskiego Ministerstwa Obrony, że rosyjskie samoloty ostrzelały ostrzegawczo brytyjski niszczyciel „Defender", a rosyjskie Su-24M zrzuciły cztery bomby na kursie okrętu, który rzekomo miał naruszyć w okolicach Krymu rosyjskie granice wód terytorial-

eprasa.pl 6b6c684efd

nych. Zachód nie uznaje jednak aneksji półwyspu, a więc z punktu widzenia prawa międzynarodowego Rosja próbuje siłą egzekwować fakt grabieży obszaru innego państwa. To była jasna puenta owego artykułu Putina – Moskwa nadaje sobie własne prawo do ekspansji terytorialnej. Ale tym razem twarda odpowiedź 10 państw Unii na swoisty geopolityczny „zamach stanu" forsowany przez Merkel, storpedowała plany Berlina. Putin nie został zaproszony na szczyt Unii. Ale ani Berlin, ani Moskwa nie zamierzają zrezygnować z nowej wizji podziału Europy.

Putinowski imperializm

W rzeczywistości Putin w „Die Zeit" proponuje geopolityczną apokalipsę, coś, co w swojej istocie odwołuje się do ducha Paktu Ribbentrop–Mołotow. Symbolem bowiem nowego porządku ma być polityczno-gospodarcza oś Rosji z Niemcami wsparta na militarnym porozumieniu Moskwy i Brukseli. To świat imperiów, które mają złamać kości państwom Europy Środkowej. Artykuł pojawia się po serii decyzji prezydenta Joego Bidena, które uruchomiły procesy globalne mogące zbawić świat lub doprowadzić do katastrofy Zachodu. W 2014 roku, gdy Putin dokonał siłą aneksji terytorium swojego sąsiada, S. Frederick Starr i Svante E. Cornell ukazali zasadnicze elementy Wielkiej Strategii Putina. Jak zauważali wówczas, to Zachód „stworzył" owe karykaturalne, współczesne imperium Putina. Konsekwentnie czołowe ośrodki analityczne i większość polityków po rozpadzie ZSRS wierzyło w paradygmat, zgodnie z którym Rosja miała stać się częścią demokratycznego świata. Zbigniew Brzeziński dowodził przy tym, w „Wielkiej Szachownicy" w 1997 roku, iż Moskwa nie ma innej drogi. W obliczu szybko rosnącego chińskiego potencjału Rosja skazana jest na systemową integrację z zachodnim światem. W imię tej politycznej iluzji wybaczano Borysowi Jelcynowi pacyfikację Czeczenii i stworzenie tam współczesnych obozów koncentracyjnych. Wszystko w imię wiary, że Rosja w końcu stanie się demokracją. Nie dostrzegano, iż właściwie po 1993 roku, a więc po wojnie o władzę między parlamentem a prezydentem, negatywnie został w FR rozstrzygnięty dylemat dotyczący wyboru między demokratycznym państwem a odbudową imperium. Ten mit przetrwał w strukturach siłowych, gdzie rosło oczekiwanie na nadejście wodza. Jeszcze w 1995 roku w Moskwie odbyło się międzynarodowe forum „Czy potrzebny jest Hitler Rosji", poświęcone analizie doświadczeń rosyjskiego społeczeństwa posttotalitarnego. Nie dostrzegano na Zachodzie tego stopniowego dryfowania państwa ku autorytaryzmowi i rosnącej frustracji rosyjskich służb pragnących rewanżu na Zachodzie za klęskę rozpadu imperium. Dlatego dojście do władzy Putina miażdżąca większość ośrodków analitycznych odebrała jako wzrost przewidywalności Rosji i silny impuls do ewolucji państwa w stronę Zachodu. S. Frederick Starr i Svante E. Cornell zwracają uwagę, iż już jako prezydent-elekt Putin dawał dowody, że ma imperialną wizję Rosji. Wynika ona nie tylko z jego przeszłości w KGB, lecz także z radykalnie brutalnego sposobu, w jaki przeprowadził II wojnę w Czeczenii. Jak zauważają Starr i Cornell: „Dopiero stopniowo stało się oczywiste, że Putin skupił się na przywróceniu tego, co określił jako integralność geograficzną i honor państwa rosyjskiego. I jeszcze więcej czasu zajęło całemu światu zrozumienie, jak daleko był gotów posunąć się w dążeniu do tego celu". Uważają oni za wielką porażkę zachodnich polityków i służb wywiadowczych ten brak właściwego odczytywania strategii Putina.

Paradoks strategicznej ślepoty

Największym paradoksem jest fakt, iż większość analityków i polityków Zachodu twierdziła nawet, że Putin nie ma żadnej strategii. Jego zachowania są jedynie reakcją na zachodzące wydarzenia. George Friedman w „Następnej dekadzie" zwraca uwagę, że w momencie rozpadu ZSRS Rosja nie utraciła tego, co można nazwać kluczem do jej marzeń o restytucji imperium – owych obszarów, które sir Halford Mackinder nazwał sercem Eurazji – Hartlandu. Dla rosyjskich elit ten element poglądów Mackindera traktowany jest jako objawienie – w tej części, która dotyczy władztwa nad Hartlandem jako niezbędnego warunku, by osiągnąć panowanie nad Eurazją, stać się największą lądową potęgą na globie, a w konsekwencji osiągnąć panowanie nad światem. Putin, jako typowy produkt KGB, jest wychowany w kulcie przestrzeni. Po upadku ZSRS Rosja nadal pozostała największym obszarowo państwem na naszej planecie. To, co było najboleśniejsze dla Moskwy w momencie rozpadu sowieckiego państwa, dotyczyło w pierwszym rzędzie utraty ogromnej liczby ludności – niemal połowy populacji imperium. Trzeci „naród" globu, tzw. naród radziecki, zniknął w ciągu jednego dnia. Z owych imponujących 293 mln pozostała połowa, około 148,5 mln. To był realny rozmiar doznanej katastrofy. Terytorialnie nie był to już taki szok – Rosja utrzymała 76,5 proc. ziem sowieckiego imperium. Fakt ten, na co trafnie zwraca uwagę Friedman, dawał nadzieję pokoleniu aparatu państwowego i służb wychowanemu w kulcie wielkiej przestrzeni, na odbudowę imperium. Na Zachodzie zwykle wyjątkowo nietrafnie odczytuje się epokę Jelcyna. Rosyjskie struktury siłowe doceniają to, że uchronił państwo przed dalszym rozpadem, a potem przekazał je w ręce siłowików. Zadecydowała też

eprasa.pl 6b6c684efd

polityka USA. Stany Zjednoczone czynnie zaangażowały się w obronę rosyjskiej integracji. Obawiały się czarnej dziury geopolitycznej w centrum Eurazji. Pisał zresztą o tym Zbigniew Brzeziński. Rozpad państwa dysponującego ogromnym arsenałem atomowym, położonego ponad islamskim półksiężycem ciągnącym się od Pakistanu w Azji do państw Maghrebu na Północnym Zachodzie Afryki, byłby koszmarem dla światowego systemu bezpieczeństwa. Ani USA, ani Europa nie były zainteresowane takim scenariuszem. Gdy Rosja przetrwała pierwsze lata po implozji ZSRS, targana separatyzmami na wschodzie państwa i dążeniami wielu republik autonomicznych do uzyskania pełnej lub częściowej odrębności, a Białoruś, Kazachstan i Ukraina zgodziły się na przekazanie Moskwie swojego arsenału atomowego odziedziczonego po ZSRS, co zrobiły pod presją wszystkich stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ, którzy też zagwarantowali integralność terytorialną tym państwom, USA pozostawiły Rosję samą sobie.

Imperatyw ekspansji

Na długo przed pojawieniem się Putina na szczytach władzy w Rosji wskazywano, iż FR zmierza w tę stronę. W 1996 roku Caspar Weinberger, były szef departamentu obrony USA w czasach prezydentury R. Reagana, i Peter Schweizer, amerykański historyk i konsultant polityczny, wydali książkę „Następna wojna światowa". Jeden z pięciu scenariuszy globalnych konfliktów ukazywał ekspansję Rosji, którą zapoczątkował atak na Polskę w 2006 roku. Było to wynikiem dojścia w 2000 roku w FR do władzy generała, który „Obiecywał nie tylko stabilność wewnętrzną, lecz także odbudowę wspaniałego imperium z przeszłości". Analitycy Pentagonu stosunkowo trafnie oddali sam mechanizm, który spowodował dojście do władzy na Kremlu struktur siłowych. Jednak zamiast generała armii, w realnym życiu pojawił się podpułkownik KGB. Dwa dni przed wyborami, 24 marca 2000 roku, Putin udzielił wywiadu Natalii Geworkian i Andiejowi Kolesnikowi. Dziennikarze zapytali się go, czy nie boi się wyroku śmierci, jaki wydali na niego czeczeńscy bojownicy. Putin odpowiedział: „Takich gróźb nigdy nie wolno się bać. To tak jak z psem. Wiecie pewnie, że pies czuje, kiedy ktoś się go boi, i wtedy na pewno ugryzie. Tak i tutaj. Zaczniesz się miotać – poczują, że są najsilniejsi. Tu tylko jeden sposób może dać efekt – natarcie. Bij pierwszy, i tak, żeby przeciwnik już nie wstał". W istocie to coś więcej niż jedynie gra o poparcie wyborców. Te słowa dają klucz do zrozumienia, dlaczego Putin tak często sięga w relacjach międzynarodowych do metody zastraszania drugiej strony. Bezsprzecznie ówczesne pokolenie polityczno-siłowych struktur państwa nie było przystosowane do budowy nowoczesnej demokracji. Nadal funkcjonowali w paradygmacie imperialnym i utrwalili go na kolejne dekady w rosyjskim społeczeństwie. Richard Pipes w artykule „Sowiecka strategia globalna" stwierdził, iż „ze wszystkich europejskich krajów Rosja ma nie tylko najstarszą i najtrwalszą tradycję imperialnej ekspansji, lecz także odznacza się największą konsekwencją w utrzymywaniu raz zdobytych terytoriów". Wskazał też na metodę stosowaną przez Rosję: „Każde nowe terytorium staje się natychmiast częścią niezbywalnego »patrymonium« i zostaje prędzej czy później wcielone do »ojczyzny«. Każde wymaga nowego buforu, który chroniłby je od rzeczywistego czy wyimaginowanego wroga, dopóki ów bufor także nie zostanie w końcu wcielony do »ojczyzny« – a wtedy znów wymaga nowego buforu...". Putin jest w pełni wierny tej strategii. Istotne jest też, aby potencjalnych przeciwników utwierdzić w głębokim przekonaniu, że to, co Rosja zagarnie, nigdy nie odda.

Oś Berlin–Moskwa i geopolityczny sojusz

W strategii Putina od początku Berlin odgrywał kluczową rolę. Jej elementem była doktryna Falina-Kwicińskiego o uzależnieniu energetycznym Europy Zachodniej od rosyjskich surowców – ropy i gazu. Surowce energetyczne miały zastąpić siłę rosyjskich czołgów. Wiktor Czernomyrdin, rzeczywisty twórca Gazpromu, któremu Putin zlecił także „projekt ukraiński", miał też znaczący wpływ na budowę w pierwszej fazie geopolitycznej osi Berlin–Moskwa. Sam Putin uważał, że Niemcy są kluczem do sfinansowania wielkiego projektu modernizacji rosyjskiej armii i unowocześnienia rosyjskiej gospodarki w zamian za dostawy surowców energetycznych. Niemcy także konsekwentnie, jeszcze od czasów strategicznego zwrotu z 1969 roku na wschód, którego dokonał kanclerz Willi Brandt, realizowali swoją Ostpolitik wobec Rosji. Putin doskonale rozumiał, że gra na Berlin to potencjalna możliwość równoczesnego stopniowego osłabiania pozycji USA i NATO w Europie. Ten współczesny dylemat strategiczny doskonale ukazuje wypowiedź Henry'ego Kissingera z epoki prezydenta Nixona, gdy USA zdecydowały się nie blokować zbliżenia FRN z sowieckim imperium. Tak o tym pisał: „Gdyby jednak Niemcy, kraj o największym potencjale gospodarczym w Europie, a zarazem państwo mające najwięcej pretensji terytorialnych, podjęły próbę zmiany powojennego ładu, konsekwencje tego byłyby niezwykle poważne. Kiedy więc Brandt ujawnił zamiar działania na własną rękę na Wschodzie, administracja Nixona doszła do przekonania, że lepiej będzie udzielić mu poparcia, bo próba przeciwdziałania pociągała za sobą ryzyko rozluźnienia

eprasa.pl 6b6c684efd

więzi Republiki Federalnej z NATO i Wspólnym Rynkiem". Putin jest przekonany, iż oba państwa są skazane na geopolityczny sojusz. Dlatego już 16 czerwca 2000 roku, a więc zaledwie kilka miesięcy po swoim zaprzysiężeniu, pojechał do Berlina. Zaproponował Schröderowi strategiczne partnerstwo. Do jesieni 2005 roku, gdy Schröder utracił władzę kanclerską, spotkali się ponad 30 razy. Gdy w Berlinie rozpoczęła swoje panowanie Angela Merkel, inwestycją w Nord Stream 1 otworzyła Putinowi drogę do agresji na Ukrainę i opanowania Krymu, co przewróciło całą geopolitykę obszaru basenu Morza Czarnego.

Cofnąć się o krok

Strategicznym celem Putina jest gra na wypchnięcie USA z Europy i rozbicie spójności NATO. Ale gdy doszło do terrorystycznego ataku na World Trade Center w USA w 2001 roku, uznał, że to idealny moment, aby – za wsparcie dla USA w Afganistanie – odzyskać szczególną pozycję w relacjach z Waszyngtonem i osłabić Europę Wschodnią. Moskwa szybko dostrzegła zagrożenie, że USA rozbudują swój potencjał, przy okazji operacji afgańskiej, w Azji Środkowej. Putina zaniepokoiła szczególnie budowa amerykańskiej bazy w okolicy kirgiskiego Biszkeku. Wybuch rewolucji róż w Gruzji w listopadzie 2003 roku, „pomarańczowego" zrywu na Ukrainie w listopadzie 2004 roku i tulipanowej rewolucji w Kirgistanie w marcu 2005 roku, spowodowały prawdziwą histerię na Kremlu. S. Frederik Starr zauważa, iż z perspektywy Moskwy „wydarzenia te stanowiły jeden i dobrze skoordynowany spisek Zachodu w celu podkopania promoskiewskich reżimów w imię »demokracji« i samorządności". Starr twierdzi, że spowodowały one powstanie na Kremlu nowej, bardzo agresywnej strategii wobec USA i Zachodu. Dowodem na to ma być wypowiedź Putina z 24 kwietnia 2005 roku, że upadek ZSRS był niczym innym jak „największą geopolityczną katastrofą stulecia". W rzeczywistości wydarzenia te jedynie przyspieszyły proces przygotowań Rosji do realizacji strategii imperialnej. Putin nie zmienił celu, lecz dokonał zasadniczej zmiany taktycznej. Jego polityka stała się zdecydowanie antyzachodnia, prochińska. Starr zauważa, iż tej zmiany nie dostrzeżono w USA. Paradoksalnie cały czas obowiązywał tam paradygmat postrzegający Rosję w kategoriach regionalnego partnera. Co bardziej zaskakujące – nawet agresja Rosji na Gruzję nie zmieniła tego przekonania. Co więcej, USA odbierały szereg działań nowego prezydenta FR, Dmitrija Miedwiediewa, jako dążące do współpracy z Waszyngtonem w sprawie sankcji wobec Iranu, wypracowanie kompromisu z NATO w sprawie obrony przeciwrakietowej czy współdziałania w Afganistanie. Analizując przyczyny ogłoszenia wówczas resetu przez USA, Frederik Starr stwierdza, że według ocen Waszyngtonu Rosja 2009 roku uległa zasadniczej, pozytywnej zmianie „To z kolei wzmocniło założenia administracji Obamy, że problemem była polityka amerykańska, a nie Rosja" – zauważa analityk. Dlatego uznano, iż przyczyna tkwiła w tym, iż „administracja Busha była niepotrzebnie antyrosyjska i... niewłaściwie interpretowała działania Rosji". W konsekwencji – jak pisze Starr – „administracja Obamy założyła, że jeśli Waszyngton cofnie się o krok w przestrzeni postsowieckiej, tak samo uczyni Moskwa. Ale rzeczywistość była odwrotna: cokolwiek zdarzyło się w innych obszarach, przestrzeń postsowiecka była obszarem, w którym rosyjska polityka się nie zmieniła".

Reset Obamy wzmocnił rosyjski imperializm

W praktyce szybko też okazało się, iż Rosja Miedwiediewa traktowała reset jako uzyskanie przez USA rosyjskiej „strefy uprzywilejowanych interesów". Co prawda Waszyngton twierdził, iż nigdy nie zgodzi się na takie rozwiązanie, ale Rosja uznała, że sama polityka resetu jest takim realnym potwierdzeniem, usankcjonowaniem owej przestrzeni wyłącznych rosyjskich wpływów. Starr stwierdza, iż polityka resetu „przyniosła spektakularny skutek" – radykalnie odmienny od założonego. Zamiast wprowadzenia po stronie Rosji polityki poszanowania dla suwerenności obywateli, był to „impuls dla rosyjskich rewizjonistów, którzy doszli do wniosku, że mają zielone światło, aby przywrócić rosyjską kontrolę nad byłym Związkiem Radzieckim". Starr twierdzi, że to reset pchnął potem Putina do realizacji za wszelką cenę wielkiego projektu politycznego Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej, która miała być imperialną odpowiedzią Rosji na Unię Europejską. Wykorzystywał w tym celu presję polityczną i argument siły, aby przekonać państwa do tej inicjatywy. Wojna i agresja na Ukrainę były więc konsekwencją jej odstąpienia od wejścia do EUG i deklarowania przez Kijów chęci przystąpienia do UE. Starr zauważa, iż USA zbyt późno zorientowały się, że Putin zmierza do zbudowania nowego bloku wschodniego, którego elementem ma być EUG. Hillary Clinton, tuż przed opuszczeniem swojego stanowiska jako sekretarza stanu w ekipie Obamy, w jednym ze swych ostatnich publicznych wystąpień, 6 grudnia 2012 roku stwierdziła: „Nie popełnijmy tego błędu. Wiemy, jaki jest cel (EUG) i staramy się znaleźć skuteczne sposoby, aby go spowolnić lub mu zapobiec". Ostrzegła, że EUG to „wysiłek ponownej sowietyzacji" byłej przestrzeni radzieckiej.

Biden – z perspektywy Putina

Biden, podobnie jak Obama, próbuje polityki dwutorowej wobec Rosji. Chce sprowadzić relacje do polity-

eprasa.pl 6b6c684efd

ki transakcyjnej. Ale to jest ten scenariusz, który odpowiada Moskwie, która ograła w ten sposób Obamę i cały Zachód. Z perspektywy Putina to, do czego dąży, a więc ponowna konsolidacja tego, co uważa za historyczne ziemie rosyjskie, ma przypominać to, co zrobił Bismarck, gdy doprowadził do konsolidacji niemieckich państw. Kreml uważa, że w każdym wielkim projekcie geopolitycznym nieuniknione było użycie siły. Jeśli nie napotka oporu, będzie dalej realizował tę strategię. Za cenę pogorszenia relacji z Zachodem w wyniku wojny w 2014 roku Rosja opanowała teren o ogromnym potencjale strategicznym – dokonała skutecznej ekspansji terytorialnej. Nie naruszyło to przy tym jej strategicznych interesów z Niemcami, a osłabiło amerykańską wiarygodność. Biden idzie drogą Obamy. Popełnia też błąd wobec Rosji, jaki popełnił Roosevelt po II wojnie światowej, gdy chciał włączyć ZSRS do budowy powojennego ładu i bezpieczeństwa. Truman chciał kontynuować tę linię. Waszyngton uważał, iż Stalin, aby odbudować zniszczony kraj, musi szeroko otworzyć się na współpracę gospodarczą. Jednak wbrew przewidywaniom, że będzie możliwe uzyskanie pewnych ustępstw za cenę wsparcia finansowego, Stalin stawiał kolejne żądania ustępstw terytorialnych kosztem Iranu, Turcji czy Japonii, nic nie oferując w zamian. Dopiero słynny telegram George'a Kenana wysłany z moskiewskiej ambasady USA w lutym 1946 roku zapoczątkował zwrot strategii USA i rozpoczęcie zdefiniowanej w telegramie polityki powstrzymywania (containment). Stała się ona na następne dekady podstawą działań Stanów Zjednoczonych wobec sowieckiego państwa.

Biden także naiwnie sądzi, że Rosja Putina potrzebuje otwarcia gospodarczego i można, na bazie politycznych transakcji, odsunąć Moskwę od Pekinu. Analiza Starra dotycząca klęski resetu Obamy wobec Rosji Putina bardzo przypomina diagnozę Kenana dotyczącą stalinowskiej Rosji. Kenan uważał za fałszywą tezę, iż kontynuacja współpracy USA–ZSRS zależy od Stanów Zjednoczonych i odpowiednia polityka amerykańska spowoduje, iż Stalin nie będzie jej przeciwny. Stąd wyciągano wniosek, iż niepowodzenia mają swe źródło w błędach popełnianych przez Waszyngton wobec Moskwy. Kenan stwierdzał: „Linia postępowania partii nie opiera się na żadnych obiektywnych analizach sytuacji powstałej poza sowieckimi granicami [...] wypływa ona z podstawowych wewnątrzpaństwowych potrzeb zaistniałych przed wojną i w jej trakcie". Stawiał też radykalnie odmienną zasadniczą tezę: „Dla panującego w państwie sowieckim systemu wrogie otoczenie międzynarodowe jest jak życiodajny łyk świeżego powietrza. Stoimy w obliczu niesamowitego, wręcz priorytetowego zainteresowania państwa sowieckiego tym, by tworzyć wizerunek Sowietów jako kraju otoczonego zewsząd nieprzejednanymi wrogami". Jego zdaniem, po zakończeniu wojny i zniknięciu realnego zagrożenia dla ZSRS ze strony Niemiec i Japonii, Sowieci musieli wykreować nowych wrogów. Do tej roli wyznaczone zostały USA i W. Brytania. Kenan dowodził, że nawet pełne rozbrojenie USA, przekazanie amerykańskich sił powietrznych i morskich ZSRS i zapewnienie pełnej swobody działania amerykańskich komunistów na terytorium USA nie przekonałoby ZSRS do współpracy. „Moskwa nadal wietrzyłaby w tym jakiś podstęp, wciąż żywiąc złe przeczucia. [...] Jesteśmy przekonani, że podejrzliwość, w większym czy mniejszym stopniu, jest integralną częścią sowieckiego systemu". Dlatego jako filary nowej strategii wskazywał potrzebę otwartego ukazywania istniejących sporów z ZSRS, konieczność odbudowy potencjału militarnego, zaprzestania wszelkich ustępstw terytorialnych wobec Rosji.

Putin i strategia Rosji

Paradoksalnie diagnozy Kenana wydają się też dobrze opisywać obecne zachowania putinowskiej Rosji. Analiza obecnej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego Federacji Rosyjskiej z 31 grudnia 2015 roku jest nadal dokumentem obowiązującym w Rosji. Jej punktem wyjścia jest założenie, iż FR osiągnęła status realnego mocarstwa zdolnego do kształtowania ładu międzynarodowego zgodnego z interesami Rosji. Dlatego celem Kremla winno być „stworzenie sprzyjających warunków wewnętrznych i zewnętrznych do realizacji interesów narodowych i strategicznych priorytetów Federacji Rosyjskiej". Z dokumentu tego wynika, iż Rosja dążyć będzie do dalszej eskalacji napięcia. Jest ono traktowane jako narzędzie służące utrzymaniu władzy poprzez konsolidację oraz mobilizację społeczeństwa i wzmacnianie tendencji izolacjonistycznych (daleko idące podobieństwa do diagnozy Kenana), Rosja jest też przygotowana na długotrwałe złe relacje z Zachodem. Kreml uważa, iż USA i jej sojusznicy, w tym Polska, stanowią dla niej wielkie zagrożenie. Europa jest traktowana w tym dokumencie jako obszar wielkiej gry między FR a USA. Rosja ukazana jest jako państwo otoczone przez wrogów, wobec których Moskwa stawia opór. Zachód bowiem – według ocen prezentowanych w dokumencie – nie może tolerować faktu, iż Moskwa prowadzi „niezależną i autonomiczną politykę zagraniczną". Stąd nowy plan obrony (dokument co prawda tajny, ale pewne jego omówienia pojawiły się w rosyjskich mediach) – z uwagi na ocenę rosnącego zagrożenia ze strony USA i NATO – wzmacnia siły na zachodnim i południowo-zachodnim oraz arktycznych kierunkach strategicznych. Kluczowym elementem planu obrony wydaje się konfrontacja zbrojna Rosji z USA i NATO.

eprasa.pl 6b6c684efd

W samej strategii często definiowane jest zagrożenie jako poważna groźba wybuchu konfliktu, a nie jedynie obawa przed jego wybuchem. Putin wyzwala więc lęk przed wojną jako narzędzie dyscyplinowania społeczeństwa i utrzymywania się u władzy. Ten mechanizm zastosował Putin, idąc na wojnę z Czeczenią w 1999, Gruzją w 2008, Ukrainą w 2014 i Syrią w 2015 roku. Jak zauważają autorzy raportu przygotowanego w 2018 roku dla senackiej komisji spraw zagranicznych USA pt. „Asymetryczny atak Putina na demokrację w Rosji i Europie: implikacje dla amerykańskiego bezpieczeństwa narodowego": „Te konflikty odzwierciedlają prawie dwudziestoletni schemat prowadzenia przez Kreml podobnych »małych« wojen w celu osiągnięcia wewnętrznych celów politycznych, ujawniając bezpośredni związek między zewnętrzną agresją rosyjskiego państwa a wewnętrznym uciskiem obywateli i tłumieniem ich oporu, aby rosyjskie społeczeństwo wspierało wojny za granicą i odwracało uwagę od przestępczości reżimu i korupcji panującej w kraju. Nadrzędnymi celami Putina... jest zachowanie władzy i zwiększenie własnych zasobów, i wydaje się, że obliczył on, że jego reżim może to najlepiej zrobić, zawyżając swoje społeczne notowania za pomocą agresywnego zachowania za granicą". Autorzy raportu zauważają, iż ta filozofia przetrwania jest co prawda skuteczna z punktu widzenia samego Putina, lecz stanowi poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa na świecie. Zauważają, iż „nie wystarczy sprzedawać konieczność kolejnych rosyjskich interwencji zagranicznych tylko na potrzeby krajowej opinii publicznej i delegitymizować lub uciszać wszelkie rosyjskie głosy, które pojawiają się na opozycji. Aby Putin odniósł sukces, potrzebuje również podzielonej opozycji za granicą. W tym celu Kreml udoskonalił swój arsenał operacji destabilizujących w kraju i wprowadził go na rynek globalny. Chociaż stosowane metody mogą się różnić w poszczególnych państwach, cele są takie same: zasiać nieufność i zamieszanie, promować radykalne nurty we wszystkich kwestiach mogących destabilizować demokracje ".

Strategia ekspansji

Istotą strategicznego myślenia Putina jest ekspansja. Putin zdiagnozował, że Zachód jest nieodporny na siłę. Nie umie sobie z nią dawać rady. Obawia się jej. Ekipa Bidena, podobnie jak Obama, zdaje się wyczekiwać, iż imperialny projekt realizowany przez Rosję, ze względu na jego anachronizm, sam ulegnie autodestrukcji. Ale to nie powstrzyma Moskwy przed sprawdzeniem w praktyce, czy nowe imperium może się realnie odrodzić. Cała polityka Rosji zacznie się opierać na używaniu brutalnej siły – wobec Gruzji, Kirgistanu, Białorusi, Ukrainy, Litwy, Łotwy, Estonii. Ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich Marek Menkiszak w listopadzie 2019 roku stwierdził: „Zasadnicze cele rosyjskiej polityki bezpieczeństwa europejskiego pozostały niezmienne: strategiczna kontrola nad obszarem postradzieckim, istnienie strefy buforowej bezpieczeństwa w Europie Środkowej oraz przekształcenie istniejącego, opartego na NATO, systemu bezpieczeństwa w Europie w sposób maksymalizujący wpływy Rosji (polityczne i w sferze bezpieczeństwa) i minimalizujący wpływy USA. Zmianie i dywersyfikacji uległy natomiast metody i rozwiązania instytucjonalne, za pomocą których Moskwa próbowała powyższe cele osiągnąć". Autor dodawał przy tym: „Z dzisiejszej perspektywy można stwierdzić, iż żaden z nich nie został zrealizowany. Co więcej, prowadzona z inicjatywy prezydenta Władimira Putina agresywna i rewizjonistyczna polityka zagraniczna i bezpieczeństwa doprowadziła do kryzysu w stosunkach z Zachodem, pod niektórymi względami poważniejszego nawet niż w okresie zimnej wojny. Obecnie Moskwa stoi przed wyborem: czy utrzymać dotychczasowy konfrontacyjny kurs swojej polityki lub nawet go zaostrzyć, czy też szukać odprężenia z Zachodem. Bez zasadniczych zmian w polityce wewnętrznej nie wydaje się jednak możliwe, aby aktualny kurs Rosji uległ wyraźnej korekcie". Putin w tekście opublikowanym przez „Die Zeit" pokazuje, że nie ma zamiaru zrezygnować z projektu imperium i podziału Eurazji na dwie potęgi kontrolowane przez Berlin i Moskwę. W istocie Putin już na konferencji Wałdajskiej w 2014 roku, po agresji na Ukrainę, zaproponował USA plan podziału świata według stref wpływów. Ale długookresowa strategia Putina odwoływała się do strategicznego sojusznika kontynentalnego – Niemiec. A więc do architektury sprzed I wojny światowej i powstaniu państw w Europie Środkowej, w tym odrodzenia Polski. Pakt Stalina z Hitlerem odwoływał się do takiej logiki. Dwa narody, które utopiły Stary Kontynent w morzu krwi, mają stać się gwarantami nowej jakości. Wyjaśnia to zbieżność w wielu elementach niemieckiej i rosyjskiej polityki kulturowej. Dziś ta nowa geopolityka wielkiej przestrzeni, która dwukrotnie doprowadziła do globalnej katastrofy, ma przynieść stabilność i bezpieczeństwo Europie za cenę samoistnego rozbrojenia się Europy, rozwiązania NATO i przyjęcia, że to parasol atomowy Rosji obroni Kontynent i Niemcy przed... USA? W swojej istocie Putin sięga do XIX-wiecznego imperatywu ekspansji jako fundamentu imperium. To łączy go z biznesem niemieckim opanowanym gorączką wielkiej ekspansji gospodarczej na wschód. Nord Stream 1 dał potężny impuls Rosji. Pozwolił ją militarnie wzmocnić i pobudzić do ekspansji na Ukrainę i dokonanej rewizji granic. Nord Stream 2 zabije suwerenną Ukrainę. Dokąd zaprowadzi nas droga, którą kroczą Berlin i Moskwa? ■

eprasa.pl 6b6c684efd

„Nie” dla edukacji pod okiem chińskich komunistów

Hanna Shen



Coraz więcej państw zdaje sobie sprawę, że chińskie instytuty Konfucjusza nie służą wyłącznie nauce języka, lecz są także ośrodkami chińskiej propagandy, cenzury oraz szpiegowania i dlatego trzeba je usuwać z uczelni. W tym kontekście projekt Viktora Orbána, by w Budapeszcie otworzyć chińską uczelnię, napotyka na silny sprzeciw nawet ze strony jego zwolenników.

egazeta.pl 6b6c684e1d

W artykule na łamach amerykańskiego konserwatywnego think tanku Heritage Foundation Lee Edwards nazywa Instytut Konfucjusza (IK) chińskim koniem trojańskim. „Instytuty Konfucjusza to współczesny odpowiednik konia trojańskiego, pozornie łagodny i apolityczny, ale zaangażowany w kształtowanie naszego zrozumienia autorytarnego przeciwnika".

Po masakrze na placu Niebiańskiego Spokoju w 1989 roku komunistyczne władze Chin Ludowych robiły wszystko, aby ocieplić swój wizerunek za granicą. Jeden z chińskich think tanków zasugerował wówczas prezydentowi Hu Jintao, aby władze położyły nacisk na chińską kulturę. Tak narodził się pomysł stworzenia Instytutów Konfucjusza zarządzanych przez Chińskie Biuro Międzynarodowej Promocji Języka Chińskiego (Hanban), które jest pod ścisłą kontrolą władz.

Wybielony obraz Chin

Komunistyczna Partia Chin przekonuje nas, że Instytut Konfucjusza jest podobny do Instytutu Francuskiego czy British Council, których działalność sponsorują rządy krajów reprezentowanych przez te instytucje. Państwa te płacą za wynajem biur w budynkach komercyjnych. Nie dochodzi więc do „przenikania się" owych instytucji z lokalnymi organizacjami. Nie ma żadnego rodzaju zależności pomiędzy instytutami a na przykład uczelniami w danym kraju. Instytut Konfucjusza działa inaczej. Zakłada swoje siedziby na czołowych uniwersytetach zagranicznych, przez co staje się częścią instytucji naukowej danego kraju. Jak uważa była australijska dyplomatka, a obecnie wykładowca na Uniwersytecie Sydney prof. Jocelyn Chey, właśnie taki układ pozwala władzom chińskim mieć bezpośredni wpływ na program danej uczelni i kierunek rozwoju studiów nad Chinami. Bliskie związki Instytutu Konfucjusza i lokalnych uczelni są też niepokojące ze względu na zatrudnianą tam kadrę z Państwa Środka. Większość tamtejszych studentów i naukowców przed wyjazdem na przykład do USA musi odbyć „spotkanie" z przedstawicielem chińskiej służby wywiadowczej. Z reguły wyjeżdżający nie są zmuszani do szpiegowania, ale mają bacznie się rozglądać i „przywozić wszystko, co uznają za użyteczne dla ojczyzny". Pracujący w instytutach nauczyciele są opłacani i rozliczani przez komunistyczny rząd Chin i dlatego łatwo ich zmusić do unikania „drażliwych" tematów.

„Instytuty Konfucjusza oferują wybielony obraz Chin, usuwając masakrę na placu Tiananmen, milion Ujgurów obecnie przetrzymywanych w obozach koncentracyjnych, prześladowania chrześcijan i muzułmanów przez rząd chiński oraz agresję Chin na Tybet – a nawet jakiekolwiek wzmianki o Tybecie. Tajwan, samorządna republika, którą Chiny uważają za swoją prowincję, jest albo całkowicie odsunięta na margines, albo pokazana na mapach jako część Chińskiej Republiki Ludowej" – twierdzi Rachelle Peterson z konserwatywnego Krajowego Stowarzyszenia Uczonych (NAS) w USA.

John Lenczowski, amerykański politolog oraz założyciel i prezes The Institute of World Politics (Instytut Polityki Światowej), uważa, że IK to nie tylko jedno z narzędzi chińskiej dezinformacji, propagandy, lecz także centrum działań szpiegowskich.

W 2019 roku zamknięto Instytut Konfucjusza na belgijskiej uczelni Vrij Universiteit. Towarzyszył temu wydarzeniu skandal, albowiem jeden z pracowników IK został oskarżony o rekrutację agentów dla chińskich służb specjalnych.

Pracownicy IK byli także wykorzystywani do inwigilacji chińskich chrześcijan, którzy przybyli na Światowe Dni Młodzieży w Krakowie w 2016 roku. Katolicka agencja prasowa AsiaNews przytaczała wtedy słowa swojego korespondenta, który spotkał w Krakowie grupę rzekomych chińskich chrześcijan. Przedstawili się oni jako katolicy z prowincji Hanoi, jednak nie potrafili przytoczyć nazwiska biskupa swojej diecezji. Na pytanie dziennikarza, czy przyjechali do Polski z księdzem, grupa odpowiedziała, że „nie potrzebowała żadnego z nich". Zdaniem agencji, grupę rzekomych pielgrzymów stanowili agenci pracujący na co dzień w instytutach Konfucjusza i w chińskich firmach. Ich zadaniem podczas ŚDM było zbliżenie się do grup chińskich pielgrzymów i zebranie o nich jak najwięcej informacji, które potem trafią do władz w Pekinie.

Pożegnanie z chińskimi instytutami

Widząc zagrożenie, jakie instytuty Konfucjusza stanowią dla wolności akademickiej, dla prawdy o łamaniu praw człowieka przez Chiny i dla bezpieczeństwa, administracja Trumpa zaproponowała, aby amerykańskie uczelnie i uniwersytety były zobowiązane do ujawniania wszelkich powiązań finansowych z IK. Nowe władze USA wycofały się z tego projektu, co według Rachelle Peterson jest sygnałem, że „administracja Bidena nie będzie traktować instytutów Konfucjusza poważnie".

Administracja Trumpa uznała też Instytut Konfucjusza za tzw. zagranicznego agenta (podobny status w USA mają m.in. rosyjska stacja Russia Today (RT) czy chińska gazeta „China Daily"), twierdząc, że przyczynia się on do rozprzestrzeniania propagandy chińskiego rządu i wywiera „szkodliwy" wpływu na studentów. „Instytuty Konfucjusza są częścią globalnych działań Komunistycznej Partii Chin i jej aparatu propagandy" – napisano wtedy w oświadczeniu Departamentu Sta-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 6b6c684efd

nu. To działanie Trumpa spowodowało, że mimo dezercji obecnych władz USA w obliczu zagrożenia ze strony IK, trudno już zatrzymać falę zamknięć instytutów na amerykańskich uczelniach. Do kwietniu bieżącego roku w Stanach Zjednoczonych zamkniętych zostało ponad 60 instytutów Konfucjusza. Nadal działa około 45. A amerykańscy kongresmeni już mają pomysł, co może być alternatywą dla kontrolowanych przez KPCh instytutów Konfucjusza.

W kwietniu bieżącego roku 21 republikańskich kongresmenów napisało list do sekretarza edukacji USA Miguela Cardony, proponując, by w tworzeniu programów nauczania języka chińskiego korzystać z doświadczeń Tajwanu. Ten pomysł popiera amerykański przedstawiciel na Tajwanie Brent Christensen. Uważa on, że skoro USA i Tajwan od lat prowadzą współpracę w zakresie edukacji, to „nadszedł właściwy moment", aby tę kooperację pogłębić poprzeć nadanie wyspie odpowiedniej roli w programie nauczania Amerykanów chińskiego.

Instytuty Konfucjusza znalazły się na celowniku także w innych krajach. Na początku czerwca japońskie władze zapowiedziały, że przeprowadzą inspekcje IK. Tokio obawia się, że instytucje te są nie tylko narzędziem propagandowym komunistycznych Chin, lecz także instrumentem szpiegostwa technologicznego.

Japońskie ministerstwo edukacji zapowiedziało, że zwróci się do uniwersytetów, które mają u siebie IK, by przedstawiły takie informacje, jak finanse, liczba uczestniczących studentów i czy IK interweniują w badania uniwersyteckie w Japonii, na przykład te dotyczące Tybetu, Tajwanu czy Ujgurów w Xinjiangu. „W krajach, które podzielają wspólne wartości, takich jak USA i w Europie, podejmowane są coraz większe wysiłki, aby zdobyć więcej informacji (nt. działalności IK) lub by zlikwidować instytuty" – powiedział japoński minister edukacji Koichi Hagiuda. „Wzywam do ujawniania informacji w celu zwiększenia przejrzystości w zakresie zarządzania organizacją i projektami badawczymi".

W 2020 roku instytuty Konfucjusza zamknięto m.in. w Niemczech (na Uniwersytecie Hamburskim i Uniwersytecie Heinricha Heinego w Düsseldorfie), w Szwecji (na Uniwersytecie Technicznym w Luleå) i w Szwajcarii (na Uniwersytecie w Bazylei).

Możliwość zamknięcia instytutów Konfucjusza ogłosiły w maju bieżącego roku także władze Australii.

▶ Węgrzy nie chcą chińskiej komunistycznej edukacji

Trend odcinania się od chińskich wpływów w edukacji nie dotarł jednak do wszystkich władz i państw. Premier Węgier Viktor Orbán, zacieśniający współpracę z komunistycznymi Chinami, chce wybudowania w Budapeszcie filii szanghajskiego Uniwersytetu Fudan.

Budowa szkoły ma zostać sfinansowana niemal w całości z wieloletniej pożyczki rządu węgierskiego w państwowym Chińskim Banku Rozwoju. Inwestycja ma kosztować 1,5 mld euro, czyli więcej niż wydano na funkcjonowanie całego systemu szkolnictwa wyższego na Węgrzech w 2020 roku.

Pomysł ten spotkał się z krytyką opozycji, mediów i świata nauki, w tym także osób dotąd popierających Orbána. Przeciwnicy projektu podnoszą te same argumenty, które padają przy instytutach Konfucjusza – chińska uczelnia na Węgrzech to zagrożenie dla wolności akademickiej, finansów i bezpieczeństwa państwa.

Uniwersytet Fudan uważany jest za dobrą uczelnię, ale wiadomo, że znajduje się pod całkowitą kontrolą KPCh. W 2019 roku uczelnia wykreśliła z dokumentu założycielskiego zapis o „poszanowaniu wolności myśli", a zamiast tego wpisała zdanie o podporządkowaniu się kierownictwu Komunistycznej Partii Chin i realizacji partyjnej polityki edukacyjnej.

W proteście wobec pomysłu Orbána, Gergely Karácsony, burmistrz węgierskiej stolicy mający ubiegać się o nominację na stanowisko kandydata na premiera Węgier, doprowadził do zmiany nazw ulic wokół terenu, gdzie ma powstać uczelnia. Nowe nazwy nie wywołują zadowolenia w Pekinie, bo są to ulice Dalajlamy, Męczenników ujgurskich, Wolnego Hongkongu, a także biskupa Xie Shiguanga, katolickiego męczennika, który spędził 28 lat swojego życia w chińskim więzieniu za to, że pozostawał wierny Ojcu Świętemu i nie chciał się podporządkować Patriotycznemu Stowarzyszeniu Katolików Chińskich kontrolowanemu przez KPCh.

W Budapeszcie doszło też do demonstracji sprzeciwiających się budowie chińskiej uczelni. To sprawiło, że Orbán poszedł na ustępstwo i zapowiedział, że na razie prace nad budową uczelni nie ruszą i że odbędzie się w tej sprawie referendum po wyborach parlamentarnych na Węgrzech w 2022 roku.

Bój o wolność akademicką bez komunistycznych wpływów z Chin nadal toczy się nie tylko na Węgrzech, lecz także w wielu innych miejscach, gdzie KPCh wciąż jest obecna w szkołach. Doris Liu, reżyserka filmu „W imię Konfucjusza" o instytutach Konfucjusza, wyświetlanego w wielu krajach przyczynia się do tego, że coraz więcej uczelni wycofuje się ze współpracy z IK, uważa, że to bój, który dotyczy każdego z nas, całego społeczeństwa.

„W Chinach byłam nauczycielką uniwersytecką, a w Kanadzie studiowałam pedagogikę. Rozumiem, jak ważną rolę odgrywa edukacja w każdym społeczeństwie, a zwłaszcza edukacja wyższa. Wolność akademicka i uczciwość to najważniejsze wartości w procesie edukacji. Gdy są one zagrożone, całe społeczeństwo jest zagrożone" – powiedziała Liu „Nowemu Państwu". ■

eprasa.pl 6b6c684efd



Ryszard Czarnecki

List do Unii Europejskiej

Szanowna Unio!

Co z Tobą? Co się dzieje? Czemu zmieniłaś się tak bardzo w ostatnich kilkunastu latach? Czy rzeczywiście jesteś dalej tą samą Unią, której pragnęli tak bardzo moi rodacy, przed 18 laty, gdy w referendum powiedzieli Ci sakramentalne TAK? Trzy czwarte z nich, nawet ponad, zaufało Ci i uznało, że chce iść przez życie z Tobą, choć przecież słyszało o różnych Twoich wadach czy, jakby to powiedzieć, dziwactwach. Niektórzy mówią, że Cię nie poznają. Wielu, że tak bardzo jesteś już różna od Twoich rodziców czy „ojców chrzestnych", że aż nie sposób w to uwierzyć, że to Twoi przodkowie!

Po kolei. Przypomnij sobie, jak było na początku. Jak się rodziłaś i po co. Czemu oczekiwano na Ciebie tak bardzo. Był to czas, gdy skończył się w końcu okres jednego totalitaryzmu: niemieckiego narodowego socjalizmu, ale drugi – sowiecki komunizm – trwał w najlepsze, ba, zagarniał kolejne kraje, a chciał jeszcze więcej i więcej. Narodziłaś się zatem jako sprzeciw wobec totalitaryzmów i ich wyznawców i zbirów jednocześnie – „totalsów". Czy dziś czasem, powiedz to szczerze, patrząc w lustro, sama nie ulegasz takim właśnie totalitarnym tendencjom? Miałaś być i byłaś – chwała Ci za to! – antidotum na czerwony walec, niedługo potem, jak udało się zniszczyć walec brunatny, który wszak zdążył pozbawić życia miliony Europejczyków, w tym 6 mln moich rodaków, współobywateli. Czy dzisiaj czasem nie stajesz się Ty takim walcem, który w imię nowej ideologii ma rozjeżdżać tych, którzy ośmielają się myśleć inaczej albo choćby stawiają li tylko głośno pytania, mówią o wątpliwościach? Albo nawet tylko – albo może „aż" – przypominają, że byłaś kiedyś inna, obiecywałaś rzeczy i wartości, w które dzisiaj nie wierzysz, ba, wycierasz w nie buty?

Czy jeszcze pamiętasz albo czy chcesz pamiętać raczej, co mówiłaś moim rodakom, zanim powiedzieli, że chcą z Tobą być? Na przykład to, że sprawa „aborcji", jak to się eufemistycznie nazywa, czyli mówiąc wprost zabijania dzieci nienarodzonych, to sprawa, którą regulują tak, jak tego chcą, poszczególne kraje członkowskie, a nie Ty, nie Twoi niewybierani przez nikogo, niemający demokratycznego mandatu urzędnicy. Pamiętasz, co wmawiałaś polskim biskupom, którzy odwiedzili Cię kilka miesięcy przed referendum akcesyjnym? Że każdy kraj urządza sobie swój dom, jak chce, gdy chodzi o sprawy moralne, obyczajowe, religijne – a Ty się tym nie zajmujesz, nie wtrącasz w to, nie ingerujesz? Gdy nasi biskupi zjawili się w Twoim domu, w gmachu Komisji Europejskiej, zdumieni pracownicy wychodzili na korytarze – wielu z nich pierwszy raz w życiu widziało kogoś w sutannie, a nikt nie widział nigdy wcześniej żadnego biskupa w tym gmachu. Dziś to my jesteśmy zdumieni. Tylko do końca nie wiemy, czy wtedy nas cynicznie okłamywałaś, grałaś, łudziłaś, manipulowałaś, udawałaś kogoś innego, aby pozyskać wielkie rynki zbytu i pomost dalej na Wschód, na rynki jeszcze większe? Czy może zmieniłaś się, sprzedałaś siebie i swoje korzenie, uznałaś, że tak się bardziej opłaca? Tylko że w rezultacie to i tak na to samo wychodzi. Czy jesteś kłamcą i cynikiem, czy „tylko" fundamentalnie zmieniłaś swoje opinie na fundamentalne, dla wielu ludzi przecież, sprawy?

Wszak nie tylko o wartości, ideały, korzenie chodzi. Chodzi także o sposób funkcjonowania. Budowałaś się i swoją siłę przez dekady na poczuciu partycypacji wszystkich krajów – tych bogatych i tych mniej zamożnych, tych największych i tych małych, tych, które Cię tworzyły od początku, i tych, które z różnych powodów dołączały do Ciebie po latach, ba, po dziesięcioleciach. Każde państwo miało różną siłę, oczywiście, ale każde miało prawo weta. To wydłużało proces decyzyjny, lecz wszyscy mieli poczucie, że to jest ICH projekt, że mają wpływ, że są ważni, nawet jeśli nie są najważniejsi. Od kilku lat odstąpiłaś od tego, Unio. Od lat forsujesz na siłę rozwiązania korzystne dla paru najważniejszych państw, inne popierają to ze strachu, bo przecież każdy chce dostawać od Ciebie pieniądze – i tak większość, może chwilowa, siłowo dominuje mniejszość. W ten sposób także zaprzeczasz sama sobie.

Ten list nie ma zakończenia. Sama je dopiszesz. Obawiam się, że w najgorszy możliwy sposób ... ■

eprasa.pl 6b6c684efd



„Jak ja was wszystkich nienawidzę!”
Ilnaz Galjawijew, lat 19

Antoni Rybczyński

Urodzeni mordercy. W putinowskiej Rosji

Rosyjskie media i politycy krytykują „zgniły Zachód” i wszelkie jego grzechy. Takie, jak choćby strzelaniny w szkołach. Tymczasem w samej Rosji władze nie potrafią poradzić sobie z narastającym problemem przemocy wśród uczniów. Co jakiś czas krajem wstrząsa informacja o kolejnej masakrze w szkole.

eprasa.pl 6b5c684efd

Ostatni atak miał miejsce 11 maja w jednym z gimnazjów w stolicy Tatarstanu – Kazaniu. 19-letni Ilnaz Galjawijew zastrzelił dziewięć osób (7 uczniów, 2 nauczycieli), rannych zostało 25 osób. Napastnik skończył tę właśnie szkołę cztery lata wcześniej. Miał problemy psychiczne. Tym razem nie skończyło się samobójstwem napastnika, został schwytany żywy. Ale znów okazało się, że dorośli nie zauważyli narastającego problemu i znów skończy się na paru lokalnych dymisjach. Tymczasem problem narasta, a władze nic z tym nie robią – zresztą same się do tego przyczyniają, propagując kult siły. Gdy w rosyjskich szkołach dochodzi do brutalnych ataków uczniów na kolegów i nauczycieli, winę zrzuca się na zgubny wpływ Zachodu. Tymczasem nastoletnia przestępczość w Rosji ma własne, przerażające oblicze. Po tragicznej strzelaninie w szkole w Kazaniu pojawiły się trzy przewidywalne rodzaje reakcji. Po pierwsze, wielu Rosjan postrzega to jako coś nowego w ich kraju. Po drugie, obawia się, że jest to rozprzestrzenienie się amerykańskiego problemu na Rosję. Po trzecie, nie wie, co można lub należy zrobić. Więc po pierwsze, to nie jest wcale nowy problem w Rosji. Mniej lub bardziej poważne incydenty z użyciem broni palnej czy białej w szkołach Federacji Rosyjskiej zdarzają się regularnie od lat. Po drugie, to, co dzieje się w rosyjskich szkołach, ma niewiele wspólnego z „amerykańskim importem" przemocy. Zdarzały się faktycznie przypadki inspiracji wydarzeniami z USA (z głośną masakrą w Columbii ne na czele), lecz zasadniczo to w samej Rosji istnieje kult siły i przemocy, wśród młodzieży popularna jest subkultura tzw. aueszników [wyjaśnienie w dalszej części tekstu – przyp. red.], zaś dostęp do broni jest dużo łatwiejszy niż sądzi się na Zachodzie. Jedyny punkt łączący Rosję i USA to niepewność i spory o to, jak reagować, jak zapobiegać brutalnej przemocy w szkołach.

▶ „Topornik z Sosnowego Boru"

Rzeź w Kazaniu to kolejny tego rodzaju akt brutalnej przemocy w szkole w Rosji. Dziesięć dni później zresztą, w mieście Bieriezniki (Kraj Permski) 16-letni uczeń napadł z nożem na nauczycielkę. Kobieta trafiła z ranami kłutymi do szpitala. Atak zakończył kłótnię, do której doszło między nastolatkiem a 74-letnią nauczycielką na lekcji fizyki. A co było wcześniej? Dwie ofiary śmiertelne, trzy osoby ranne – to bilans strzelaniny, do której doszło 14 listopada 2019 roku w Amurskim Koledżu Budownictwa i Gospodarki Komunalno-Mieszkaniowej w stolicy regionu, Błagowieszczeńsku. Największa dotychczas masakra miała jednak miejsce w październiku 2018 roku w szkole na okupowanym Krymie. 18-latek używając broni palnej i ładunków wybuchowych zabił 20 osób, po czym się zastrzelił.

W kwietniu 2019 roku sąd w mieście Perm na Uralu skazał 17-latka na siedem lat więzienia za atak z użyciem noża w styczniu 2018 roku. Rannych zostało wtedy 12 osób. Także w styczniu 2018 roku uczeń IX klasy w innym zakątku Rosji zaatakował siekierą kolegów. W 2017 roku nastolatek w Baszkortostanie wtargnął do szkoły i ugodził nożem ucznia i nauczycielką, po czym podpalił salę szkolną. Poważne obrażenia odniosła uczennica, która wyskoczyła z okna na piętrze. W styczniu 2018 roku do szkoły nr 127 w Permie weszli 17-letni Lew i 16-letni Sasza. Nastolatkowie udali się na drugie piętro, wyciągnęli noże i wtargnęli do sali, gdzie zajęcia z IV klasą prowadziła 47-letnia Natalia Szagulina. „Jeden stanął przy drzwiach, drugi w milczeniu zaczął zadawać ciosy nauczycielce. Gdy dzieci ujrzały nóż, zaczęły krzyczeć. Wtedy napastnicy zaatakowali także dzieci. Szagulina, już ociekając krwią, próbowała przeszkodzić napastnikom, odciągając ich od uczniów. Potem udało jej się otworzyć drzwi sali i krzyknąć do dzieci, żeby uciekały. Natalia trzymała drzwi, dopóki ostatni uczeń nie wybiegł" – to relacja jednego ze świadków. Inny mówił: „Niczego nie żądali, tylko się śmiali. W końcu jeden powiedział drugiemu: Zabij mnie. Wtedy zaczęli sobie zadawać ciosy w okolice szyi". Obaj przeżyli – trafili do tego samego szpitala co nauczycielka. Rannych zostało też dziewięcioro czwartoklasistów.

W tym samym miesiącu do tragedii doszło w Sosnowym Borze, na obrzeżach Ułan-Ude, stolicy Buriacji. Anton wtargnął do sali i zaatakował siekierą nauczycielkę i uczniów VII klasy. Ciężko zranił 41-letnią Irinę Ramienską, troje uczniów, po czym rzucił koktajlem Mołotowa i próbował popełnić samobójstwo. Wylądował w areszcie z zarzutem próby popełnienia wielokrotnego zabójstwa. Kilka dni później zatrzymano dwóch jego kolegów, którzy pomogli Antonowi przygotować atak. Wcześniej też nie brakowało podobnych aktów przemocy. We wrześniu 2017 roku uczeń IX klasy w podmoskiewskiej Iwantiejewce uderzył nauczycielkę tasakiem, po czym ostrzelał z broni pneumatycznej kolegów w klasie. Ranne zostały cztery osoby. W tym samym miesiącu na przedmieściach Krasnojarska uczeń VIII klasy napadł z nożem na 12-latka. W listopadzie

FOT. YEGOR ALEYEV/ PAP/TAR-TASS

eprasa.pl 6b6c684efd

2017 roku w Krasnojarsku zmarła uczennica VIII klasy, ciężko pobita przez rówieśniczki – na oczach co najmniej 20 uczniów. W grudniu zaś w Irkucku na szkolnym boisku 16-latek zasztyletował 15-latka.

„Młodzi gniewni"

Za każdym razem władza udaje, że nic się tak naprawdę nie stało. Napaści w szkołach łączy się ze złym wpływem Internetu, czerpaniem wzorów z Zachodu oraz poczuciem wyobcowania typowym u wielu nastolatków. Ale to polityka samych władz przyczynia się do takich dramatów. Wiadomo choćby, że rodzice jednego ze wspomnianych napastników z Permu dużo wcześniej sygnalizowali agresywne zachowanie syna. W 2017 roku kolejny raz zgłosili odpowiednim władzom, że nie mogą sobie poradzić z potomkiem. Regionalna komisja ds. niepełnoletnich zamiast pomóc, nałożyła na rodziców karę pieniężną.

Oficjalne dane wskazują, że za rządów Władimira Putina liczba wszystkich przestępstw popełnianych przez nieletnich spadła przeszło trzykrotnie. Problem w tym, że jednocześnie w tej kategorii wiekowej przybywa szczególnie ciężkich przestępstw. Tylko w latach 2010–2015 liczba dzieci popełniających przestępstwa i będących w tym czasie pod wpływem narkotyków wzrosła przeszło trzykrotnie. Rośnie odsetek recydywistów. Coraz powszechniejsze są rodzaje przestępstw wcześniej typowych dla dorosłych, m.in. z użyciem tortur. Z czego więc wynika wspomniany ponadtrzykrotny wzrost przestępczości? Mają na to wpływ dwa czynniki. Po pierwsze, demografia. Nastąpił spadek liczby młodzieży w wieku karalnym aż o połowę. Po drugie, bardzo wzrosła liczba przestępstw, które nie są notowane. Jest też inny ważny czynnik. Polityka władz doprowadziła do tego, że w ostatnich latach dramatycznie nasiliły się wśród Rosjan nacjonalistyczne, rasistowskie, ksenofobiczne nastroje. Na takim podłożu rozkwita kult siły i brak tolerancji, młodzi idealizują przestępcze życie i sięgają po odkurzone idee rosyjskich faszystów z ubiegłego wieku. Znajomy Antona, napastnika z Sosnowego Boru, mówi, że ten „często żartował z Buriatów, nawet w ich obecności i nie krył swego rasizmu", choć nie wykazywał fizycznej agresji. Tuż przed atakiem zmienił swój nick na bardziej rosyjsko brzmiący „Nikita Fiedorow". Z kolei pomagający mu w przygotowaniach napaści Aleksandr przyjął nick „Konstantin Rodzajewskij". Tak nazywał się jeden z twórców rosyjskiego faszyzmu. W latach 30. i 40. XX wieku stał na czele Wszechrosyjskiej Partii Faszystowskiej, założonej przez rosyjskich emigrantów w chińskiej Mandżurii. Został powieszony w 1946 roku przez sowieckie władze.

Wiadomo, że „topornik z Sosnowego Boru" był też pod wpływem młodzieżowej subkultury, szczególnie rozpowszechnionej na wschodzie Syberii. AUE to skrót od rosyjskich słów Wspólnota Więzień Karnych i dziś możemy mówić o jej trzeciej fali. Pierwsza to lata powojenne, rozkwit przestępczości i pojawienie się setek tysięcy „dzieci wojny", sierot, dla których często autorytetem byli kryminaliści, „wory w zakonie". Moda na AUE pojawiła się po raz drugi pod koniec lat 80. XX wieku. Teraz mamy trzecią falę. Większość Rosjan uświadomiła sobie to dopiero latem 2017 roku, gdy nad brzegiem Bajkału młodego sportowca Jurija Własкę zamordowali wyznawcy AUE. Ta subkultura wysławia tzw. społeczne pasożytnictwo („praca poniża"), kult siły, a nawet zachęca do rozbojów i kradzieży. W mediach społecznościowych pojawiają się – codziennie – dziesiątki grup poświęconych AUE. Należą do nich tysiące nastolatków. „Aueszniсy" wymuszają haracze na szkolnych kolegach. Pieniądze idą dla tych, którzy siedzą w więzieniu. Jeśli nastolatek nie chce płacić, idą do jego rodziców. Wielu wyznawców AUE zaraz po skończeniu szkoły popełnia przestępstwo, żeby jak najszybciej trafić za kraty i tam szczycić się życiem kryminalisty.

Winny jest reżim

Rosyjskie przepisy regulujące posiadanie broni są mieszanką zasad, z których niektóre są dość restrykcyjne, lecz łatwo je ominąć, podczas gdy inne są jeszcze mniej rygorystyczne niż te, które istnieją w innych krajach, w tym w Stanach Zjednoczonych. W Federacji Rosyjskiej istnieje wiele dróg do uzyskania pozwolenia na posiadanie broni – w zależności od jej rodzaju. Nie brakuje co prawda różnych przeszkód, ale są one łatwo pokonywane przez każdego, kto chce poświęcić na to czas. Uderzające jest to, że zwykłym Rosjanom łatwiej jest zdobyć pistolet na własny użytek niż siłowikom. Co trzeci funkcjonariusz mundurowy nie dostaje zgody na posiadanie prywatnej broni. Przykładem jednej z wielu luk w rosyjskim prawie regulującym kwestie posiadania broni jest brak jakichkolwiek limitów na

eprasa.pl 6b6c684efd

to, ile amunicji może zakupić dowolna osoba. Są też procedury pozwalające na import amunicji na prywatny użytek. To oznacza, że dana osoba posiadająca broń jest w stanie zgromadzić ogromną ilość amunicji, którą może następnie użyć bez żadnego nadzoru. Po każdej masowej strzelaninie w Rosji w ostatnich latach politycy wzywali do ściślejszej kontroli; ale pomimo ich wezwań, prawie nic się nie wydarzyło. W przypadku ostatniej strzelaniny – w Kazaniu – jedyną zmianą był zakup przez miejskie władze większej liczby kamer monitoringu na ulicach. Deputowani Dumy zareagowali za to apelem o „położenie kresu anonimowości w Internecie", aby „zredukować ilość treści promujących przemoc i gloryfikujących ekstremizm", a Putin polecił przygotować prawo zaostrzające handel bronią na użytek cywilny.

Reżim próbuje wykorzystać rzekomą walkę z przemocą w szkołach do celów politycznych, do inwigilacji młodego pokolenia, które dziś Putin postrzega jako największe zagrożenie dla jego władzy. Głośno było w całej Rosji po tym, jak ministerstwo edukacji w obwodzie murmańskim, w odpowiedzi na tragedię w Kazaniu, nakazało stworzenie bazy danych uczniów i niedawnych absolwentów, którzy mają „skłonność do problemów dyscyplinarnych" i „wykazują nieumotywowaną agresję". Jednak zarządzenie ministerstwa, które ukazało się w kilku lokalnych publikacjach, zawierało adres internetowy takiej bazy danych, która zawierała dane osobowe setek studentów. Baza została szybko wyłączona, gdy dotarli do niej dziennikarze, lecz reporterzy zdążyli znaleźć zapisy opisujące poszczególnych uczniów, które zawierały następujące uwagi: „przyniósł nóż do szkoły", „wykazuje zachowania samobójcze", „przeklina", „uczestniczył w proteście wspierającym Nawalnego", „sprzeciwiał się rosyjskim przepisom prawa" i „nie uznaje władzy". Plik podobno zawierał informacje o studentach z miast i miasteczek w całym regionie, w tym w niektórych przypadkach ich konta w mediach społecznościowych. Z kolei nowe kamery masowo instalowane w miastach, gdzie doszło do zbrodni w szkołach, służyć mają monitoringowi uczestników potencjalnych ulicznych protestów – trudno jednak stwierdzić, w jaki niby sposób taka kamera miałaby ograniczyć przemoc w szkołach. W tym kontekście warto przypomnieć, że reżim planuje uruchomienie we wszystkich większych miastach (pierwszy etap) systemu rozpoznawania twarzy na zapisach z monitoringu w czasie rzeczywistym (coś podobnego działa w Chinach).

Reżim chce wykorzystać to do objęcia młodego pokolenia nadzorem psychiatrycznym, bo „młodzi są niestabilni". Innego rodzaju kontrola już istnieje i jest coraz ostrzejsza. Przykład z Krymu: gdy w styczniu bieżącego roku doszło w całej Rosji do protestów w obronie Nawalnego, dyrektorzy szeregu szkół w Symferopolu żądali od rodziców raportów co dwie godziny, czy ich dzieci są w tym momencie pod ich opieką. W 2015 roku wówczas 17-letni Nikołaj Podgorny został umieszczony przez rodziców w zakładzie psychiatrycznym, bo ze swym przyjacielem Władem Kolesnikowem otwarcie potępili aneksję Krymu. Kolesnikow, po kilku miesiącach nękania przez kolegów szkolnych i nawet swoich najbliższych krewnych popełnił samobójstwo. Reżim oczywiście nie chce dostrzec wpływu, jaki na psychikę młodych ludzi w Rosji ma wszechobecny kult siły i militaryzm. Ubiera się dzieci w mundury i każe udawać walkę z wrażym Zachodem, a potem jest zdziwienie, że gdy te dzieci wchodzą w wiek dojrzewania, postrzegają wojnę i śmierć jako coś wartościowego, wręcz romantycznego. Ale nie tylko o militaryzm chodzi. Napastnik z Kazania powtarzał wciąż: „Jak ja was wszystkich nienawidzę!". Niedawny sondaż Centrum Lewady pokazuje, jak wysoki jest wśród Rosjan poziom złości. W 2017 roku 37 proc. ankietowanych mówiło, że zauważa złość i nienawiść w społeczeństwie, a w 2021 roku odpowiedziało tak już 57 procent. Rośnie też poziom depresji i astenii wśród Rosjan: w 2017 roku – 40 proc., w 2020 – 54 proc., w 2021 – 48 procent.

W ostatnich latach Rosja zainwestowała znaczne środki w bezpieczeństwo szkół, w tym w inicjatywę instalowania systemów rozpoznawania twarzy „Orwell 2k" w ponad 43 tys. szkół. Technologia ma na celu zapewnienie bezpieczeństwa poprzez monitorowanie ruchów uczniów i identyfikację osób postronnych na terenie szkoły. Ale masakra w gimnazjum nr 175 w Kazaniu pokazała, że nic to nie da, jeśli zawiedzie czynnik ludzki. Tymczasem plan alarmowy na takie sytuacje był ostatnio aktualizowany w tej szkole trzy lata temu, a ochrony po prostu nie było. Jednak propaganda rządowa robi, co może, by połączyć masakry w rosyjskich szkołach ze szkodliwymi wpływami Zachodu. A nawet działaniami jakiejś agentury – znany prokremlowski telewizyjny komentator Sołowjow zamieścił na YouTube wideo po masakrze w Kazaniu, tytułując je: „Zachodnie struktury przejmują grupy Vkontakte. Kto może stać za atakiem na szkołę w Kazaniu?". ■

eprasa.pl 6b6c684efd



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Maleńka osada z wielką szczeliną

test.tsa.pl 6b6c684efd



Do peruwiańskiej kuchni trzeba się przekonywać nieco dłużej

Wreszcie. Udało się. Siedemnastogodzinna podróż zakończona. Przyznam, że planując wcześniej tę marszrutę na mapie, jakoś nie docierało do mnie, że Limę i maleńkie peruwiańskie Chivay może dzielić aż 1100 km.

FOT. TJABELJAN_1

Na papierze wyglądało to zupełnie „zjadliwie". Wszak do przejechania była raptem jakaś czwarta część całego państwa. Zdawać się więc mogło, że to zupełnie niewiele. Dopiero teraz, wychodząc z autobusu na maleńkim dworcu, mam świadomość pokonanego dystansu. Czuję niemal każdą kość.

Niebo jest już pokryte łuną zachodzącego słońca. Za chwilę będzie ciemno. W miasteczku próżno znaleźć jakąś latarnię czy choćby zwykłą sklepową witrynę mogącą oświetlić drogę przechodniom. Jest za to coś innego. Lokalny targ. Miejsce, do którego siłą woli prowadzi mnie wygłodzony kilkunastogodzinną trasą żołądek. Teraz, gdy jest ciemno, miejsce to przypomina nieco jedną z tych azjatyckich dzielnic, w których schronienie i społeczny azyl uzyskują poranieni, ścigani przez prawo, szemrani. Przystaję na chwilkę. Niepewność, czy na pewno warto tam wchodzić? Zagłębienie się w te uliczki będzie przecież równoznaczne z wejściem w inną rzeczywistość. Ponurą, okrytą tajemniczo groźną atmosferą. Póki co jednak czuję się tutaj troszkę niczym duch. Mijam kolejnych ludzi siedzących na krawężnikach, grających w karty, skubiących ryż, ale nikt nawet na mnie nie spojrzy. A przecież oto idzie biały. Gringo. W dodatku z plecakiem. Obiekt zainteresowania – zwłaszcza w małych miasteczkach.

Peruwiańskie „Chinatown"

Półmroczna dzielnica zaczyna odkrywać nowe oblicze. Uszu dochodzą różne głosy. Potok odzywek. Syk pieczonego na ruszcie kurczaka. Oto wchodzę na teren „peruwiańskiego Chinatown". Zza oparów wszelakich grillów pojawiają się co rusz twarze przycupniętych na chodniku babuń. Opatulonych w grube, kolorowe chusty z frędzlami. Z jasnymi, słomianymi kapeluszami na głowach, spod których wystają sięgające nieraz pasa czarne warkocze. Gdzieś pod nogami przebiega bezpański pies. Siedzący na plastikowych, niskich stołeczkach panowie sączą z grubych szklanic pomarańczową ciecz o konsystencji soku. Zaraz obok czteroosobowa rodzina kończy kolację. Malec niezdarnie usiłuje zagarnąć palcami ostatnią porcję ryżu zmieszanego z resztkami pokrojonego na kawałeczki kurczaka. Wokoło zaczyna pojawiać się coraz więcej okolicznych moto-taksówek. Ulica staje się zaś coraz węższa. W jednym miejscu dwa motory skutecznie zatarasowały swobodne przejście. Trzeba przepuścić panie idące z naprzeciwka. Pierwsza z kobiet niesie na plecach opatulonego w czerwony kocyk synka. Nie ma więcej jak dwa latka. Już śpi.

Nadal czuję się niewidzialny. Niezaczepiany. Nieobserwowany. Nienagabywany. Nawet pani z mijanego właśnie straganu z empanadas (słynne południowoamerykańskie pierożki) nie namawia do zakupu. Nie zwraca uwagi. Zachodzę do knajpy na końcu uliczki.

Egzemplarz prasowy 6b6c684efd



Paleta kolorów i gigantyzm przestrzeni. Obok pejzażu Kanionu Colca nie sposób przejść obojętnie

Z prawej strony znów mijam odymione ciepłem z ustawionego przed wejściem grilla twarze siedzących babć okrytych kocami. Te piękne, indiańskie twarze. Pełne zmarszczek życiowych doświadczeń. W tej chwili, wyłaniające się zza gęstego dymu, zdają się uczestniczyć w jakiejś mistycznej scenie.

W środku baru półmrok. Ponuro. Stoły pokryte brudnymi, lepiącymi się ceratami. Odrapane ściany. Obok drzwi wisi kalendarz. Przyglądam się dokładniej. Ubiegłoroczny. Jedyny wentylator pośrodku sufitu zepsuty. Pod ladą siedzi zgarbiona staruszka. Na otwartej dłoni zlicza pojedyncze monety. Zaglądam do karty menu. To po prostu wyrwana z zeszytu w kratkę kartka z wypisanymi długopisem pozycjami. Wiele tu skreśleń, kleksów.

– Nic z tego już nie mamy – słyszę głos. Podnoszę głowę i widzę panią w średnim wieku z notesem w ręku. To chyba właścicielka.

– Buenas noches! Nie macie więc niczego z tego, co tu widnieje? – upewniam się, nie do końca ufając, czy dobrze zrozumiałem.

– Nic, gringo.

– Aha...

– Ale mogę ci zaproponować danie dnia. Życzysz sobie?

– A mam wybór?

– Nie.

Po kilkunastu minutach mam przed sobą kurczaka z ryżem. Danie, które stanowi podstawę diety większości mieszkańców tego kraju. Do tego pełen po brzegi talerz zupy. Oraz kompot. Za całość zapłacę równowartość dwóch i pół złotego.

Kuchnia

Niska cena nie jest jedynym walorem peruwiańskiej kuchni. Owszem, w większości odwiedzanych knajp czy barów prawie zawsze daniem dnia będzie kurczak z ryżem i sałatką. Oczywiście zupełnie inaczej będzie w przypadku wystawnych i eleganckich restauracji dedykowanych bogatej kaście oraz białym turystom z wypchanym portfelem. Tam, a owszem, zamówimy inny przysmak latynoskiego lądu, czyli choćby zupę z kopytami byka. Jeśli nadal mało nam kulinarnej egzotyki, wówczas może przed nami wylądować na talerzu coś niezupełnie obrane z sierści. Z niewielką ilością mięsa. Z główką z niewielkimi ząbkami. I z małym ryjkiem. Podkulonymi łapkami. Coś jakby pieczony szczur. Słowem: widok-koszmarek. To cuy, czyli świnka morska. Lokalny specjał. Przysmak, który na tyle mocno wpisał się w tradycję kulinarną Peru, że na obrazie przedstawiającym Ostatnią Wieczerzę, znajdującym się w słynnym kościele La Compañía de Jesús w Cuzco uważny obserwator dostrzeże leżącą pośrodku stołu na brązowym półmisku, przewróconą na grzbiet świnkę morską. Zamiast chleba.

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl 6b6c684efd



Do maleńkiej indiańskiej osady Chivay łatwo trafić...

Kuchnia peruwiańska jest jedną z najostrzejszych na kontynencie. W kraju, w którym uprawia się ponad 300 gatunków chili, mieszkańcy nie potrafią wyobrazić sobie obiadowego dania bez sowitego przyprawienia. Turystom poleca się zawsze zaznaczenie przed zamówieniem, żeby „przyprawiali po turystycznemu", czyli jedną trzecią tego co normalnie. To chyba jedyny kraj, w którym nawet w menu McDonalda widnieją frytki z pikantnym sosem z żółtej ají. Doprawia się tutaj nawet drinki. Najciekawszym jest... Sexy Woman. Nazwany tak na cześć inkaskiej twierdzy, Sacsayhuamán. Przyrządzany z wódki aromatyzowanej chili rocoto, owocu passiflory (czyli marakui), cukru i kolendry.

▶ Bandyci

Z Chivay jest do niego niespełna 500 metrów. Właściwie jego ujście wcina się już w miasteczko. To jednak już tylko ujście. Właściwy odcinek usytuowany jest dobre kilka godzin jazdy busem na zachód. Wzdłuż krawędzi jego stromych urwisk. Głębokiej doliny. Najgłębszej na świecie. Kanion Colca.

– Do Cruz del Condor? – zagaduje mnie, siedzącego na krawężniku imitacji dworca autobusowego, sympatycznie wyglądający brodaty gość.

– Tak, to chyba stąd, prawda? – upewniam się, bo głowy wcale nie dam, że czekam we właściwym miejscu. Jest na tyle wcześnie, że nie ma nawet kogo zapytać.

– Nie wiem. Też szukam – odpowiada facet do złudzenia podobny do tolkienowskiego Gandalfa.

– Jak zobaczą dwóch oczekujących gringos, to pewnie ktoś się kiedyś zatrzyma – pocieszam się na głos.

– Hmmm...

– Czyżbyś wątpił w pomocną dłoń Peruwiańczyków? – pytam, wyczuwając w jego głosie pewną wątpliwość.

– Wiesz, jeszcze jakiś czas temu byłbym spokojny, ale w tej chwili... – dopiero teraz zauważam jego zdenerwowany wzrok. Ewidentnie. Tkwiące pod pomarszczonymi powiekami schowanymi pod bujnymi, siwobiałymi brwiami oczy rozglądają się nerwowo.

– Stało się coś?

– Jeszcze nic. Na szczęście – dodaje chrypiącym głosem. – Przed chwilą uciekłem z rąk dwójki bandytów

– Bandytów?!

– Tak, szukając autobusu postanowiłem pozwiedzać zapuszczoną część Chivay. Skusiły mnie te piaskowce – mówi, wskazując palcem na widoczne z naszego miejsca jasnobeżowe stoki. – I spacerując pośród tamtejszych minikanionów i wyschniętych koryt rzecznych zobaczyłem nagle dwóch jegomości. Zbliżali się do mnie. Spostrzegłem, że w pewnej chwili rozdzielili się. Jeden zaczął wdrapywać się na pobliski stok, ewi-

FOT. ROBERT LUNA

eprasa.pl 6b6c684efd



Będąc nad Kanionem Colca najpewniej nieraz skorzystamy z tutejszych tuk-tuków

dentnie okrążając mnie z prawej strony. Drugi nadal szedł wprost na mnie. Coś mi się przestało podobać.

– Krzyczeli coś?

– Nic. Właśnie ta złowroga cisza była w tym wszystkim najgorsza. Nieco podejrzana. Ścisnąłem mocno swój piterek wiszący na szyi i zacząłem raźniej maszerować. W chwili, gdy zbliżałem się do jednego z tych mężczyzn, usłyszałem hałas osypujących się kamieni. Obejrzałem się za siebie, a ze stoku zbiegał w moim kierunku drugi z tych ludzi. Pierwszy tymczasem popchnął mnie na ziemię. Zaczęła się szamotanina. Przeturlałem się po stoku i zacząłem biec. Jeden z rabusiów się potknął. Drugi, nieco bardziej otyły, zaczął mnie gonić. Na szczęście po kilku minutach zrezygnował. Tak oto znalazłem się tutaj.

– Na dworzec może nie dotrą.

– Daj Boże. Zresztą jest nas dwóch. To już zupełnie inna sytuacja – jego oczy nadal uważnie lustrują otoczenie.

Loco, czyli szalony

Nie dotarli. Zamiast nich na maleńki opustoszały dworzec podjechał natomiast autobus. Wystarczyło jedno spojrzenie. I już wiedziałem. Oto nadjeżdża materializacja naszych wyobrażeń o komunikacji na latynoskim lądzie. Widzę wygodnych foteli i szerokich podłokietników obecnych na trasach międzymiastowych zastępuje tłok, duchota i ścisk. Są też urokliwe, acz mocno umorusane babuszki. O ciemnej, indiańskiej cerze. Większość pięknie się uśmiecha, widząc dwóch białych dryblasów usiłujących zmieścić się w ewidentnie za niskim wejściu. Ich sympatię momentalnie zdobywa mój nowy kompan podróży. A zwłaszcza jego długa, gęsta broda. Jedna z pań zdobywa się nawet na odwagę, delikatnie zań pociągając. Gandalf tylko życzliwie się uśmiecha.

W busiku jadą z nami – a jakże! – i kozy. Jest klatka pełna piszczących piskląt. Daje się wyczuć delikatny smrodek. Na jednym z przystanków dosiada się pan z pękami świeżo zerwanych traw. Nie wiem, co to. Wiem za to, że od tej pory nasz busik przypomina raczej poruszającą się szklarnię. Las deszczowy z daszkiem i szybami. No i oczywiście z głośną muzyką lecącą z głośników.

– Skąd jesteście? – zagaduje nas siedzący przed nami młody Peruwiańczyk.

– Ja z Polski. A kolega... No właśnie. Skąd ty jesteś? – przypominam sobie, że jeszcze się sobie z Gandalfem nie przedstawiliśmy.

– Mów mi Chappu. Pochodzę z Nowej Zelandii.

– Toście obaj z końca świata do nas przyjechali – podsumowuje Latynos. – Ja jestem Carlos.

Znajomość z Carlosem przydaje się zwłaszcza wtedy, gdy do busika wsiadają strażnicy i żądają od nas opłaty za wjazd na teren parku. Chappu momentalnie podnosi głos.

– Trzydzieści pięć soli?! Za wjazd na kilka godzin? To jest loco! Rozumie mnie pan? Lo-co! – powtarza z irytacją. Po chwili chwyta za plecak i rusza ku wyjściu.

– Kochany, to normalne. Ja też musiałem zapłacić – zatrzymuje go Carlos, wyjmując z kieszeni kwitek.

FOT. JEAN ROBERT THIBAULT

eprasa.pl 6b6c684efd

– Ale taką kwotę? Kto to widział? Ja tu za obiad płacę nie więcej jak pięć soli!

– Cóż, to prawda. Turystyka troszkę pozmieniała nasz kraj. Mnie też trudno się z tym pogodzić.

Chappu w końcu uspokaja się i wraca na swoje miejsce. Mrucząc coś pod nosem wygrzebuje pomiętoszone banknoty ze swojego piterka. Ruszamy dalej.

Czapki chullos w oczekiwaniu

Otoczenie momentalnie zmienia kolorystykę. Zaczynają pojawiać się kolorowe tarasy. Ciepłe kolory żółci i zieleni. Schodkowy układ kolejnych pól. Trochę jakby szachownica. Trochę jakby ruiny jakiegoś prainkaskiego miasta. Takiego z wąskimi schodkami i stromymi blokami skalnymi. Im autobus wjeżdża wyżej, tym widok, jaki roztacza się pod nami, staje się coraz bardziej fascynujący. Po horyzont płaskie niczym stół pola w tarasowym układzie. Jedno nad drugim. Niektóre poprzedzielane kamiennymi murkami. Raz na jakiś czas uważne oko dostrzeże kilka chatek przytulonych do któregoś ze zboczy. A nieopodal – skulone postacie pracujących na polu.

– Dojechaliśmy! Wychodzimy! – z moich obserwacji w samą porę wybudza mnie Carlos.

– To już?

– A ile byś chciał? Jedziemy już dobre dwie godziny. Chyba się nieco zdrzemnąłeś...

– Na Cruz del Condor wrócę jutro! – krzyczy Chappu przez okno. Decyduje się jechać dalej. Macha na pożegnanie przez okno. – Powodzenia w podróży!

To Cruz del Condor. Witający przybyszów falą upału. Jest już po jedenastej. Słońce operuje z całą siłą. Do tego ten rozmiękły od nagrzania asfalt. Nie ma nawet skrawka cienia, aby się skryć. Akurat dojechała wycieczka Japończyków. Rozgadani, rozentuzjazmowani turyści podążają za swoim przewodnikiem dzierżącym w dłoni flagę ich kraju. Większość Japończyków zatrzymuje się jednak dużo wcześniej. W rozłożonych kilku kramikach. Rozradowani sprzedawcy podają kolejnym klientom charakterystyczne czapeczki chullos do przymierzenia. Większość szybko sprzedadzą.

Spór o głębokość

Chcąc uniknąć tłoku udajemy się z Carlosem na drugą platformę, usytuowaną nieco poniżej tej największej. Schowana za skałkami, nie jest od razu widoczna przez wszystkich przybywających na Cruz del Condor. Mamy czas. Gdzie nam się spieszy? Po drodze Carlos przystaje na chwilę, by schylić się i nabrać w garść nieco piasku. – Chodź, Stefano – instruuje poważnym tonem. Zobacz... – mówi, wręczając mi wyjęte z kieszeni listki koki. – Weź je i zakop w ziemi. To dar dla bogini ziemi, Pachamamy. Zakop i pomyśl życzenie. Na pewno się spełni. To prezent ode mnie.

Pozwalam sobie nie skomentować tej propozycji. Nie chcąc robić przykrości nowo poznanemu, próbuję zmienić temat. – Patrz! Japończycy się zwijają!

Spoglądam w dół. Ledwo dostrzegalna nitka cienkiego potoku. Colca. To niezwykłe, jaką siłę ma żywioł. Ta wąska strużka potrafiła wyżłobić coś tak monumentalnego. Z miejsca, gdzie stoję, do przeciwległej ściany są całe cztery kilometry! Brązowa ściana kanionu wznosi się ponad poziom wody w rzece na wysokość trzech i pół kilometra. Żeby było jeszcze śmieszniej, przeciwległa ściana jest wyższa i wznosi się na wysokość ponad czterech kilometrów.

O tych, którym się spieszy

„Iiiiiiiiii" – z zadumy wybudza mnie pisk. Przeraźliwy i głośny. Na chwilę ucicha. By po chwili znów powrócić. Spoglądam na Carlosa. Jest równie zdezorientowany jak ja. Sytuacja powtarza się kilkukrotnie. Moment przerwy i po paru chwilach znów. Charakterystyczny świst. W głębi duszy chciałbym, żeby to było to, co myślę, ale boję się powiedzieć na głos, żeby nie wyjść na idiotę. Kilka sekund później nie mam już wątpliwości. Na dnie kanionu dostrzegam wyraźny cień. – Kondory! – krzyczę podekscytowany.

Nie mija kilka sekund, jak spod skalnego okapu zasłaniającego nam dno doliny wylatuje w naszym kierunku wielkie ptaszysko. Istny lotny spryciarz. Podczas wzbijania się w górę nie porusza nawet skrzydłem. Lawiruje tylko w poszukiwaniu ciepłych prądów wstępujących. A o takie akurat nad kanionem Colca nietrudno. To właśnie dlatego największe ptaki świata tak upodobały sobie to miejsce.

Tutaj krzywda im się nie stanie. Ludzie pokrzyczą, pomachają. Zawsze też zostawią coś do jedzenia. Odnoszę też wrażenie, że osobniki, które w tej chwili pojawiły się na niebie, czerpią z tego przyjemność. Jakby chciały się popisać. Zaprezentować. Wprawdzie cała publiczność sprowadza się w tej chwili do dwóch widzów, ale cóż? Kondory nadlatują coraz bliżej. Kołują, zawracają, żeby przelecieć tuż nad naszymi głowami. – Jeszcze raz! Tutaj, tutaj! – krzyczy Carlos, szykując się z aparatem. Oto kondor zawraca więc, by zapozować raz jeszcze. To z prawej strony, to z lewej. – Jeden, drugi, trzeci. Patrz, patrz! Czwarty! – podekscytowany Carlos liczy pojawiające się na niebie osobniki.

I tylko tych Japończyków żal. Podobałby im się ten pokaz. No i zdjęć by narobili. Do ptaków pomachali. A tak? Cóż... Jakkolwiek by patrzeć, jesteśmy na kontynencie południowoamerykańskim. Z określonymi cechami charakterologicznymi tutejszych mieszkańców. Także tych podniebnych. I podobnie jak ludzie, także kondory nie przywykły tu do pośpiechu. Nie będą w Peru szczęśliwi, którym się spieszy. Dziś kolejny dzień nauki. ■

eprasa.pl 6b6c684efd

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Japonia

Japonia powinna wyrzec się pacyfizmu i być czołowym elementem regionalnego systemu obrony zbiorowej w Azji – uważa były zastępca asystenta sekretarza stanu USA w administracji Trumpa, Elbridge Colby. Teza ta padła w artykule napisanym przez niego wspólnie z Jennifer Lind (profesor nadzwyczajna w Kolegium Dartmoutha, ekspert ds. stosunków międzynarodowych i polityki zagranicznej USA wobec Azji Wschodniej) i opublikowanym 18 czerwca na łamach japońskiego dziennika „Nikkei Asia".

Pacyfizm narzuciła Japonii opracowana w 1946 roku przez amerykańskich prawników konstytucja. Według art. 9 ustawy zasadniczej Kraj Kwitnącej Wiśni musiał „wyrzec się na zawsze wojny jako suwerennego prawa narodu, jak również użycia lub groźby siły jako środka rozwiązywania sporów międzynarodowych". Konstytucja zezwalała na użycie japońskich sił jedynie w samoobronie. W tym celu stworzono w 1954 roku Japońskie Siły Samoobrony (Jieitai). Przyjęta w 2015 roku ustawa zezwala Japonii na podjęcie działań w ramach tzw. zbiorowej samoobrony, czyli wysłanie japońskich sił poza granice kraju, aby pomóc sojusznikom, głównie USA, nawet jeśli Japonia nie zostanie bezpośrednio zaatakowana.

„Przez dziesięciolecia Japonia prowadziła bardzo powściągliwą politykę bezpieczeństwa narodowego, w której unikała militarnej dyplomacji i przeznaczała zaledwie 1 proc. PKB na obronę. Ale dzisiaj Japonia – a tym samym sojusz amerykańsko-japoński – stoi w obliczu poważnego zagrożenia ze strony Chin, których zdolności wojskowe ogromnie wzrosły w ciągu ostatnich dziesięcioleci" – czytamy w „Nikkei Asia".

Od 1990 roku Pekin zwiększył swoje wydatki na obronę o 620 procent. Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza – jej siły powietrzne, morskie i kosmiczne, a także działania w cyberprzestrzeni – są wyzwaniem dla Kraju Kwitnącej Wiśni, Tajwanu i amerykańskiej obecności w regionie. Autorzy artykułu uważają, że Tokio jest dziś na pierwszej linii zagrożenia i nie może wyłącznie liczyć na to, że to USA będzie dźwigać „większość ciężaru, stawiając czoła zagrożonej równowadze militarnej w Azji".

Colby i Lind wzywają Japonię do modyfikacji podejścia do obronności. „Japonia musi fundamentalnie zmienić rozumienie swojej powojennej odpowiedzialności i przejść od pacyfizmu w kierunku systemu obrony zbiorowej. Jedną z lekcji, jaką wielu Japończyków wyniosło z II wojny światowej, było ograniczanie instytucji wojskowych i dyplomacji militarnej: »nigdy więcej« wojsko nie wciągnie kraju do wojny". Autorzy piszą, iż po II wojnie światowej owo „nigdy więcej" było także wezwaniem w zachodnich Niemczech. „Jednak w przeciwieństwie do Japonii, Niemcy zachodni stanęli na froncie zimnej wojny z ogromną Armią Czerwoną", a stając się częścią NATO przeformułowali podejście „nigdy więcej" na „nigdy więcej sami".

Pacyfizm Niemiec zachodnich w okresie zimnej wojny oznaczałby sowiecką dominację w Europie i to powinna być dziś lekcja dla Japonii. „Wkład Tokio ma kluczowe znaczenie dla korzystnej równowagi sił, która powstrzyma regionalne ambicje Pekinu. Innymi słowy, dzisiaj Japonia jest na pierwszej linii frontu, a jej zaangażowanie ma zasadnicze znaczenie dla obrony zbiorowej" – piszą Colby i Lynd.

Wietnam

Wietnam wprowadził nowe przepisy dotyczące mediów społecznościowych, które mają sprawić,

eprasa.pl 6b6c684efd

by internauci publikowali pozytywne treści na temat kraju rządzonego przez komunistów, i wymagają, aby pracownicy państwowi zgłaszali „dezorientujące informacje" swoim przełożonym. „Użytkownicy mediów społecznościowych są zachęcani do promowania piękna krajobrazu, ludzi i kultury Wietnamu oraz do rozpowszechniania dobrych historii o dobrych ludziach" – czytamy w nowych wytycznych. Rządząca Komunistyczna Partia Wietnamu utrzymuje ścisłą kontrolę nad mediami, a w ostatnich latach ostro rozprawia się z dysydentami i aktywistami, z których niektórzy odsiadują długie wyroki więzienia za swoje posty na Facebooku i YouTube.

W listopadzie ubiegłego roku Reuters poinformował, że władze zagroziły zamknięciem Facebooka, jeśli nie ugnie się on pod naciskiem rządu, by cenzurować treści polityczne dotyczące kraju. Według raportu przygotowanego w grudniu ubiegłego roku przez Amnesty International Facebook i YouTube „stały się narzędziami cenzury wietnamskich władz i nękania jej ludności, co jest alarmującym znakiem, że firmy te mogą w coraz większym stopniu działać w represyjnych krajach".

Nowe prawo w Wietnamie wymaga od właścicieli mediów społecznościowych „postępowania z użytkownikami zgodnie z wietnamskim prawem" i usuwania treści na żądanie władz. Rząd chce, aby użytkownicy zakładali konta przy użyciu ich prawdziwej tożsamości, udostępniali informacje tylko z oficjalnych źródeł i unikali zamieszczania treści naruszających prawo, zawierających wulgarny język lub reklamujących nielegalne usługi.

W styczniu po tym, jak rząd zakazał w internecie dyskusji na temat mającego się odbyć zjazdu partii, wietnamscy użytkownicy mediów społecznościowych używali fałszywych biuletynów pogodowych i fałszywych wyników piłkarskich jako środka do omawiania konfliktów w kierownictwie Komunistycznej Partii Wietnamu.

▶ Chiny–USA

W czerwcu pojawiły się informacje, że od kilku miesięcy w rękach amerykańskiej Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony (DIA) jest wysoki rangą urzędnik, który uciekł z Chin Ludowych. Amerykański konserwatywny portal RedState twierdzi, że uzyskał potwierdzenie, iż osobą tą jest Dong Jingwei, szef chińskiego wywiadu i kontrwywiadu i wiceminister w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego.

To Dong miał przekazać USA informacje o Instytucie Wirusologii w Wuhan, co sprawiło, że administracja Bidena zmieniła stanowisko w sprawie pochodzenia pandemii COVID-19[1].

O ucieczce ważnego urzędnika z Chin mówił już w marcu Han Lianchao, były urzędnik chińskiego MSZ, który uciekł do USA po masakrze na placu Tiananmen. Na początku czerwca były korespondent Fox News Adam Housley napisał, że amerykański wywiad dotarł do „chińskiego dezertera z informacjami o Wuhan". „Chiny próbują wytworzyć wariant, który sugerowałby, że wirus pochodzi od nietoperzy, by zatuszować fakt, że koronawirus zrodził się w laboratorium" – twierdził Housley.

Dong miał podobno polecieć do Stanów Zjednoczonych w połowie lutego, by odwiedzić córkę Dong Yang (byłej żony Jiang Fana, szefa chińskich sklepów internetowych Taobao and Tmall należących do grupy Alibaba), która studiuje na uniwersytecie w Kalifornii. Kiedy Dong Jingwei wylądował w Kalifornii, skontaktował się z urzędnikami DIA i powiedział im o swoich planach ucieczki oraz o informacjach, które przywiózł ze sobą.

Jeśli doniesienia na temat Donga okażą się prawdziwe, to będzie to najwyższy rangą urzędnik z ChRL, który uciekł na Zachód. Na razie wiadomo, że na stronie Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego nie ma już informacji o wiceministrze Dong Jingwei. Ale za to 18 czerwca, gdy w mediach zachodnich zaczęła się ukazywać informacja o ucieczce Donga, na stronie Komitetu Polityczno-Prawnego KC KPCh pojawiła się notka informująca, że Dong Jingwei wziął udział w sympozjum na temat nowych przepisów dotyczących działań kontrwywiadowczych. Do artykułu nie była jednak dołączona żadna fotografia pokazująca, że urzędnik pojawił się na tym wydarzeniu. Poza tym z chińskiej wyszukiwarki internetowej Baidu usunięto wszystkie zdjęcia Donga.

Bill Gertz, amerykański ekspert ds. bezpieczeństwa i dziennikarz, twierdzi, że uciekinierem nie jest Dong, lecz oficer Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, który zbiegł do Europy już w ubiegłym roku. Oficer miał twierdzić, że chiński wywiad penetruje rząd USA i dlatego nieufnie podchodzi do współpracy z CIA i innymi zachodnimi agencjami szpiegowskimi. Mimo obaw uciekinier dostarczył informacji o chińskim programie broni biologicznej, powiązanym z laboratorium w Wuhan, i informacje te dotarły także do władz USA. ■

[1]Prezydent Biden najpierw kazał Departamentowi Stanu zakończyć śledztwo w sprawie pochodzenia wirusa SARS-CoV-2, aby „nie marnować funduszy publicznych". Jednak pod koniec maja zmienił zdanie i zwrócił się do amerykańskich agencji wywiadowczych, by „podwoiły wysiłki" w celu zbadania, skąd tak naprawdę pochodzi wirus. Biden stwierdził, że część wywiadu skłania się ku teorii, że koronawirus wydostał się z chińskiego laboratorium.

eprasa.pl 6b6c684efd

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

Mandżurski prezydent

Siedem lat temu nastąpił „zwrot Moskwy na Wschód": w Szanghaju w obecności Władimira Putina i Xi Jinpinga podpisano „gazowy kontrakt stulecia" na dostawy gazu do Chin gazociągiem Siła Syberii. Rosja i Chiny uzgodniły wiele wspólnych projektów, z których większość pozostała na papierze. Władimir Miłow szczegółowo wyjaśnia, jak po zerwaniu z Zachodem po Krymie Rosja handluje zasobami naturalnymi ze stratą, wydając pieniądze z Narodowego Funduszu Dobrobytu i wzbogacając chińskie firmy i przyjaciół Putina. Raport pojawił się 2 czerwca 2021 roku na niezależnym portalu The Insider.

Siedem lat to dużo czasu, aby wyciągnąć wnioski, na ile udało się nowe partnerstwo rosyjsko-chińskie. Większość zapowiadanych projektów nie została zrealizowana, a te, które są wdrożone, przyniosły ogromne rozczarowanie cenami dostaw i zerowymi wpływami do budżetu Rosji. Rosja eksportuje do Chin surowce po bardzo niskich kosztach, państwo nic z tego nie dostaje, za to ogromne szkody ponosi rosyjska przyroda – całe regiony stały się lub mogą stać się strefą katastrofy ekologicznej. Paradoksalnie, i tak wciąż to my jesteśmy coś winni Chinom.

Ale po kolei. Przede wszystkim ogłoszone w maju 2014 roku wielkie plany współpracy pozostały zamkami na piasku. Wśród ogłoszonych z wielkim hukiem, lecz faktycznie nierealizowanych projektów są:

– Władywostok LNG, czyli zakład produkcji gazu skroplonego;

– zachodni korytarz dostaw gazu do Chin (raz nazywają go Ałtaj, raz Siła Syberii 2, kiedy indziej gazociąg przez Mongolię, ale póki co nic się tam nie dzieje);

– wschodni kompleks petrochemiczny;

– udział chińskich inwestorów w eksploatacji złóż Rosnieftu;

– budowa rafinerii Rosnieftu w Chinach;

– udział Chin w budowie szybkiej kolei żelaznej Moskwa–Kazań.

W zasadzie zrealizowano jedynie budowę gazociągu Siła Syberii, wejście Chińczyków do projektów skraplania gazu Novateku (Yamal LNG i Arctic LNG-2), a także partnerstwo chińskich firm z Siburem oraz budowę kompleksu Amur Gas Chemical. W porównaniu z pierwotnie zapowiadanymi planami „nowego globalnego partnerstwa" wszystko wygląda bardzo skromnie, a stało się możliwe tylko dzięki zapewnieniu tym projektom bezprecedensowych zachęt podatkowych – faktycznego wyzerowania dla nich wszystkich podatków.

Stratna Siła Syberii

Gazociąg Siła Syberii oddano do użytku półtora roku temu, a wielkość dostaw realizowana przez niego wciąż jest bardzo daleka od deklarowanego maksimum 38 mld m³ – w 2020 roku dostarczono 4 mld m³ gazu. Dla porównania – do Europy 147 mld m³. Jak widać, nie ma co mówić o „odwrocie od Europejczyków na Wschód", zwłaszcza że bazą surowcową dla gazociągu są niezwykle odległe złoża wschodniosyberyjskie, Czajandinskoje i Ko-

eprasa.pl 6b6c684efd

wyktinskoje, które już nie miały szans wejść na rynek europejski. Rozmowy o budowie połączenia między Chinami a polami gazowymi Zachodniej Syberii to wciąż tylko plany. Osobną kwestią jest to, czy Gazprom ma wystarczająco dużo gazu, aby wypełnić swoje zobowiązania nawet przy 38 mld m³ rocznie: w ubiegłym roku w prasie pojawiły się alarmistyczne wypowiedzi byłych pracowników Gazpromu, że rezerwy Czajandy i Kowykty mogły zostać przeszacowane przy ocenie ich rozwoju i może nie być wystarczającej ilości gazu. Lecz najciekawszą kwestią jest cena dostarczanego surowca. Kiedy w maju 2014 roku podpisano „kontrakt stulecia", powszechnie powtarzano szacunki, że cena dostaw gazu wyniesie 350–380 dolarów za 1000 m³. „Gazprom" odmówił podania ceny. Dziś, dzięki danym Generalnej Administracji Ceł ChRL, znamy kwotę – i to nie jest ani 350 dolarów, ani 380 dolarów, lecz... zaledwie 118,5 dolarów za 1000 m³. Jest ona trzykrotnie niższa od podanej publicznie trzy lata temu ceny gazu i znacząco niższa od wszystkich obecnych cen gazu – dla dostaw LNG, na europejskim rynku spot, w dostawach gazu rurociągowego do Chin z Birmy i Azji Centralnej (na przykład Myanmar sprzedaje gaz do Chin trzy razy drożej niż Rosja poprzez Siłę Syberii). [...]

Ta katastrofa jest potęgowana przez kilka okoliczności. Po pierwsze, nawet cena 350–380 dolarów nie gwarantowała Gazpromowi zysku. Aby zorganizować dostawy, konieczne było wybudowanie 2200 km gazociągu przez zupełnie niezagospodarowany teren (w tajdze), gdzie materiały i sprzęt musiały być dostarczane drogą lotniczą. Budowa kosztowała ponad bilion rubli. Pierwotny koszt wydobycia gazu ze złoża Czajandinskoje w 2010 roku szacowano na ponad 80 dolarów za 1000 m³ – teraz jest to oczywiście znacznie wyższa kwota (choćby tylko ze względu na deprecjację rubla). Obecne ceny generują wyłącznie straty, i to duże.

Straty na dostawach gazu do Chin nie są żartem: obniżają one podstawę podatkową i dywidendową Gazpromu, a tym samym dochody budżetu. Póki co wolumeny są niewielkie, nie jest to tak zauważalne. A co się stanie, gdy zbliżą się do 38 mld m³ rocznie? W sprawie Siły Syberii Gazprom otrzymał bezprecedensowe ulgi podatkowe. Oznacza to, że budżet w ogóle nie otrzymuje nic z tego projektu, a biorąc pod uwagę straty, projekt zmniejsza również kwotę dochodów podatkowych i dywidendowych, które budżet zarobiłby od Gazpromu. Beneficjentami, zamiast budżetu, okazali się wykonawcy budowlani – przede wszystkim spółki Arkadija Rotenberga i Giennadija Timczenki, którzy otrzymali kontrakty na budowę Siły Syberii bez przetargu. Siła Syberii uderza w rosyjski budżet, lecz wzbogaca struktury Rotenberga i Timczenki.

▶ Gaz skroplony: uciążliwe warunki Chin

Niestety nie wszystko ogranicza się do Gazpromu. Inny duży eksporter gazu do Chin, Novatek, choć sprzedaje gaz po wyższej cenie (cena nie jest ujawniana, ale notowania LNG są znacznie wyższe), praktycznie nie płaci z tego tytułu podatków do budżetu Rosji. W przypadku projektu Jamał LNG firma otrzymała całkowite ulgi podatkowe. Co więcej, korzyści te były udzielane nie tylko na prośbę Novateku, lecz także jako warunek z Chin – chińskie firmy otrzymały 30 proc. w projekcie Jamał LNG (i odpowiednią część zysku ze zwolnień podatkowych) i w zamian zażądały od rosyjskiego rządu porozumienia międzyrządowego w sprawie projektu Jamał LNG, które gwarantowało zerowe podatki i zwolnienie z VAT na importowany chiński sprzęt. Jednocześnie obowiązkiem Chin jest „zgoda na przystąpienie do projektu" (i czerpanie zysków z bezcłowego eksportu LNG do Chin) chińskich firm. Warunków tej umowy nie można nazwać inaczej jak uciążliwe – Chiny okazują się głównym beneficjentem, a Rosja zwalnia projekt z niemal wszystkich podatków. Pamiętam, ile kopii skruszyli domorośli bojownicy z Zachodem, gdy krytykowali „umowy o podziale produkcji" z lat 90., ale za ich pośrednictwem państwo uzyskuje przychody rzędu kilku miliardów dolarów rocznie, a z eksportu LNG przez Novatek – na prośbę Chin i warunkach umowy międzyrządowej – nie otrzymaje... nic. Coś nie słychać oburzenia szowinistycznych patriotów tym faktem.

▶ Ulgi dla Chin w postaci Siburu

Następnym przykładem jest Sibur. Ta firma jest też jednym z największych beneficjentów ulg podatkowych od państwa [...]. Bez tych korzyści, działalność petrochemiczna spółki byłaby niemożliwa na dzisiejszą skalę [...]. Co mają z tym wspólnego Chiny? Są nie tylko głównym odbiorcą produktów petrochemicznych Siburu, lecz także największym udziałowcem i beneficjentem projektów spółki: chińscy inwestorzy kontrolują już 20 proc. Siburu, a chiński Sinopec kupił 40 proc. w największym projekcie spółki, kompleksie petrochemicznym Amur (ANHK), który jest skierowany wyłącznie na rynek chiński. ANHK jest ważnym uzupełnieniem Siły Syberii – będzie wykorzystywał cenne składniki transportowanego gazu i wytwarzał z nich produkty petrochemiczne, polietylen i polipropylen. Sibur

eprasa.pl 6b6c684efd

kategorycznie odmawiał więc uruchomienia tego projektu bez zakrojonych na szeroką skalę zachęt podatkowych – które ostatecznie otrzymał, pomimo oporu Ministerstwa Finansów, które otwarcie stwierdziło, że „nie zamierzamy finansować budowy Siburu kosztem państwa". Ale musiało się zgodzić – biorąc pod uwagę, że udziałowcami Siburu są starzy przyjaciele i krewni Putina, Giennadij Timczenko i Kirił Szamałow (Timczenko jest też drugim co do wielkości udziałowcem Novateku, kolejnego ważnego beneficjenta ulg związanych z Chinami).

Ale to nie wszystko! Za swoje projekty skierowane na Chiny i zwolnione z podatków w rosyjskim budżecie Novatek i Sibur otrzymały ogromne sumy pieniędzy z Funduszu Narodowego Dobrobytu (FNB) – tego, którego uruchomienia Putin kategorycznie odmówił w ubiegłym roku, aby pomóc ludności i gospodarce w pandemii. Ale Novatek i Sibur otrzymały od FNB odpowiednio 150 mld rubli i 1,75 mld dolarów, a na superpreferencyjnych warunkach – nisko oprocentowane pożyczki na 15 lat. Zwykły rosyjski biznes nie może nawet marzyć o dostępie do takich warunków kredytu. Beneficjentem tego są Chiny. I to nie tylko w zakresie pozyskiwania niezbędnych surowców – na przykład ten sam Novatek jest największym importerem chińskiego sprzętu do swoich projektów LNG, aktywnie angażując chińskie firmy naftowe i pracowników zmianowych do pracy na rosyjskich złożach. Zamawia sprzęt w Chinach dla Amur GCC i Sibur. Wszystko to jest finansowane z hojnych ulg podatkowych i środków z FNB – których, przypominam, nie możemy wydać na nas, Rosjan.

▶ Ropa: Chiny dyktują warunki i dają drogie kredyty

Dzięki budowie ropociągu Syberia Wschodnia–Pacyfik Rosji udało się skuteczniej zdywersyfikować swój eksport w kierunku Chin – dziś przypada nań około 30 proc. rosyjskiej ropy eksportowej (ponad połowa nadal trafia do Europy), choć tylko 2 proc. eksportu produktów naftowych (2/3 eksportu produktów naftowych trafia do Europy). Ale czy to jest korzystne? Od początku dostaw naszej ropy do Chin Rosnieft zapewniał Chinom znaczne zachęty cenowe, w wyniku których, patrząc na sprawozdania finansowe firmy według międzynarodowych standardów, tylko bezpośrednie straty wynikające z niższych cen dostawy ropy do Chin wyniosły około 9 mld dolarów. [...] Tymczasem ropa eksportowana na wschód powinna być znacząco droższa od tej eksportowanej do Europy: typ Espo nie miesza się z zasiarczonymi gatunkami uralsko-wołżańskimi i ma lepsze właściwości niż dostarczany do Europy Urals. Do tego eksport do Chin wiąże się z wysokimi kosztami transportu – transport baryłki z tego samego złoża Vankor Rosniefti do granicy z Chinami kosztuje około 1,5 dolarów za baryłkę, więcej niż do portu Primorsk nad Bałtykiem. Pytanie brzmi: czy są korzyści z dostaw ropy w kierunku chińskim? Nie mówiąc już o tym, że Rosnieft' stał się odbiorcą kolosalnych ulg podatkowych na swoje projekty skierowane na Chiny [...].

Najbardziej zaskakujące jest to, że w wyniku realizacji wszystkich tych projektów, które dają Chinom hojne rabaty, lecz nie przynoszą pieniędzy do rosyjskiego budżetu, wciąż jesteśmy dłużnikami Chin! Jeśli spojrzeć na sprawozdania finansowe naszych spółek naftowych i gazowych, od razu uderza, kim są ich najwięksi wierzyciele, dla Rosniefti to China Development Bank, dla Gazpromu – China Construction Bank. Największe pożyczki Novatek zaciągnął w chińskich bankach i Funduszu Jedwabnego Szlaku. Rosnieft, według ostatniego sprawozdania, musi łącznie dostarczyć ropę i produkty naftowe w ramach już otrzymanych (i wydanych) przedpłat w wysokości 1,7 biliona rubli – to ten dług – i prawie w całości do Chin. To po prostu nie do uwierzenia: dostawom do Chin towarzyszą nie tylko utracone zyski, niesamowite ulgi podatkowe i dofinansowanie z FNB, lecz na koniec okazuje się także... że jesteśmy coś winni Chinom! Naprawdę wyjątkowa relacja między krajem eksportującym zasoby naturalne a krajem konsumenckim zależnym od ich importu [...]. Rosja stała się też kluczowym dostawcą dwóch kolejnych rodzajów surowców naturalnych do Chin: węgla i drewna.

▶ Eksport węgla i drewna: groszowy dochód, przemyt i ekologiczna katastrofa

Odkrywkowe wydobycie węgla na dużą skalę i jego masowy otwarty przeładunek na Dalekim Wschodzie w celu eksportu do Chin prowadzą do prawdziwej katastrofy ekologicznej w Kuzbasie i na rosyjskim wybrzeżu Pacyfiku. Jednocześnie władze wraz z wielkim biznesem chcą pogłębić tę katastrofę, planując radykalne zwiększenie eksportu węgla do Chin: podwojenie go w ciągu 10 lat.

Może to przynosi kolosalne środki do budżetu państwa? Sprawdźmy – w tym celu można na przykład wejść na stronę Skarbu Federalnego i pobrać dane o skonsolidowanym budżecie kraju za 2020 rok. Co widzimy? Że wszystkie wpływy budżetowe z tytułu podatku od wydobycia węgla w 2020 roku wyniosły... tylko 12,4 mld rubli, czyli 0,03 proc.

eprasa.pl 6b6c684efd

wpływów budżetowych! Przypomnę, że Park Zarjadje w Moskwie kosztował Sobianina 14 mld rubli – więcej niż państwo otrzymuje od całego przemysłu węglowego, który jest źródłem nieprawdopodobnych katastrof ekologicznych dla wielu wschodnich regionów kraju. Jednocześnie dotujemy cały ten nieprzynoszący zysku eksport węgla! Górnicy tradycyjnie otrzymywali duże rabaty od Kolei Rosyjskich na transport węgla na eksport, a teraz planuje się przeznaczyć 175 mld rubli z FNB na budowę wschodniego oddziału BAM w sposób ukierunkowany na rozszerzenie eksportu węgla do Chin.

Nieco więcej – ale bez przesady – budżet zarabia na eksploatacji rosyjskich lasów, których głównym beneficjentem są także Chiny. Bez względu na to, ile nasze władze mówią o zakazie wywozu drewna nieprzetworzonego – „drewna okrągłego" – kraj nadal eksportuje około 15 mln m³ drewna okrągłego rocznie, z czego 70 proc. trafia do Chin. Ale to tylko oficjalne dane – znaczna część drewna okrągłego jest wywożona w postaci nieobrobionego drewna pod przykrywką „tarcicy", a poza tym zapewne słyszeliście o przemycie drewna okrągłego na dużą skalę do Chin. Skali tego nie można dokładnie oszacować [...].

Ile państwo otrzymuje za wylesianie w interesie Chin? Wróćmy do skonsolidowanego budżetu Rosji. W 2020 roku dochody państwa z opłat za użytkowanie lasu wyniosły 58,3 mld rubli, czyli 0,15 proc. skonsolidowanych dochodów budżetowych. To wszystko są dochody z przemysłu drzewnego, podczas gdy główne drewno trafia na rynek krajowy, więc wpływy z wyrębu na eksport do Chin to kilka procent tej kwoty, nie więcej niż 5–10 mld rubli.

Coś tam jeszcze wpływa w postaci ceł eksportowych – lecz przychody z wszystkich ceł eksportowych innych niż na ropę i gaz (wszystkie pozycje towarowe niezwiązane z węglowodorami – w raportach Skarbu Państwa nie ma oddzielnej pozycji na opłaty za drewno) wyniosły 16,6 mld rubli w 2020 roku lub 0,04 proc. wszystkich skonsolidowanych dochodów budżetowych. [...] Tym samym Rosja praktycznie nie uzyskuje znaczących dochodów z eksploatacji najważniejszych zasobów naturalnych – węgla i drewna – które w dużej mierze są eksportowane do Chin. Ale ich eksploatacja prowadzi do katastrofalnych konsekwencji dla przyrody. Nawiasem mówiąc, tutaj możemy dodać Sibur z jego projektami chemicznymi ropy i gazu, ponieważ chemia ropy i gazu powoduje jedne z największych zanieczyszczeń powietrza.

Wnioski? Jeśli kiedykolwiek słyszeliście wyrażenie „dodatek surowcowy", to ono idealnie opisuje istniejące stosunki między Rosją a Chinami. Zaopatrujemy Chiny w surowce z ogromnymi rabatami, nic z tego nie dostając do budżetu – podatki na prawie wszystkie projekty zostały wyzerowane. Finansujemy to na dodatek z FNB, dotacji poprzez taryfy kolejowe. Tworzymy również miejsca pracy w Chi-

NAJBARDZIEJ ZASKAKUJĄCE JEST TO, ŻE W WYNIKU REALIZACJI WSZYSTKICH TYCH PROJEKTÓW, KTÓRE DAJĄ CHINOM HOJNE RABATY, LECZ NIE PRZYNOSZĄ PIENIĘDZY DO ROSYJSKIEGO BUDŻETU, WCIĄŻ JESTEŚMY DŁUŻNIKAMI CHIN!

nach, kupując tam sprzęt i zadłużając się za to w chińskich bankach. Po co to wszystko? Jaki jest ekonomiczny sens takiej współpracy? Aby zadowolić Chiny? Dlaczego? Odpowiedź w zasadzie leży na wierzchu – Putin tak zabrnął w swoje geopolityczne gry, że nie przejmuje się gigantycznymi wydatkami i szkodami ekologicznymi wynikającymi z jednostronnego surowcowego modelu stosunków z Chinami. Aby przedstawiać „globalne partnerstwo przeciwko Zachodowi", jest gotów wyrzucić nasze pieniądze nawet na większą skalę. Do tego otaczają go przyjaciele, skorumpowani urzędnicy, którzy zręcznie zarabiają miliardy na tak nieopłacalnej geopolitycznej „przyjaźni" (wszyscy są mistrzami zarabiania na nierentownych projektach). Z najnowszych wiadomości wynika, że rosyjski Bank Centralny traci pieniądze na rzecz FNB na inwestycjach w chińskiego juana, co ma również wyraźne implikacje geopolityczne: od 2016 roku Bank Centralny zwiększył udział inwestycji w juana z zera do 12–15 proc., podczas gdy juan stracił na wartości w stosunku do dolara o około 10 procent. Jasne jest, że robi się to, by zadowolić Pekin, nowego „sojusznika geopolitycznego", a nie w interesie Rosji. Kiedy ktoś opowiada ci o tym, jak Putin „chroni suwerenność Rosji" przed „podstępnym Zachodem" – pokaż mu ten artykuł. Od dawna nie ma suwerenności, Rosja i jej zasoby są wykorzystywane zgodnie z życzeniem nowych chińskich mistrzów. ■

eprasa.pl 6b6c684efd



Marcin Wolski

PODRĘCZNA BOLSZEWIA

Rzadko zabieram głos, aby przed czymkolwiek ostrzegać, ale serial „Opowieść podręcznej" jest tym, z czym nie wolno zostawić widza sam na sam. Tym bardziej, że podstawa scenariusza – książka Margaret Atwood – proponowana jest do kanonu lektur. Niebezpieczeństwo kontaktu z tą produkcją jest tym większe, że pozornie film przypomina fantastykę, zdaje się jeszcze jedną dystopią o świecie totalitarnego reżimu, w której klasą uciemiężoną są kobiety. Zresztą uciemiężenie ma różne stopnie, na samym dnie znajdują się „podręczne", czyli przymusowe surogatki zmuszane do rodzenia dzieci swym panom w świecie, gdzie potomstwo jest rzadkością. Ceremonia poczęcia odbywa się z pararegilijnym sztafażem, a wykorzystywane kobiety wzbudzają sporo współczucia, czemu sprzyja ich doskonała gra aktorska. Słowem: wszystko jest ok! Role zostały rozdane, a pytania cisną się tylko nielicznym uważnym widzom. Dopiero przy pewnym wysiłku dowiadujemy się, że świat przypominający fantazje lewicowych idiotów na temat „piątej kadencji Trumpa" powstał w reakcji społeczeństwa na zalew agresywnego lewactwa, powszechny upadek moralności i brak dzietności. Można się też domyślać, choć nikt tego nie pokazał, że rewolucja musiała cieszyć się sporym poparciem, a powrót do wartości starotestamentowych podobał się „starym, niewykształconym, z mniejszych ośrodków". W zamierzeniu serial to paszkwil na chrześcijaństwo – co podkreśla biblijne słownictwo, stroje jak z zakonu i pełny patriarchalizm. Oczywiście nigdy i nigdzie chrześcijaństwo tak nie wyglądało, bo zgodnie ze swymi zasadami wyglądać nie mogło. Nie znam przypadków publicznego gwałtu czy kary z obcinaniem kończyn za próby czytania i pisania przez kobiety. (Tu nawet jedna z prawodawczyń systemu nie może czytać książek, które sama napisała!) Oczywiście istnieje świat, gdzie podobne reguły obowiązują – fundamentalny islam, lecz sama myśl, żeby o tym wspomnieć, nie przemknęłaby twórcom serialu przez głowę. Skądinąd nieszczęsnymi „podręcznymi" nie zostaje się z przypadku – typowane do tej roli są osoby, które wedle zasad panujących w Gilait (nowych, poprawionych Stanach Zjednoczonych) złamały prawo, kryminalistki, cudzołożnice, lesbijki. (Analogia z Arabią jest jeszcze bardziej oczywista.) Mimo wysiłków aktorów, w filmie nie ma zbyt wiele półcieni, są dobrzy – uciemiężeni – i źli – ciemiężyciele. Ewentualne wyrzuty sumienia złych poczytywane są jako taktyka, a gdy skruszona funkcjonariuszka przybywa do korzystających z azylu w Kanadzie uciekinierek i błaga o wybaczenie, zostaje odtrącona, a jej samobójstwo wywołuje powszechną radość byłych „podręcznych". W świecie feministycznych bolszewiczek nie ma miejsca na empatię, litość, miłosierdzie, ba, na próbę zrozumienia strony przeciwnej też uwikłanej w system i bezradnej wobec niego. W którymś momencie wyzwolone kobiety stają się okrutniejsze od swoich dawnych prześladowców. Ciekawsze byłoby pytanie o prawdopodobieństwo takiej historii. Owszem, znamy liczne przykłady, gdy lewicowa utopia błyskawicznie zmieniała się w łagier, a w drugą stronę...? Historyków zadziwia, że w Polsce po okresie stalinizmu czy upadku komunizmu nie było indywidualnego odwetu, a ofiary spotykając na mieście swych katów, co najwyżej przechodziły na drugą stronę ulicy... Czy to zasługa wartości chrześcijańskich, które z taką zajadłością usiłuje się zniszczyć? „Opowieść podręcznej" dowodzi, jak łatwo malując obraz wroga czerpie się z własnych fobii, obsesji i urojeń. ■

W ŚWIECIE FEMINISTYCZNYCH BOLSZEWICZEK NIE MA MIEJSCA NA EMPATIĘ, LITOŚĆ, MIŁOSIERDZIE, BA, NA PRÓBĘ ZROZUMIENIA STRONY PRZECIWNEJ TEŻ UWIKŁANEJ W SYSTEM I BEZRADNEJ WOBEC NIEGO.

eprasa.pl 6b6c684efd



Tomasz Sakiewicz

Niezauważona siła

Kraje Europy Środkowo-Wschodniej w ciągu ostatnich trzydziestu lat stały się regionalną potęgą. Piszę to świadomie, zdając sobie sprawę, że nawet wielu optymistów uzna to za przesadę. Same kraje naszego regionu należące do UE to około 100 mln ludzi. Mają PKB porównywalne do Niemiec i ogromny rynek, bez którego dzisiejsza Europa nie byłaby w stanie normalnie funkcjonować. Co ważniejsze, są to kraje wzrastające i robiące to o wiele szybciej niż stara Europa. Na ich zapleczu funkcjonuje Ukraina, która ma realnie około 50 mln mieszkańców i terytorium porównywalne do Francji. Może to spowodować, że w ciągu dekady nasz region wyrówna potencjał z resztą UE. Każdy miesiąc daje widoczne przykłady budowania siły tej grupy państw. To zmienia oczywiście geopolitykę w sposób tak szybki, że nie zauważają tego nawet sami uczestnicy tych zmian. Nerwowe reakcje Niemiec i Rosji wynikają z tego, że nie są w stanie zatrzymać tego procesu. Oczywiście robią, co mogą, żeby rozbić rodzące się porozumienia i wstrzymywać nieuchronne powiązania gospodarcze. Problem w tym, że odnoszą tylko sukcesy doraźne. Samego rozwoju regionu zatrzymać się nie da, bo ma on charakter cywilizacyjny, jest podbudowany silnymi aspiracjami społeczeństw dążących do dobrobytu i coraz większą świadomością obrony swoich interesów. Wielka dynamika rozwoju tego regionu nie ma precedensu, gdyż trwa ona dużo dłużej niż najdłuższe cykle koniunkturalne i doznaje wręcz przyspieszenia. Pogodzenie się czasowe z niższą płacą i ciężką pracą mieszkańców krajów środka Europy spowodowało szybki wzrost efektywności gospodarki. Z kolei rosnąca presja na wyższe płace zaczęła napędzać rynki wewnętrzne. Wielkie projekty infrastrukturalne i wielkie zmiany gospodarcze widać tylko w tej części kontynentu. To przyciąga coraz mocniej inwestorów i zachęca do korzystania z infrastruktury i logistyki tych krajów.

Kraje naszego regionu po odrzuceniu komunizmu miały bardzo niewydolne aparaty państwowe, co nie tylko osłabiało możliwości wzrostu, lecz także spychało je do drugiej ligi w polityce międzynarodowej. Jednak po upływie trzydziestu lat widać skutki reform w wielu dziedzinach i wzrost możliwości obrony własnych interesów i interesów obywateli. Powoli naprawiane są służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo i widać wzrost potencjału poszczególnych armii – szczególnie Polski i Rumunii. To, w połączeniu z rosnącym bogactwem, daje coraz większe możliwości gry międzynarodowej.

Oczywiście niezadowolenie wielu dotychczasowych graczy z faktu zaistnienia nowej siły w Europie daje czasem bardzo przykre efekty. Najbardziej odczuwa je Polska, która mając największy potencjał w regionie, uważana jest za jego lidera. Wielu naszych rodaków niepokoi taki stan rzeczy i trudno im zrozumieć przyczynę brutalnych zachowań czołowych krajów UE. Jednak jeżeli ktoś sądzi, że poszturchiwanie Polski, Węgier, a czasem i Rumunii da jakieś wymierne efekty, nie rozumie, co się naprawdę dzieje. Po stronie krajów naszego regionu jest dużo większa determinacja do walki, bo dotyczy ona obrony żywotnych interesów. Po stronie starych krajów UE chodzi o przyszłe zyski i mało zrozumiałą dla obywateli geopolitykę. To nie daje silnej motywacji do działania. Zresztą część krajów starej Europy coraz chętniej wchodzi w alianse z nowymi członkami Unii.

Nie oznacza to absolutnie marginalizacji czy radykalnego zmniejszenia roli Francji i Niemiec. Zapowiada jednak szybką emancypację krajów „gorszej Unii", mających coraz więcej możliwości. Tym bardziej jest to prawdopodobne, gdyż drugi kraj Europy pod względem potencjału gospodarczego, Wielka Brytania, znalazł się poza UE i będzie chciał skorzystać z rozdźwięków w Unii, wzmacniając konkurencję wobec Berlina. ■

ROZWOJU REGIONU ZATRZYMAĆ SIĘ NIE DA, BO MA ON CHARAKTER CYWILIZACYJNY, JEST PODBUDOWANY SILNYMI ASPIRACJAMI SPOŁECZEŃSTW DĄŻĄCYCH DO DOBROBYTU I CORAZ WIĘKSZĄ ŚWIADOMOŚCIĄ OBRONY SWOICH INTERESÓW.

eprasa.pl 6b6c684efd

Strefa Wolnego Słowa



Albicla.com

eprasa.pl 6b6c684efd